CIAŁO NA LATO
Każdy wygląd jest dobry

DALECY CZESI
Czemu nie możemy się dogadać

GRA O TAJWAN
Wielkie starcie o małą wyspę

CHWAŁA CHAMOM
Nasza historia pisana przemocą

BEZ NERWÓW
O czym śpiewa Taylor Swift

Kraków 27 czerwca 2021 nr 26 (3755) cena 9 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne www.TygodnikPowszechny.pl

Terapia dla Polski

ŁĄCZY NAS TYLKO ZŁOŚĆ

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

30. Festiwal Kultury Żydowskiej Kraków

25.06 — 04.07.2021

30.jewishfestival.pl

REKLAMA

30. Festiwal Kultury Żydowskiej wspierają

Kraków

Ministerstwo Kultury Dziedzictwa Narodowego i Sportu

KORET FOUNDATION

TAUBE PHILANTHROPIES

FRIENDS OF THE CRACOW JEWISH CULTURE FESTIVAL

KULCZYK FOUNDATION

NADAV FOUNDATION

Rzeczpospolita Polska Ministerstwo Spraw Zagranicznych

Lucyna i Daniel Shefter

The Kronhill Pletka Foundation

FUNDACJA WSPÓŁPRACY POLSKO-NIEMIECKIEJ STIFTUNG FÜR DEUTSCH-POLNISCHE ZUSAMMENARBEIT

Evens Foundation

ISRAEL Ambasada Izraela w WARSZAWIE

GOETHE INSTITUT

Partnerem 30. FKŻ jest Województwo Małopolskie

MAŁOPOLSKA

MAŁOPOLSKA wizytówka

Media

GAZETA wyborcza

odjestgrane

RADIO KRAKÓW

Off. RADIO KRAKÓW

KS. ADAM

Boniecki: *Na kogo wyglądam*

Nie chcę udawać filozofa ani tym bardziej poprawiać filozofów, ale od dawna mnie korci, by do opisanych przez Gabriela Marcela kategorii: *être* (być) i *avoir* (mieć, posiadać) dodać jeszcze jedną: *apparaître* (ukazywać się, objawiać się, pojawiać się, odsłaniać się, zdawać się, wydawać się). Te myśli odżyły we mnie przy lekturze artykułu Eweliny Burdy („Ciało idealne na lato"). Pokazuje on, jak ogromny, bardziej lub mniej uświadomiony wpływ na nasze myślenie o sobie i nasze zachowanie ma pytanie właśnie o *apparaître*, o to, jak wypadnę, jak jestem postrzegany, co o mnie myślą inni, kim się im wydaję.

Często dziś zwraca się uwagę na „język ciała". Słusznie, bo rzeczywiście naszym wyglądem, gestami, minami, reakcjami komunikujemy siebie, przekazujemy informacje o sobie. Na tym opiera się kulturalny kod relacji międzyludzkich. Weźmy choćby ubranie: idąc na audiencję do głowy państwa czy do innej szanowanej osobistości, nie ubieramy się w dżinsy, sandały i podkoszulek. To byłoby oznaką lekceważenia. Dlatego dziwi nas ksiądz, który (nie będąc karmelitą bosym) odprawia mszę św. – zbliża się do tajemnic Boga – w sandałach. Co do reszty stroju, to na szczęście, dla uniknięcia niewczesnych pomysłów, wymyślono szaty liturgiczne. W sądzie osoby urzędowe występują w togach. Wojskowi – w mundurach i tak dalej. Przecież i przez strój coś komunikujemy.

Jeszcze więcej komunikujemy swoją twarzą. Podobno Krzysztof Kieślowski mówił, że po czterdziestce człowiek odpowiada za swoją twarz. Oczywiście, nie chodzi o żaden *make up*. To można stosować, jak Tomasz Machciński, do zdjęć („Tysiące twarzy, setki miraży") lub jako artysta, wychodząc na scenę. Kieślowski miał na myśli proces stopniowego zapisywania się na twarzy naszej historii. Chyba wszyscy się zgodzimy, że bywają twarze, które są piękne, choć ich piękno niekoniecznie odpowiada kanonom piękna. I odwrotnie.

„Język ciała" w zasadzie nie nadaje się do kłamania. Można oczywiście grać, udawać, można się maskować, ale jak długo? Spotkałem ludzi, którzy mogliby mieć pretensję do losu z powodu wyglądu, np. jakiejś niepełnosprawności, a którzy doskonale funkcjonują. W kontakcie z nimi po prostu się o tych ich niepełnosprawnościach szybko zapomina. Świetnie sobie radzą w społeczeństwie, a przy tym, przynajmniej ci moi znajomi, robią wiele dobrego dla innych. Twierdzą, że taki stosunek do siebie i do życia zawdzięczają lekarzom, których spotkali w młodości. Oni nauczyli ich akceptacji siebie. A więc tego można się nauczyć...

Są ludzie, którzy się zamartwiają swoim *apparaître* właściwie bez powodu. Może oni, po lekturze Tematu Tygodnika z tego numeru, zrozumieją, że w naturze „idealny" wygląd nie istnieje, a wzorce ideału się zmieniają. Znajoma, z którą o tym rozmawiałem, słusznie zauważyła, że mamę z dziećmi na plaży bardziej absorbuje czuwanie nad tym, żeby Kasia nie jadła piasku, a Kleofas nie bił Kasi łopatką po głowie, niż to, czy coś jej wystaje albo niedostaje. Po prostu ma głowę zajętą czym innym niż sobą. Znamy mnóstwo anegdot o wielkich uczonych-abnegatach, którzy np. wychodzili z domu w każdej skarpetce z innej pary lub o innych ich garderobianych zaniedbaniach. Zaprzątnięci wielkimi sprawami nie zwracali uwagi na takie drobiazgi. Kłopot się zaczyna wtedy, gdy w głowie dominuje to jedno pytanie o *apparaître*: jak wypadnę?

Problemy z aparycją to nie tylko lato i plaża. Tam się one ujawniają w całej krasie. Jednak stanięcie w prawdzie przed samym sobą wobec skutków długotrwałego nieumiarkowania w jedzeniu i piciu może się okazać punktem zwrotnym i na zawsze zmobilizować do bardziej ascetycznego sposobu życia. Bo droga od *apparaître* do *être* też czasem jest możliwa. ©

Eurodostęp 2021

Kup roczny dostęp do strony TygodnikPowszechny.pl i odbierz w prezencie książkę Michała Okońskiego „Światło bramki". Nie czekaj, oferta ograniczona! Więcej na TygodnikPowszechny.pl/sklep

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

20 Terapia dla Polski
TOMASZ STAWISZYŃSKI
Uporczywe trwanie przez opozycję w poczuciu absolutnej słuszności własnej oraz absolutnej niesłuszności i zła rządzącej prawicy wydatnie przyczynia się do utrzymywania PiS przy władzy.

27 Muskuły i próchno
STANISŁAW ŁUBIEŃSKI
Jak przykładać ułomne kategorie estetyczne do tych galaktyk istnienia? Co znaczy nasze „teraz” z perspektywy puszczy?

30 Misje pod specjalnym nadzorem
KAROL WILCZYŃSKI
Wysyłając ewangelizatorów na tereny misyjne, przez ostatnie dwa wieki Kościół zdążył popełnić wiele błędów. Z niektórymi się uporał. Pojawiły się jednak nowe.

58 Zwierzę jak zaczarowane
MARTA ALICJA TRZECIAK
Czy magiczne sztuczki bawią i zwodzą tylko ludzi? I dlaczego właściwie naukowcy badają, jak magia działa na zwierzęta?

64 Historie wstydu
MACIEJ JAKUBOWIAK
Przemocowy światopogląd odłożył się w ciałach i umysłach nas wszystkich. Stąd beztroska, z jaką pewne zachowania nazywamy „chamskimi”.

78 Formuła Taylor Swift
MONIKA OCHĘDOWSKA
Jej muzyka zostawia pustą przestrzeń oraz iluzję, że możemy się w niej urządzić po swojemu.

KAROLINA MISZTAL / REPORTER // TOMASZ KACZOR // JOHAN SWANEPOEL / SCIENCE PHOTO LIBRARY / EAST NEWS // INSTAGRAM / EAST NEWS // DANIEL FRYMARK / FORUM // SIPHIWE SIBEKO / REUTERS / FORUM

6 Ostatni dzwonek
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

7-11 Obraz tygodnia

17 Tygodnik Czytelników

18-19 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
PIOTR SIKORA

KRAJ

20 Terapia dla Polski
TOMASZ STAWISZYŃSKI

24 Dalecy sąsiedzi
MAREK RABIJ
Kraj, którego premier nazywa polską żywność „gównem", jest naszym drugim co do wielkości partnerem gospodarczym

27 Muskuły i próchno
STANISŁAW ŁUBIEŃSKI

WIARA

30 Misje pod specjalnym nadzorem
KAROL WILCZYŃSKI

34 Dymisja z donosem w tle
ARTUR SPORNIAK
Dlaczego ks. Mirosław Tykfer przestał być naczelnym „Przewodnika Katolickiego"?

36 Wierzący i klient
DARIUSZ KOT *o czytaniu religii przez pryzmat ekonomii*

ŚWIAT

40 Tajwański ból głowy
PIOTR BERNARDYN Z TOKIO
To miejsce może być zarzewiem globalnego konfliktu

46 Sąsiadki z Donbasu
PAWEŁ PIENIĄŻEK
ZE SŁOWIAŃSKA
60 km od frontu ludzie uczą się ze sobą żyć

TEMAT TYGODNIKA

KAMILA SZCZEŚNIAK / NIEŁADNIERYSUJE

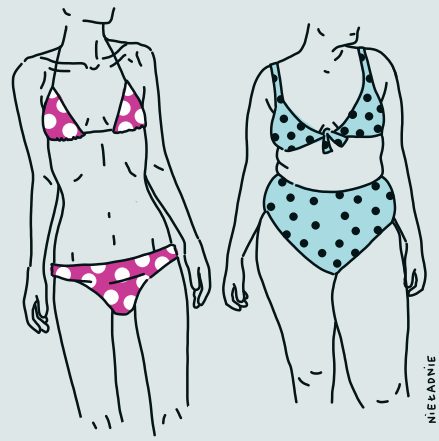

12 Ciało idealne na lato
EWELINA BURDA
Zaświeciło słońce, zrzuciliśmy ciepłe ubrania. Po pandemicznej izolacji marzymy o plaży. A presja na idealny wygląd rośnie wprost proporcjonalnie do temperatury.

FELIETONY

29 JACEK PODSIADŁO
39 WOJCIECH BONOWICZ
62 HANNA KRALL
76 JAN KLATA **77** PAWEŁ BRAVO
82 STANISŁAW MANCEWICZ
82 BARTOSZ MINKIEWICZ

FOTOGRAFIA NA OKŁADCE:
AFRICA STUDIO / STOCK.ADOBE.COM
MONTAŻ TP-ONLINE

Redaktor prowadzący:
MICHAŁ KUŹMIŃSKI

49 Nowy punkt na mapie Berlina
ŁUKASZ GRAJEWSKI
o otwartym wreszcie w stolicy Niemiec Centrum Dokumentacji Ucieczka, Wypędzenie, Pojednanie

HISTORIA

54 Rzeź wolnych ludzi
MARTA ZDZIEBORSKA
Sto lat po pogromie czarnoskórych Amerykanów w Tulsie

NAUKA

58 Zwierzę jak zaczarowane
MARTA ALICJA TRZECIAK

KULTURA

64 Historie wstydu
MACIEJ JAKUBOWIAK

68 Po przejściach
DARIUSZ KOSIŃSKI
Dwie spóźnione premiery w Starym Teatrze pod nową dyrekcją pokazują dwie całkowicie odmienne drogi

72 Kołysanka dla matki
DOROTA KOZIŃSKA
Channa Malkin i umiejętność zderzenia się z bólem

74 Apetyt na jabłka
ANITA PIOTROWSKA
o filmie „Niepamięć" Christosa Nikoua

76 Przestroga z przeszłości
LEKTOR *o nowym wydaniu „Cmentarza w Pradze" Umberta Eco*

ZMYSŁY

78 Formuła Taylor Swift
MONIKA OCHĘDOWSKA

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

#DOM [Podkast Powszechny]
Nie widzę w Polskim Ładzie jakiejkolwiek propozycji na rozwiązanie problemu mieszkaniowego. I myślę, że nie widzą jej nawet ci, którzy ten ład wymyślili – mówi **FILIP SPRINGER**, reporter, autor książki „13 pięter" **powszech.net/podkast**

Własny pokój [Podkast Powszechny]
W ilu naraz rzeczach można być? – o momentach pięknych i trudnych w cyklu rozmów o tym, jak w kobiecie tworzy się i umacnia niezależność, opowiada **ELIZA KĄCKA**, pisarka i badaczka literatury **powszech.net/podkast**

/TYGODNIKPOWSZECHNY ▪ /TYGODNIK ▪ /TYGODNIK ▪ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA

OSTATNI DZWONEK

Koniec tego najdziwniejszego od dekad roku szkolnego to też alarmowy sygnał: polski nauczyciel woła o pomoc.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Minister edukacji Przemysław Czarnek z wizytą w Niepublicznym Przedszkolu Sióstr Urszulanek. Legionowo, czerwiec 2021 r.

Może to zabrzmieć – zważywszy pandemiczny kontekst – dziwnie, ale kilkanaście ostatnich miesięcy to dla wielu z nich czas rozwoju. Po wiosennym szoku A.D. 2020 (przypomnijmy: wówczas aż 85 proc. nauczycieli deklarowało w badaniach Centrum Cyfrowego, iż przed epidemią nie miało styczności z nauczaniem zdalnym) w kończącym się właśnie roku szkolnym znacznie mniej pedagogów zgłasza cyfrową bezradność. Nie chodzi jednak tylko o technologię, albowiem pandemia dała też impuls do szukania innych form zajęć czy selekcji materiału. I stała się szkołą elastyczności, bo ciągłe zmiany trybu lekcji nie dały się porównać do żadnego z wcześniejszych edukacyjnych doświadczeń.

Ale statystyczny polski nauczyciel wychodzi z tego czasu przede wszystkim poobijany. Oparty na prowadzonych wiosną tego roku badaniach, a ogłoszony w ubiegłym tygodniu raport Fundacji Orange „Między pasją a zawodem" (autorki: Anna Buchner, Katarzyna Fereniec-Błońska, Maria Wierzbicka) przynosi

co prawda także otuchę: 78 proc. polskich nauczycieli deklarowało w apogeum pandemii satysfakcję z pełnionej funkcji. Zdecydowana większość przyznawała jednak, że ten czas negatywnie wpłynął na postrzeganie systemu edukacji. Z prezentowanych na naszych łamach tydzień temu badań Centrum Edukacji Obywatelskiej wynika, że wielu nauczycieli deklaruje po powrocie do stacjonarnej nauki motywację i chęć do działania, ale równocześnie ponad połowa stwierdza, że aby się w tych starych-nowych warunkach pracy odnaleźć, potrzebują psychologicznego wsparcia. „A ono w polskim systemie nie jest w ogóle dla kadry nauczycielskiej przewidziane" – komentował szef CEO Jędrzej Witkowski.

Potwierdza to raport Fundacji Orange: ponad połowa pedagogów mówi, że nie ma dostępu do wsparcia psychologicznego. Nic dziwnego, że trudno im nieść pomoc innym: brak pomocy w rozwiązywaniu trudności wychowawczych (wskazuje nań niemal co trzeci pedagog) to jeden z pięciu czynników – obok m.in. biurokracji – przeszkadzających nauczycielom w pracy. Psychologia to też największa w polskiej szkole kompetencyjna luka – nauczyciele pytani o obszary, w których chcieliby podnieść umiejętności, wskazują „rozwiązywanie sytuacji konfliktowych" czy „radzenie sobie ze stresem". Jeśli wierzyć ekspertom, którzy od miesięcy powtarzają, że pandemia może oznaczać dwa poważne kryzysy – ten psychiczny wśród uczniów, a także wzrost edukacyjnych nierówności – to naprawdę jest się czego obawiać, bo statystyczny nauczyciel czuje się wobec obu bezbronny. Aż 58 proc. pedagogów wskazuje, że w pracy przeszkadzają im „zbyt liczne klasy". To tylko jeden z czynników utrudniających indywidualne podejście do uczniów.

Na domiar złego nie brak problemów trawiących polską szkołę i bez epidemii. I nauczyciele, i dyrektorzy szkół są zgodni, że coraz trudniej o młodego, dobrego pedagoga. Wszystkie badane grupy – jak czytamy w raporcie – zgłosiły uzasadnioną obawę, że tu kryzys dopiero nas czeka. Ostatni dzwonek tego dziwnego roku szkolnego jest więc też sygnałem alarmowym: polski nauczyciel jest jak lekarz po trzeciej z rzędu dobie szpitalnego dyżuru. ©℗

Afera przeciekowa z Rosją w tle

PAWEŁ BRAVO

Rosja zintensyfikowała hybrydowe działania przeciwko członkom NATO. Obejmują one ingerencje w proces wyborczy (...) szerokie kampanie dezinformacyjne, złośliwe działania cybernetyczne i przymykanie oczu na cyberprzestępców działających na jej terytorium" – głosi jeden z punktów komunikatu końcowego po szczycie Sojuszu z zeszłego tygodnia. „Zbieranie informacji staje się drugorzędnym celem rosyjskich służb. Zajmują się za to wpływaniem na opinię publiczną, polaryzacją społeczeństwa i zabójstwami" – to z kolei wypowiedź dla prasy szefa Departamentu Bezpieczeństwa Państwowego Litwy. O ile wierzyć relacjom posłów, którzy ochoczo zrelacjonowali mediom formalnie niejawne posiedzenie Sejmu, o wejściu Rosji w tryb wojenny mówił też nasz wicepremier ds. bezpieczeństwa Jarosław Kaczyński. Opisując skalę zagrożenia miał używać dramatycznych słów i porównań, co jednak wydaje się podwójnie przesadzone, jeśli chodzi o włamanie na konto pocztowe szefa kancelarii premiera Michała Dworczyka. Atak hakerów nie był wcale pierwszym takim zdarzeniem (wspomnijmy choćby włamanie do skrzynki Angeli Merkel pięć lat temu, manipulowane przecieki przed wyborami we Francji w 2017 r.) i nie był czymś wyjątkowo agresywnym na tle przypadków skrytobójstwa (ostatnio w Salisbury i Berlinie) czy wysadzania w powietrze składów z amunicją (Czechy) przez ludzi rosyjskich służb.

Skoro więc nie jest z nami aż tak źle, jak próbują nam wmówić zarówno Kaczyński, jak i część opozycji, warto potraktować to jako odebraną niskim kosztem lekcję reagowania na rosyjskie próby manipulowania nastrojami i bujania sceną polityczną. Nie tyle sama kradzież maili jest tu potencjalnie szkodliwa, ile ich selekcja i dawkowanie. Nic, co dotychczas przeczytaliśmy – przeważnie banalnie małostkowa kuchnia politykowania i nieporadność we frakcji skupionej wokół premiera – nie mówi nam czegoś, czego uważny czytelnik poważnych mediów nie wie albo się nie domyśla. Nie ma więc istotnego powodu, byśmy się dawali wodzić za nos temu, kto nas tymi rewelacjami karmi. Jeśli to jest nowego rodzaju wojna, przyda się brytyjska recepta jeszcze z tej poprzedniej: *Keep calm and carry on.* ©℗

MACIEJ GĘBACZ / HEIMDALL FOTOGRAFIA

CIASNA ZABUDOWA – na co dzień porządkująca krajobraz Spisza, podtatrzańskiego regionu przedzielonego granicą – przyczyniła się do rozmiarów ognia, który 19 czerwca strawił kilkanaście gospodarstw w Nowej Białej. Ludzie nie zginęli, ale mieszkańcy i strażacy, ściągani nawet z Krakowa, nie zdążyli ocalić wielu zwierząt i całego dobytku. Ponad sto osób straciło dom. Pierwsze godziny po pożarze upłynęły pod znakiem zbiórek organizowanych w remizach, kościołach i na boiskach całego powiatu nowotarskiego. ©℗ ŻYM

ADAM CHEŁSTOWSKI / FORUM

CIT, czyli koniec promocji

MAREK RABIJ

Wszystko zależy od szczegółów – tak polscy eksperci komentują propozycję globalnej minimalnej stawki CIT, którą podczas ostatniego szczytu G7 zgłosiły USA. Na razie nie wiadomo, czy np. owe 15 proc. miałoby być stawką nominalną czy efektywną. Tym większe zdziwienie budzi więc alarmistyczny ton, z jakim eksperci do spraw podatków krytykują potencjalną zmianę. Czy faktycznie może ona pozbawić polską gospodarkę zastrzyku inwestycji?

Obecnie firmy mogą zakładać oddziały w krajach, które mają niskie stawki CIT i parkować tam zyski. W ten sposób miliony zarobione na sprzedaży w Polsce można zgłosić jako dochód w oddziale zarejestrowanym np. na Bermudach, gdzie nie ma podatku od osób prawnych. Polski fiskus może się obejść tylko smakiem, mimo że nominalna stawka CIT wynosi u nas 19 proc. Po wejściu w życie zaproponowanych zmian cała kwota wypracowana w Polsce byłaby objęta w kraju 15-procentowym podatkiem (gdyby sprzedaż zadeklarowano w kraju z np. 5-procentową stawką CIT, nasz fiskus mógłby pobrać od niej dodatkowo 10 proc.).

Komentarze ekspertów lekceważą fakt, że ujednolicenie CIT sprawi, iż poziom opodatkowania stanie się niejako neutralny z punktu widzenia prowadzenia biznesu. Polska nie ma zresztą najniższych stawek w regionie, mniej każą sobie płacić m.in. Węgry i Litwa. Jeśli mimo wszystko zagraniczne firmy lokują u nas inwestycje, to znaczy, że w ocenie ich atrakcyjności już teraz nie kierują się głównie parametrami fiskalnymi. Przeciwnie: wiele badań (m.in. Roberta Lucasa z 1990 r.) pokazuje, że o atrakcyjności danego kraju dla inwestorów decyduje przede wszystkim poziom rozwoju jego infrastruktury i stabilność struktur państwowych.

Polski budżet traci przez unikanie podatku CIT ok. 9 mld zł rocznie. To pieniądze, które mogłyby pracować właśnie na rzecz poprawy jakości państwa. ©℗

KRAJ W SKRÓCIE

TUSK WRACAJĄCY
Zaczynają się wakacje, wracają wakacyjne tematy. Oprócz barszczu Sosnowskiego, wieloryba w Wiśle i upałów, mówi się o powrocie Donalda Tuska: jak donosi „Polityka", były lider PO ma ponownie stanąć na czele partii, którą obecnie kieruje Borys Budka.

STAROŃ NIEWYBRANA
Powraca też kwestia pata wokół nowego rzecznika praw obywatelskich: ostatnią kandydatką popartą przez Sejm i odrzuconą przez Senat jest Lidia Staroń. Adam Bodnar opuszcza urząd 15 lipca.

PIOTR MOLĘCKI / EAST NEWS

PRAWICA ZJEDNOCZONA
A także mechanizm łączenia przez dzielenie: „My się Zjednoczonej Prawicy nie wstydzimy, jesteśmy dumni z dobrych relacji z rządem i z PiS" – powiedział Adam Bielan, opuścił ugrupowanie Jarosława Gowina i założył Partię Republikańską.

UNIWERSYTET OTWARTY
À propos dzielenia: rektor UJ Jacek Popiel wystosował list otwarty do małopolskiej kurator Barbary Nowak, która orzekła, że uczelnia „zamienia się w agencję towarzyską" w związku z ankietą, w której studenci mieli podać swoją płeć (do wyboru: kobieta, mężczyzna, transkobieta, transmężczyzna, osoba niebinarna). Rektor napisał, że za kategoriami wymienionymi w ankiecie stoją wynikające z dyskryminacji ludzkie dramaty, zmagania i lęki.

Polsko-niemiecki skromny jubileusz

BEZ FANFAR minęła 30. rocznica podpisania traktatu o dobrym sąsiedztwie przez Polskę i Niemcy. Huczne świętowanie było niemożliwe ze względu na bieżące animozje. Obóz PiS nie cieszy się sympatią w politycznym Berlinie, gdzie często stawiany jest w jednym szeregu z siłami autokratycznymi. Z drugiej strony PiS lubi na potrzeby polityki krajowej regularnie postraszyć „złym Niemcem".

Oceniając wzajemne relacje, warto jednak uwzględnić cały okres trzech dekad. Traktat z 17 czerwca 1991 r. i wcześniejsze potwierdzenie przez zjednoczone Niemcy granicy na Odrze utorowały Polakom drogę do członkostwa w NATO i UE. Z integracji z Zachodem korzyści czerpią nie tylko Polacy, ale też Niemcy. Oba kraje łączy niesamowita wręcz symbioza gospodarcza. Polska jest trzecim największym eksporterem do Niemiec, rozwój niemieckich koncernów uzależniony jest od polskich dostawców. Także kontakty międzyludzkie nigdy nie były tak intensywne – dzięki otwartym granicom, Erasmusowi czy współpracy przygranicznych samorządów.

W traktacie z 1991 r. zabrakło historii. Wtedy koncentrowano się na przyszłości, słusznie zresztą. Ale sprawy dzielące, mające źródła w niemieckich zbrodniach z czasu II wojny światowej, wracają jak bumerang. Jarosław Kaczyński wyczuł te nastroje i wyciągnął kartę „reparacje". Kanclerz Angela Merkel nigdy na poważnie nie podjęła tej sprawy. Jej następca, którego poznamy po wrześniowych wyborach do Bundestagu, będzie musiał się z tym problemem zmierzyć. © ŁUKASZ GRAJEWSKI Z BERLINA

Delta straszy Europę i świat

JOE BIDEN APELUJE DO AMERYKANÓW, by szczepili się na covid, i niemal codziennie poświęca temu wpis w mediach społecznościowych. Przynajmniej jedną dawkę szczepionki przyjęła dotąd ponad połowa mieszkańców USA. W tle apeli Bidena jest groźny wariant Delta koronawirusa (wcześniej zwany indyjskim). Natomiast prezydent Polski snuje rozważania, czy spadek zakażeń zawdzięczamy szczepieniom czy pogodzie. Dodaje, że światowi przywódcy nie są przekonani, czy szczepienia są wystarczająco skuteczne, i że takimi to refleksjami mają się dzielić w kuluarowych rozmowach.

Tymczasem Delta rozprzestrzenia się po Europie. Wielka Brytania, gdzie przynajmniej jedną dawkę przyjęło 64 proc. populacji (dane z 18 czerwca), i gdzie notuje się ostatnio coraz więcej zakażeń (w ubiegłym tygodniu nawet 11 tys. dziennie), przesunęła o miesiąc ostateczne zniesienie restrykcji, by wykorzystać ten czas na przyspieszenie szczepień. W Polsce, gdzie przynajmniej jedną dawkę przyjęło 43 proc., szczepienia na pierwszy rzut oka idą dobrze, ale w tej chwili statystykę napędzają niemal wyłącznie drugie dawki. Dużo wolniej rośnie odsetek tych, którzy zgłaszają się na pierwsze szczepienie, i to powinno niepokoić. © MAŁGORZATA SOLECKA

RAMON ESPINOSA / AP / EAST NEWS

27-KILOMETROWA LINIA HAWANA–BEJUCAL na Kubie, otwarta w 1837 r., była pierwszą trasą kolejową w Ameryce Łacińskiej. Zbudowana na życzenie króla Hiszpanii Ferdynanda II, została pod koniec XIX w. kupiona i rozbudowana przez Amerykanów, a po objęciu władzy przez Fidela Castro w 1959 r. znacjonalizowana. Dziś sieć kolejowa na wyspie liczy 4226 km, z czego tylko 140 jest zelektryfikowanych. W 2010 r. rozpoczęto, wciąż trwającą, restaurację i modernizację kolei kubańskich. Na zdjęciu: prace wokół zabytkowego czteropiętrowego budynku dworca z 1910 r. Hawana, 17 czerwca 2021 r. ©℗ EA

Genewski remanent Bidena i Putina

ANNA ŁABUSZEWSKA

Pełnowymiarowego szczytu Rosja–USA nie było od kilku lat, więc Putin był spragniony bezpośredniego kontaktu z przywódcą Stanów Zjednoczonych. Izolacja Rosji i sankcje nie pozwalały mu budować wizerunku polityka, bez którego nic na świecie stać się nie może. Aby zwrócić na siebie uwagę USA, Kreml uruchomił sprawdzoną metodę: destrukcję. Ataki hakerskie na wrażliwe cele w Stanach, wpływ na wybory, niszczenie opozycji na własnym podwórku, ściąganie wojsk nad granicę z Ukrainą, wspieranie antyestablishmentowych ruchów za granicą, stosowanie zabronionych konwencją substancji – to tylko pobieżny przegląd jego działań.

Ton rozmowy Putina i Bidena, do której doszło w końcu w Genewie, był wyważony. Stany podkreślały jeszcze przed szczytem, że zależy im na stabilności. Stworzono podglebie do wycofania się z pewnych ostrych decyzji: po kilkumiesięcznej nieobecności ambasadorowie USA i Rosji wracają na placówki.

Zrobiono remanent. Biden wyznaczył pół roku próby. Co z tego wyniknie? To zależy. Np. od tego, czy Rosja uszanuje przekazaną przez USA listę 16 obiektów, które mają być nietykalne dla rosyjskich hakerów. Może dojdzie do wymiany Rosjan siedzących w amerykańskich więzieniach i Amerykanów w rosyjskich. Mają powstać grupy robocze do rozmów o traktatach dotyczących pułapów różnych rodzajów broni. No i jest kwestia Ukrainy. Wsparcie USA dla zachodnich aspiracji Kijowa to w oczach Kremla zamach na bezpieczeństwo Rosji. W wywiadzie dla TV Rossija Putin wyliczał, o ile skróci się czas lotu rakiet wystrzelonych z Ukrainy w stronę Moskwy. Na konferencji prasowej po genewskich rozmowach zaznaczył, że temat wstąpienia Ukrainy do NATO poruszono pobieżnie, „maźnięciem". Biden zapewnił, że USA popierają integralność terytorialną Ukrainy.

Kreml będzie odstraszał USA od wspierania opozycji w Rosji. Biden upomniał się o Nawalnego. „Jeżeli umrze w łagrze, będzie to miało fatalne skutki dla Rosji" – mówił. USA przygotowują nowy pakiet sankcji za otrucie opozycjonisty nowiczokiem.

Czy po Genewie będzie nowe rozdanie i Stany przymkną oko na to, że Rosja gra znaczonymi kartami? Za wcześnie na takie rozważania, zwłaszcza że zaufania brak. A jeśli Rosja znów sięgnie po hakerów, Biden przypomni sobie o nowych sankcjach. ©

Więcej w rubryce autorki:
www.tygodnikpowszechny.pl/rosyjskaruletka

Armenia: wybory w cieniu wojny

PARTIA NIKOLA PASZYNIANA, pełniącego obowiązki premiera, zwyciężyła w przyspieszonych wyborach parlamentarnych w Armenii: według wstępnych wyników zdobyła 54 proc. głosów, dzięki czemu uzyska konstytucyjną większość. „Naród armeński przeprowadził drugą rewolucję w ciągu trzech lat. Pierwsza była aksamitną rewolucją bez użycia przemocy. Druga znowu jest demokratyczna, tylko że tym razem to stalowa rewolucja" – powiedział Paszynian, gdy stało się jasne, że jego partia zwyciężyła.

Trzy lata temu na skutek antyrządowych protestów Paszynian, były dziennikarz, został wyniesiony do władzy i został premierem. Opozycja liczyła, że przegrana wojna z Azerbejdżanem jesienią 2020 r. (zginęło w niej ponad 6 tys. ludzi, w większości po stronie armeńskiej) i obawa przed kontynuacją tego konfliktu przekonają wyborców, aby postawili na polityków, którzy sprawowali władzę przed 2018 r.

W parlamencie znajdzie się też blok Armenia byłego prezydenta Roberta Koczariana (uzyskał 21 proc.). Pozostałe ugrupowania nie przekroczyły 5-procentowego progu wyborczego dla partii i 7-procentowego dla bloków. Tym samym przepadły ugrupowania dwóch innych ekspreziydentów, Lewona Ter-Petrosjana i Serża Sarkisjana.

Blok Armenia ogłosił, że na razie nie zamierza uznać wyniku, aż do wyjaśnienia – wedle jego oświadczenia – „setek alarmów docierających z komisji wyborczych". Sondaże dawały ugrupowaniom Paszyniana i Koczariana podobne poparcie. Teraz blok Armenia twierdzi, że wybory są „wysoce kontrowersyjne i nie wzbudzają zaufania".

Przyspieszone głosowanie miało uspokoić nastroje i przełamać impas polityczny, w którym znalazła się Armenia po przegranej wojnie o Górski Karabach.

© PAWEŁ PIENIĄŻEK

Franciszek reformuje świeckie ruchy religijne

ARTUR SPORNIAK

Do tej pory przywódcy świeckich ruchów religijnych mieli prawie absolutną władzę i dużą niezależność od Watykanu. Od września to się zmieni – Dykasteria ds. Świeckich, Rodziny i Życia za aprobatą papieża wprowadziła kadencyjność kierowniczych stanowisk na szczeblu międzynarodowym. Władzę sprawować będzie można przez dwie pięcioletnie kadencje, z pięcioletnią przerwą. Założyciele ruchów będą mogli starać się o dyspensę, ale Watykan w każdej chwili będzie mógł ją odebrać. Dekret ma moc wsteczną – ruchy i stowarzyszenia mają dwa lata na przeprowadzenie wyborów i zmian na kierowniczych stanowiskach.

Stolica Apostolska uzasadnia, że brak kadencyjności sprzyjał centralizacji władzy i braku kontroli, co „łatwo prowadziło do poważnych naruszeń godności osobistej i wolności, a nawet do rzeczywistych nadużyć". Przykładem założyciel Arki Jean Vanier, który pośmiertnie został oskarżony o molestowanie kobiet.

Rozwój świeckich ruchów religijnych promował Karol Wojtyła. Dlatego włoski konserwatywny portal La Nuova Bussola Quotidiana napisał: „Epoka zapoczątkowana przez Jana Pawła II dobiega końca". ©℗

Asystent czy komisarz

PAPIEŻ USTANOWIŁ ASYSTENTA kościelnego dla watykańskiej dykasterii komunikacji. Będzie nim 40-letni ks. Luigi Epicoco, jednocześnie mianowany głównym felietonistą „L'Osservatore Romano".

Decyzja zaskakuje. Urzędy kurii rzymskiej nie potrzebują kościelnych asystentów. Nie brakuje w nich kardynałów, biskupów i księży (nawet w zdominowanej przez świeckich dykasterii komunikacji), którzy mogą dbać o prawowierność i służyć duchowym wsparciem. Jeszcze dziwniejszy jest pomysł, by papież wyznaczał – oficjalną decyzją – autora artykułów watykańskiej gazety, wchodząc w kompetencje redaktora naczelnego.

Nie tak dawno Franciszek odwiedził siedzibę swoich mediów i dał do zrozumienia, że nie jest z nich zadowolony. Trudno na nominację ks. Epicoco nie patrzeć w tym kontekście. Młody i wcześniej mało znany ksiądz to „odkrycie" papieża. Półtora roku temu Franciszek rozdawał jego książkę jako bożonarodzeniowy prezent kardynałom i biskupom z kurii. Nad drugą – o Janie Pawle II – w tym samym czasie z nim pracował. Ale najbardziej cenił go za aktywność w mediach społecznościowych, gdzie Epicoco w prosty i przekonujący sposób objaśniał Ewangelię młodym odbiorcom. Dlatego postanowił mieć go w swojej drużynie, choćby za cenę stworzenia nowej i budzącej zdumienie funkcji.

©℗ EDWARD AUGUSTYN

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

APEL PAPIEŻA
Po modlitwie „Anioł Pański" Franciszek zacytował dramatyczny apel biskupów Mjanmy o pomoc dla uciekających przed przemocą wojska. „»Bardzo uprzejmie błagamy – mówili oni – o umożliwienie utworzenia korytarzy humanitarnych« oraz o poszanowanie »kościołów, pagód, klasztorów, meczetów, świątyń, a także szkół i szpitali« jako neutralnych miejsc schronienia" – przypomniał papież.

TRZECIA BEATYFIKACJA
Oprócz prymasa Wyszyńskiego i matki Czackiej w tym roku – 20 listopada – w Katowicach wyniesiony na ołtarze zostanie ks. Jan Macha. 3 grudnia 1942 r. w wieku 28 lat został on zgilotynowany przez hitlerowców za niesienie pomocy rodzinom aresztowanych powstańców śląskich.

SEKRETARZ GENERALNA
Rada Światowej Federacji Luterańskiej wybrała estońską teolożkę na sekretarz generalną ŚFL. 45-letnia ks. Anne Burghardt, matka dwójki dzieci, będzie pierwszą kobietą i pierwszą osobą z Europy Środkowo-Wschodniej na tym stanowisku. Zastąpi ks. Martina Junge'a, który na trzy lata przed ukończeniem kadencji podał się do dymisji, tłumacząc, że federacja potrzebuje nowej strategii.

ERIK PEINAR / LWF / MATERIAŁY PRASOWE

KS. TOMASZ TRZASKAWKA, FORMATOR

Nowoczesny ksiądz

EPISKOPAT.PL

ARTUR SPORNIAK: Nowe zasady formacji kapłańskiej w Polsce, opracowane w 2019 r., dopiero teraz zostały zatwierdzone przez Watykan. Co się działo przez te dwa lata?

KS. TOMASZ TRZASKAWKA: Dokument „Droga formacji prezbiterów w Polsce. Ratio institutionis sacerdotalis pro Polonia" musiał zostać przetłumaczony na włoski. Wysłany został zatem do Watykanu dopiero w marcu 2020 r. Zajęła się nim Kongregacja ds. Duchowieństwa we współpracy z Kongregacją ds. Edukacji. Poprawianie dokumentu zakończyło się w maju br. Przewodniczący episkopatu Polski abp Stanisław Gądecki wyznaczył wejście w życie nowych zasad formacji na 1 października.

Jakie punkty zostały poprawione?
Nie było poważnych ingerencji. Zmiany polegały raczej na doprecyzowaniu niektórych kwestii, np. polecono wyodrębnić w osobnym punkcie modlitwę jako stały środek formacji. Mocniej podkreślona została – też w nowym punkcie – kwestia ubóstwa kapłańskiego, z naciskiem na kształcenie zdolności dzielenia się. Wcześniej dokument akcentował bardziej kwestię posłuszeństwa i przygotowania do czystości i celibatu. Teraz jest to traktowane jako równie ważne.

Wersja zatwierdzana kładła nacisk na uwrażliwienie na nadużycia seksualne wobec małoletnich. Czy Watykan miał tu jakieś uwagi?
Nie, ten temat był dobrze opracowany.

Jakie są główne różnice między zasadami formacji kapłańskiej z 1999 r. a nowymi?
Jest ich wiele. Przechodzimy zwłaszcza od statycznego do dynamicznego modelu formacji, czyli na bieżąco chcemy uczyć rozeznawania tego, co jest Bożym prowadzeniem, i w sposób dynamiczny towarzyszyć wychowankom i grupom w dojrzewaniu.

KS. TOMASZ TRZASKAWKA *był sekretarzem zespołu ds. przygotowania nowych zasad formacji kapłańskiej w Polsce.*

KIKO HUESCA / EFE / PAP

PO TAKIM MECZU wypada jednak powiedzieć „dziękuję". I trochę też „przepraszam": Polska zremisowała z Hiszpanią i – mimo wcześniejszej porażki ze Słowacją – wciąż jeszcze ma o co grać na tych coraz piękniejszych mistrzostwach Europy. A my – zamiast rozmawiać o charakterze narodowym, wstawaniu z kolan, husarii i tym podobnych – możemy w końcu rozmawiać o futbolu. Zapraszamy na pomeczowe analizy i komentarze Michała Okońskiego na stronie internetowej „Tygodnika Powszechnego": **powszech.net/euro** ©℗

Wiedźmin i kotki

PO SZEŚCIU MIESIĄCACH od premiery połatany „Cyberpunk 2077" wraca na konsole PlayStation. Gra zniknęła z PS Store zaledwie po kilku dniach sprzedaży ze względu na bardzo niskie oceny użytkowników – liczne błędy uniemożliwiały jej płynne przejście. Poza animacją poprawiono teraz interfejs oraz mechanikę rozgrywki. Co prawda trudno spodziewać się nagłego zainteresowania nieustannie naprawianą zabawką, ale jej twórcy – firma CD Projekt – szykują już dla nas coś nowego. „Redzi" zapowiedzieli powrót w bezpieczną przestrzeń wciąż świetnie sprzedającego się uniwersum wiedźmińskiego. „Wiedźmin: Stary Świat" nie jest jednak tytułem przeznaczonym na pecety czy konsole. To planszówka robiona we współpracy z poznańskim zespołem Go On Board, którą sfinansowali sami gracze, błyskawicznie zapewniając producentom kilkadziesiąt razy większy budżet niż planowany milion złotych.

Kampanie crowdfundingowe od dawna wspierają rozwój gier. Miłośnicy planszówek – także w Polsce – mają swoje serwisy, w których dotują wybrane tytuły. Jednym z międzynarodowych bestsellerów, na które zebrano w ten sposób budżet, jest gra karciana „Eksplodujące kotki" (8 mln dolarów) czy francuska gra „The 7th Continent" (7 mln dolarów). W „Wiedźmina", na którego zbiórka skończyła się właśnie kwotą 37,5 mln zł, zagramy wiosną przyszłego roku. ©℗ MOCH

KULTURA W SKRÓCIE

BESTIE W CANNES
Do 74. festiwalu filmowego w Cannes zakwalifikowała się sześciominutowa animacja „Bestie wokół nas" Natalii Durszewicz, studentki Szkoły Filmowej w Łodzi. To osadzona w surrealistycznej przestrzeni opowieść, w której odwracają się role ofiar i drapieżników. Laureaci konkursu Cinéfondation zostaną ogłoszeni 15 lipca.

KSIĄŻKI W WARSZAWIE
Po raz 14. przyznano Nagrody Literackie m.st. Warszawy. W kategorii proza wyróżniono „Tkanki miękkie" Zyty Rudzkiej, za najciekawszy tomik poezji uznano „Zakłady holenderskie" Radosława Jurczaka, a wśród książek dla dzieci zwyciężyło „Którędy do Yellowstone? Dzika podróż po parkach narodowych" Aleksandry i Daniela Mizielińskich. Tytuł Warszawskiej Twórczyni przyznano Joannie Rudniańskiej, a najlepszą książką o Warszawie okazało się „Najlepsze miasto świata" Grzegorza Piątka.

LALKI W BIAŁYMSTOKU
Ponad 20 spektakli 15 teatralnych grup z kraju i świata zobaczymy podczas rozpoczynającego się właśnie Międzynarodowego Festiwalu Teatrów Lalek dla Dorosłych „Metamorfozy Lalek" w Białymstoku. Spektakle będą odbywały się we wszystkie weekendy czerwca, lipca i września.

RDC POLSKIE RADIO **MARTA ALICJA TRZECIAK** opowie Grzegorzowi Chlaście o tym, jak magia działa na zwierzęta (tekst na s. 58) w środę 23 czerwca o godz. 7.30. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia.
Warszawa 101 FM
Ostrów Maz. 87,6 FM
Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM
oraz na Mazowszu i w Warszawie

Historia zapisana w wodzie

W UPALNE DNI ŁATWO uzmysłowić sobie, jak bardzo nasz fizyczny i psychiczny dobrostan zależy od wody. Ok. 60 proc. naszego ciała składa się z wody, a utrata wody równoważnej 2 proc. masy ciała powoduje zaburzenia myślenia: trudniej nam się koncentrować, wolniej reagujemy na zagrożenie, pamięć zaczyna szwankować. Odwodnienie przekraczające 10 proc. masy ciała zagraża już życiu.

Ludzie są bardziej uzależnieni od wody od większości ssaków. Nie potrafimy jej magazynować w ciele, bez niej umrzemy w ciągu kilku dni. Nasz system chłodzenia wyróżnia się na tle innych naczelnych – posiadamy gęstszą sieć gruczołów potowych. Małpy człowiekowate przyjmują dziennie więcej wody (powyżej dwóch mililitrów na każdą kcal dostarczanej organizmowi energii) niż my (1,5 ml/kcal), ale głównie w pożywieniu (owocach) – więc mogą nie wypić ani kropli nawet przez kilka tygodni.

Jak to się stało, że człowiek tak bardzo uzależnił się od wody pitnej? W czerwcowym „Scientific American" Asher Y. Rosinger wyjaśnia, że wszystko zaczęło się 2-3 mln lat temu, u zarania naszego rodzaju, gdy klimat się osuszył. W tym czasie ludzie stają się wyżsi i szczuplejsi od małp człowiekowatych, dzięki czemu większa powierzchnia ciała wystawiona jest na wiatr – co ułatwia chłodzenie ciała. Jednocześnie wilgotne lasy zostają zastąpione sawannami – zmienia się więc środowisko życia naszych przodków. Wtedy rozwija się nasz system chłodniczy – tracimy większość owłosienia i rośnie liczba naszych gruczołów potowych. Możemy skutecznie ochładzać ciało w trakcie przemieszczania się. Zaczynamy więc pokonywać pieszo większe odległości – a ważną strategią polowania staje się ściganie ofiary przez kilka godzin, aż padnie ona z przegrzania.

Bogatsza dieta, oparta na mięsie, umożliwia utrzymanie większego mózgu, wraz ze wszystkimi jego zaletami, ale odległą konsekwencją tych zmian jest także to, że pierwsze miasta zakładamy w pobliżu rzek, a w lecie zawsze warto mieć przy sobie butelkę wody. ©℗ ŁUKASZ KWIATEK

TEMAT TYGODNIKA

CIAŁO IDEALNE NA LATO

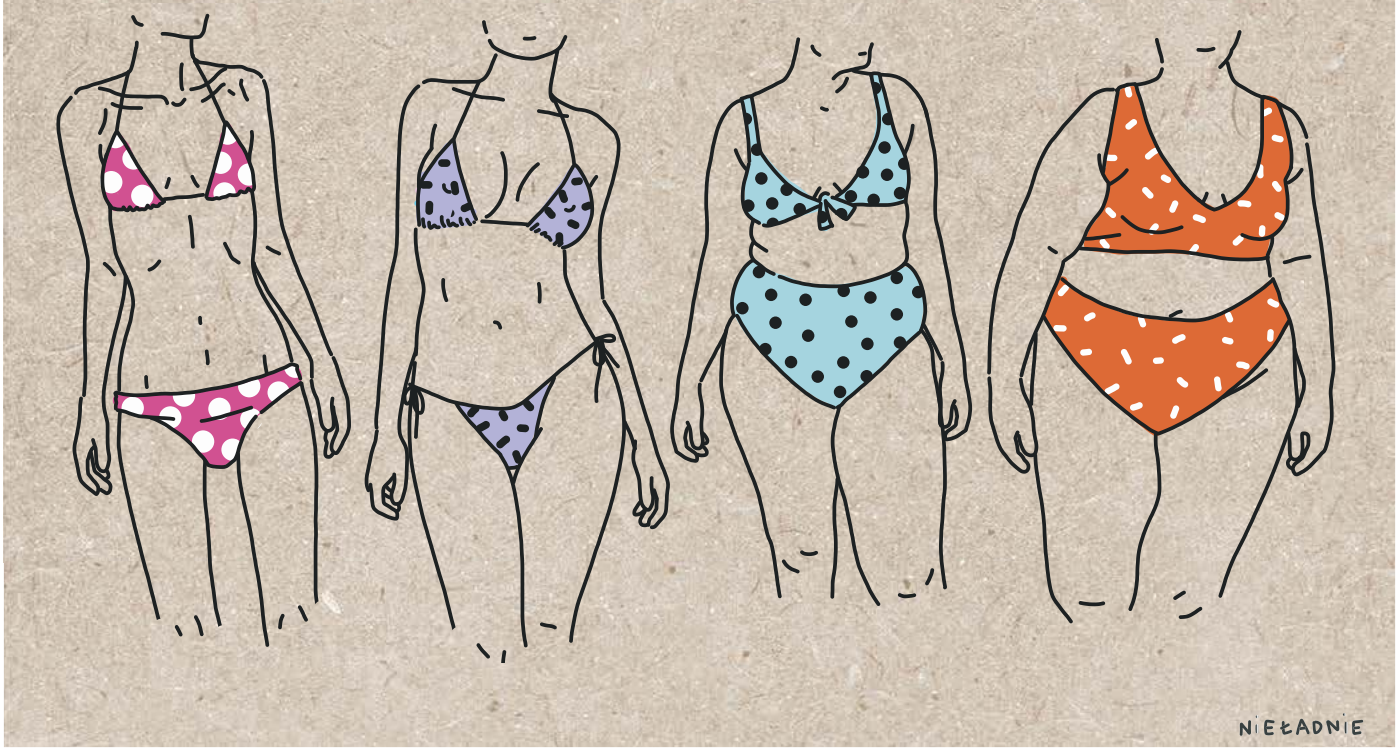

Zaświeciło słońce, zrzuciliśmy ciepłe ubrania.
Po pandemicznej izolacji marzymy o plaży.
A presja na idealny wygląd rośnie wprost proporcjonalnie do temperatury.

TEKST EWELINA BURDA | ILUSTRACJE KAMILA SZCZEŚNIAK / NIEŁADNIERYSUJE

Opowiada Kamila: – Miesiąc temu byłam w galerii mierzyć kostiumy kąpielowe. Jeden, drugi – źle. Tu coś wystaje, brzuch za duży. A przecież w teorii wiem, że to przesadne zastrzeżenia, bo mierzyłam najmniejsze rozmiary. Mam 34 lata, dwa lata temu urodziłam syna. W tej chwili ważę 53 kilo. Wiem, że jestem uprzywilejowana, bo mieszczę się w przyjętym kanonie. I ogólnie jestem zadowolona z tego, jak wyglądam. Ale na wadze wciąż staję codziennie.

Kamila Szcześniak, rysowniczka, działająca jako Nieładnierysuje, opublikowała ostatnio w sieci ilustrację: widać na niej cztery kobiety w strojach plażowych, prezentują różne typy sylwetek.

– Od dziewczyn i kobiet, które mnie obserwują, dostałam kilka tysięcy wiadomości – mówi. – Były dziewczyny, które mają tyle wzrostu, ile ja, i ważą sto kilo. Pisały o tym, jak się na zmianę głodzą i objadają, opowiadały o wyszydzaniu w szkole, o braku koleżanek. O wizytach u psychiatry i o tym, że znikąd nie otrzymują pomocy. O tym, że ubierają się w wielkie czarne worki i wstają zawsze z myślą „jestem obrzydliwa".

Pisały chude i kościste dziewczyny, które całe lato chodzą w dżinsach i dłu-

gich rękawach, pocą się i jest im gorąco, ale nie są w stanie ubrać się inaczej, bo boją się ocen.

Jedna z kobiet napisała, że urodziła trojaczki, a tydzień po porodzie partner zapytał, dlaczego został jej brzuch i kiedy zniknie. Inna opowiadała o pracy w sklepie spożywczym na kasie, gdzie jej ciało oceniają obcy ludzie – rzadko ktoś mówi jej coś w twarz, ale słyszy te uwagi rzucane pod nosem. Pewna kobieta opisała historię sprzed lat, kiedy jako nastolatka dostała pod choinkę od rodziców 21 kilogramowych opakowań cukru. Chcieli w ten sposób uświadomić jej, jak dużą ma nadwagę.

– Mamy silnie zakorzenione przyzwolenie na to, że jak idzie przysłowiowa „gruba baba", to możemy ją obciąć od góry do dołu, skomentować i na głos ocenić, bo nam się tak podoba – kontynuuje Kamila Szcześniak. – Wstyd się przyznać, ale mnie samej wielokrotnie zdarzało się wypluć komentarz: „ale gruba", „szkielet or". Nie w twarz, ale te podszepty z boku też są bolesne.

– A dlaczego wszyscy mamy być tacy idealni? – pyta. – To nie jest przecież nasz obowiązek. I moje rysunki są o tym. Mam wrażenie, że z akceptowaniem wszystkich ciał jest trochę tak, jak ze szczepionkami: dopiero gdy 70 proc. społeczeństwa się zaszczepi, będziemy odporni. I dopiero jak większość z nas zacznie postrzegać ocenianie cudzego ciała jako grubiaństwo, coś ruszy.

Patrzymy w lustro

Co Polacy sądzą o swoich ciałach? Czy jesteśmy zadowoleni ze swojego wyglądu? Bada to co kilka lat CBOS, ostatnie sondaże pochodzą z 2017 r. Wtedy niezadowolenie ze swojego wyglądu zadeklarowało 25 proc. Polek i 16 proc. Polaków. Akceptacja dla swojej fizyczności spada wraz z wiekiem.

Własny wygląd jest dla Polaków bardzo ważny, zdecydowana większość (87 proc.) przywiązuje do niego duże znaczenie. Trzy czwarte badanych podkreśla, że ma on duży wpływ na powodzenie w życiu osobistym i zawodowym. Zmiany wyglądu? 18 proc. badanych mówiło o takiej potrzebie, najczęściej chcieli schudnąć, na drugim miejscu była poprawa muskulatury.

Od publikacji raportu CBOS minęło kilka lat, ale patrząc na inne badania dotyczące relacji z ciałem (według badań WHO Polska przoduje w niezadowoleniu z wyglądu; polskie nastolatki są najbardziej krytyczne w stosunku do swojego ciała na tle młodzieży z całej Europy) czy głosy ekspertów, można zakładać, że odsetek niezadowolonych ze swojego wyglądu w kolejnym sondażu będzie wyższy.

W dyskusji o idealnym ciele, która przybiera na sile, gdy zaczyna się robić cieplej, na pierwszy plan wysuwają się waga i tematy związane z odchudzaniem. W czasie pandemii Polacy przytyli: 42 proc. przybrało na wadze średnio 5,7 kg – wynika z badania Ipsos „COVID 365+" zrealizowanego w pierwszym kwartale 2021 r. Problem nadwagi lub otyłości dotyczy dziś co drugiego mieszkańca Polski – to świeże dane, również z początku tego roku. Co na to wpłynęło? Podczas izolacji poziom aktywności fizycznej spadł, dziś 43 proc. dorosłych Polaków nie realizuje jej minimalnego poziomu, który według WHO wynosi między 150 a 300 minut umiarkowanego wysiłku fizycznego w tygodniu.

Co jakiś czas badania dotyczące wyglądu, stosunku do własnego ciała i kompleksów zlecają koncerny z szeroko rozumianej branży *beauty*. Często jednak bazują one na ankietach i nie są przeprowadzane na reprezentatywnej próbie. Trudno zakładać też neutralność – branże kosmetyczna czy fitness są niezwykle silnymi graczami, jeśli chodzi o kreowanie kanonu piękna i zarządzanie kompleksami, a sprzedawanie określonego wyglądu pod przykrywką troski o zdrowie jest wręcz standardem.

Zdrowie i liczby

Aneta mówi: – W rodzinie zawsze byłam tą idealną. Jak coś poszło mi nie tak, to mówili, że to „rysa na diamencie". Bardzo chciałam schudnąć, określiłam sobie cel, ale waga po pewnym czasie przestała spadać. Nie mogłam tego znieść, zaczęłam szukać innych sposobów. Wpadłam w zaburzenia odżywiania, w bulimię, zapętliłam się w tym. Jak szłam na plażę, to zawsze zastanawiałam się, co ludzie o mnie pomyślą, jak skomentują. Rozbierałam się, opalałam, ale ta myśl była zawsze ze mną.

– Ten „trud lata" wydaje mi się szczególny w tym roku, bo podczas izolacji w pewnym sensie byliśmy w strefie komfortu, w domu – tłumaczy Agata Głyda, terapeutka i psychodietetyczka, autorka książki „Równowaga. Jak ogarnąć dietę i odzyskać spokój". – Wiele osób w terapii zgłasza ten problem, że są oceniane z powodu zmiany wagi; że inni pozwalają sobie na komentarze, że nazywają grubasami. Bo choć „gruby" to w teorii normalny przymiotnik, jednak w codziennym języku nacechowany jest bardzo negatywnie: że gorszy, leniwy. Ale też wiem, że dużo osób o wyższej wadze jest za tym, żeby słowo „gruby" normalizować i go używać.

– Ciało warto kochać bez względu na rozmiar. Żeby mieć *bikini body*, wystarczy włożyć bikini. Bo każde ciało jest dobre na plażę – mówi Marta Kielak, dietetyczka z fundacji Kobiety bez Diety. – Rozmawiamy w fundacji z kobietami o bardzo różnym wyglądzie. Większość z nich jest całe życie na diecie. Często zaczyna się odchudzaniem wakacyjnym, tak promowanym przez wiele pism kobiecych. Po wakacjach i nagrodzeniu się jedzeniem za wcześniejsze „cierpienie" najczęściej utracone kilogramy wracają, a te osoby zostają w poczuciu niedoli i porażki. To błędne koło. A ciągłe diety i wahania wagi nie są dla kobiet dobre ze względów np. hormonalnych. Mężczyźni z kolei często się przetrenowują, pracując tylko nad konkretnymi partiami ciała, co nie jest dobre dla mięśni czy dla układu szkieletowego. Ta presja na dążenie do określonego wyglądu nie pomaga w czuciu się zdrowo i po prostu dobrze, bo organizm nie lubi dużej liczby zmian, a adaptacja też bywa dla niego trudna. Warto go małymi krokami prowadzić w stronę zdrowia, a nie w stronę ciała na sezon plażowy – tłumaczy.

Na fali dążenia do kanonu ważniejsze od zdrowia stają się często liczby: ta widoczna na wadze, obliczony w internecie współczynnik BMI, rozmiar na metce.

– To, że wartość na wadze nie pokazuje wartości człowieka, brzmi jak banał, ale dla wielu nie jest wciąż oczywiste – mówi Kielak. – Bez względu na to, czy to jest niedowaga, otyłość, czy dopiero co przekroczona magiczna górna granica wskaźnika BMI, czyli stosunku masy ciała do wzrostu. Warto sobie uświadomić, że wskaźnik BMI opracowano dwieście lat temu, i że nie jest najważniejszy. Pod względem zdrowotnym dużo istotniejsze są wyniki badań krwi, zawartość tkanki tłuszczowej wisceralnej, masy mięśniowej czy wody w organizmie. Mnóstwo osób mieści się w normach BMI, ale ich organizm dostaje np. słabe jakościowo jedzenie – wyjaśnia dietetyczka.

↦

– Jesteśmy dziś od ciała mocno odklejeni. Traktujemy je jak maszynę, która ma działać i się nie psuć. Dodatkowo rozdzielamy psychikę i fizjologię. A wiemy już, że jelita są niemal jak drugi mózg, że stan ich mikroflory wpływa na nasze samopoczucie, na pracę układu nerwowego, i że to jest ściśle ze sobą powiązane. Jeśli będziemy się troszczyć o to, co nakładamy sobie na talerz, to zadbamy o całokształt: o funkcjonowanie narządów, procesy metaboliczne i samopoczucie – podkreśla Kielak.

Same plusy

Mówi Hanna: – Jako dziecko miałam nadwagę i odstający brzuch. Mama często powtarzała mi, żebym się nie ubierała w rzeczy obcisłe, swetry musiały kończyć się na biodrach, podkoszulki latem musiały być luźne. Byłam już dorosła, kiedy ktoś mi uświadomił, że idealnie płaskie brzuchy u kobiet są raczej wyjątkiem niż średnią.

Jakiś czas temu pojechałam do mamy w swetrze, w którym się świetnie czułam, cieszyłam się, że go kupiłam. Mama powiedziała: „W tym swetrze to średnio, bo ci widać brzuch". Przez chwilę poczułam się źle w czymś, w czym przed chwilą było mi fantastycznie. Znów byłam jak ta mała dziewczynka.

– Niezadowolenie z ciała jest wyuczone: to nie tak, że od urodzenia patrzymy na brzuch i myślimy: za duży, brzydki, wystający – tłumaczy Agata Głyda. – Kształtują nas tu głównie trzy rzeczy. Po pierwsze, środowisko rodzinne, które uczy nas pewnych emocji, jak silnie związana z ciałem emocja wstydu. Dziecko uczy się przez obserwację: widzi mamę, która narzeka na swój wygląd, która ciągle mówi, że musi schudnąć. To w nim zostaje. Drugi to środowisko rówieśnicze, w którym za inność łatwiej zostać odrzuconym niż zaakceptowanym. A trzecie to kultura, w której żyjemy, media, którym daleko do ciałopozytywności. Gdzie sprowadzani jesteśmy do jednego słusznego kanonu piękna i wszystko, co się weń nie wpisuje, wpędza nas w kompleksy – wylicza psychodietetyczka.

> Osoby z otyłością w kostiumach kąpielowych nie manifestują „bądź taka, jak ja". One pokazują: „to jestem ja".

Ciałopozytywność to polski odpowiednik nazwy ruchu społecznego *body positive*, który przez pokazywanie całego spektrum ciał ma uczyć akceptowania ciała innych oraz swojego tu i teraz, takim, jakie akurat jest. Korzenie ruchu sięgają lat 60. XX w., a na początku był on ściśle zorientowany na walkę z dyskryminacją osób o większej wadze, co do dziś pozostaje jego trzonem. Przeciwnicy i ci, dla których treści promowane przez ruch są trudne do zaakceptowania, najczęściej zarzucają mu jednak, że zajmuje się promocją otyłości.

Agata Głyda: – Czy ruch ciałopozytywny ma promować osoby o wyższej wadze? Tak, ma promować fakt, że takie osoby istnieją. Ale czy promuje to, by zachorować na E66, bo taki ma numer otyłość w klasyfikacji zaburzeń? Nie. Ma pokazywać, że te osoby są w przestrzeni publicznej i nie muszą się ukrywać. Jako społeczeństwo jesteśmy strasznie uprzedzeni wobec osób otyłych, stereotypy są tu bardzo silne. Przestrzeń dla nich i równe traktowanie mogą pomóc systemowo leczyć otyłość, gdy w gabinecie lekarskim osoba o wyższej wadze nie usłyszy już słów „proszę schudnąć" jako recepty na wszystkie schorzenia, a w przestrzeni publicznej nie będzie się wstydziła zjeść posiłku. Media społecznościowe, mimo swoich wielu wad, pozwoliły tym osobom trochę się pokazać.

Marta Kielak: – Nadwaga i otyłość narastają w zastraszającym tempie, to naglący problem dla społeczeństw, bo wiążą się z nimi choroby metaboliczne, i już w wieku 30-40 lat możemy mieć cukrzycę, hipercholesterolemię, problemy stawowe. A otyłości mogą towarzyszyć depresja czy obniżony nastrój. Nie można tego problemu ignorować i zawsze warto dbać o zdrowie. Jednak droga do zdrowia i dobrego samopoczucia nie wiedzie przez stygmatyzację osób o większej masie ciała i presję na konkretny wygląd. To, że osoby z otyłością noszą kostiumy kąpielowe czy krótkie sukienki, nie znaczy, że coś promują i manifestują „bądź koniecznie taka, jak ja". One pokazują: „to jestem ja". Potrzebna jest nam normalizacja i złoty środek. Bardzo często, żeby zacząć dbać o ciało i zdrowie, musimy zaakceptować to miejsce, w którym jesteśmy.

Na swojej skórze

Opowiada Dominika: – Od 14 lat moje łokcie i nogi pokryte są zmianami, mam łuszczycę. Czasem ludzie uważają, że osoby z chorobami czy problemami skórnymi są zapuszczone, nie dbają o siebie. A my aż za bardzo skupiamy się na tej skórze, ona ustawia całe nasze życie. Nigdy nie zapomnę, jak po wielu namowach pojechałam z przyjaciółką i jej znajomymi na Mazury. Przed wyjazdem cały czas myślałam o tym, żeby tylko była brzydka pogoda i że będę się naprawdę bardzo cieszyć, jak będziemy chodzić w dresach i nie będzie trzeba nic nikomu tłumaczyć. Pogoda była ładna, a mnie nikt o nic nie pytał.

Wielu osobom na problemy skórne pomaga słońce. Ale zasłaniają się ubraniami, bo się wstydzą, boją oceny, spojrzeń. O swojej skórze piszę na Instagramie, podpisuję się Pani Łuska. Ktoś kiedyś zarzucił mi, że skoro akceptuję łuszczycę, to dlaczego się leczę? A ja powtarzam, że akceptacja nie oznacza bierności. Dziś już się nie wstydzę, gdy ktoś na mnie spojrzy. Może zrobił to z ciekawości? A może pomyślał sobie: odważna dziewczyna, bo pokazuje swoją skórę?

Mniej nie znaczy wcale

Adam mówi: – Jak słyszę „lato" i „ciało", to od razu myślę: „włosy". Od wczesnego okresu dojrzewania mam silne owłosienie. To na twarzy jest określane jako „sexy", na rękach i nogach jest traktowane neutralnie, ale już włosy na plecach zawsze wzbudzały obrzydzenie. To, że jestem „owłosiony jak małpa", było latem jednym z elegantszych sformułowań. Zastanawiałem się kiedyś, czy się po prostu nie golić. Kolega powiedział mi wtedy, że może lepiej, żebym tego nie robił, bo dla faceta i tak lepiej być „obleśnym" niż „pedałem".

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

PAWEŁ PIENIĄŻEK opowie Agnieszce Lichnerowicz w „Światopodglądzie" Radia TOK FM o sytuacji w Donbasie (tekst na s. 46), w środę 23 czerwca o godz. 16.00. Zapraszamy!

87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń | 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce **www.tokfm.pl**

– Mężczyźni nie są wolni od presji na idealne ciało. Słyszą, że facet zaczyna się od metra osiemdziesiąt, że nie może być niższy od kobiet. Że prawdziwy mężczyzna to minimum 80 kilogramów. Dużo się mówi teraz o emancypacji kobiecych ciał, bo i też presja jest znacznie większa, ale faceci mają swoje kompleksy i na plaży też mogą czuć się zawstydzeni z różnych powodów – tłumaczy Agata Głyda. – Bycie mężczyzną w mniejszym ciele, brak muskulatury, do jakiej przyzwyczaiła nas kultura masowa, bywają powodem do wyszydzania w każdym wieku. Mężczyźni mają też ogromną barierę przed mówieniem o ciele, i musi to być naprawdę dobra relacja, czy to z bliską osobą, czy terapeutyczna, żeby się odważyli. Wydaje mi się, że ciałopozytywność męska jest jeszcze przed nami. Ale to zacznie się dziać, bo widać, że za granicą powoli już rusza.

Po co to pokazywać

Na początku czerwca dyskusję w mediach społecznościowych, a także poza nimi, wzbudził post celebrytki Agnieszki Kaczorowskiej, która napisała o tym, że zapanowała „moda na brzydotę", a pokazywanie na zdjęciach rzeczy, które nie wpisują się w kanon piękna, jest „siedzeniem w błotku, w którym tak miło się taplać". To, że media społecznościowe są głównym kanałem dla nurtu ciałopozytywnego, wcale jednak nie oznacza, że zdjęcia, na których widzimy wyidealizowane życia i ciała, z miejsca stają się mniejszością. Przekaz mainstreamowy pozostaje stały.

Aktywistki ciałopozytywne (bo to w Polsce – przynajmniej na razie – tylko kobiety) w mediach społecznościowych pokazują czasami wręcz niewygodne dla mainstreamu wizerunki ciał. Bo w mainstreamie, nawet gdy już pojawiają się modelki *plus size*, to zawsze są wydepilowane, opalone i mają pożądaną figurę klepsydry. Czyli są po części w kanonie.

Kaya Szulczewska na Instagramie prowadzi profil ciałopozytyw_polska: – Chcę tworzyć takie miejsce, żeby można było zobaczyć różnorodne ciała i posłuchać historii, jakie za nimi stoją. Często słyszę zarzut: „My wiemy, że tak wyglądają ciała, ale po co to pokazywać?". Sama na ciałopozytywność trafiłam w 2017 r. przez temat włosów na ciele. Przeczytałam artykuł o dziewczynie, która się nie goli. Zawsze miałam z tym problem, szczególnie latem: po depilacji włosy wrastały, miałam stany zapalne, a efekt ciągle był daleki ↦

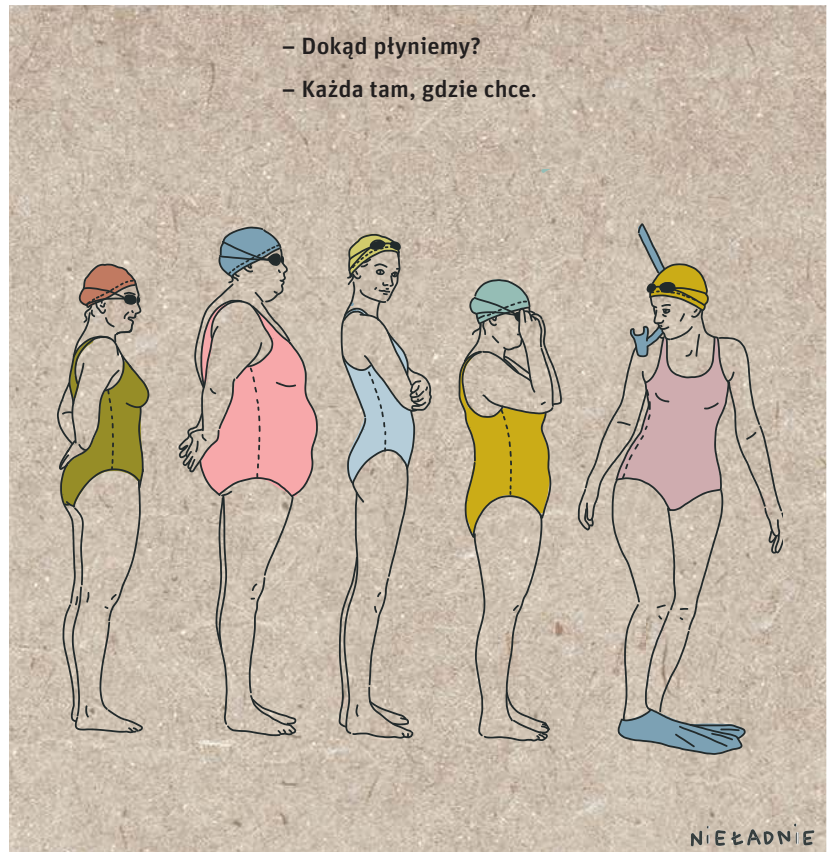

Jak czuć się lepiej na plaży (i nie tylko)

RUSZ SIĘ
Obraz ciała w naszej głowie poprawia regularny ruch. Nie chodzi o treningi, które mają sprawić, że będzie się wyglądało w określony sposób. Chodzi o wybieranie ruchu, który nie katuje nas zmniejszeniem obwodu talii lub zwiększeniem obwodu bicepsa, lecz który rozwija ciało i uczy szacunku do niego. Aktywność fizyczna nie zawsze będzie łatwa, ale gdy znajdziemy coś na miarę naszych możliwości, to przestanie być karą.

OSWÓJ SIĘ W DOMU
Jeśli wstydzisz się wyjścia na plażę, przymierz i ponoś strój kąpielowy wcześniej. Gdy krępują cię krótkie spodenki – zanim pójdziesz na spacer do parku, spędź w nich kilka godzin. Jeśli wstydzisz się braku muskulatury, częściej zdejmuj w domu koszulkę. Polecanym przez wielu terapeutów ćwiczeniem na poprawę obrazu ciała jest chodzenie po domu bez ubrań – żeby najpierw przed sobą osłabić uczucie wstydu.

SKUP SIĘ NA TU I TERAZ
Jesteś już na plaży lub w parku? Spróbuj skończyć z próbami czytania ludziom w myślach, skup się na tu i teraz. A w naturze są ku temu świetne okazje. Możemy poczuć, jak na spacerze wiatr chłodzi nasze ciało i rozwiewa nam włosy, jak na plaży piasek grzeje nasze stopy i przesypuje się przez dłonie; możemy się skupić na doświadczeniu powolnego wchodzenia do wody, poczuć granicę między zimnem a ciepłem. Negatywne myśli mogą wracać: jeśli potrafimy, nie uciekajmy przy pierwszym dyskomforcie. Jedni wolą skok na głęboką wodę, dla innych lepsze będzie powolne zanurzenie.

OPRAC. EWELINA BURDA NA PODST. ROZMÓW Z AGATĄ GŁYDĄ

Jak odpowiadać na komentarze dotyczące ciała

Zwracając uwagę na wygląd, ludzie mają różne intencje. Możemy tylko zakładać, dlaczego coś mówią, nigdy nie mamy pewności. Ale zawsze mamy prawo powiedzieć, że tego nie chcemy. Nie po to, żeby sprawić komuś przykrość czy próbować na siłę go zmienić, ale po to, żeby chronić siebie.

▪ NIE PRZYJMUJĘ OPINII, O KTÓRE NIE PROSIŁAM/EM
Prosto, asertywnie, bez tłumaczenia się. Nie dziękujemy w odpowiedzi – wtedy w pewien symboliczny sposób nie przyjmujemy tego niechcianego komentarza-prezentu.

▪ W JAKIM CELU MI TO MÓWISZ?
To pytanie otwarte, które nie zamyka tematu, lecz prowokuje do dalszej dyskusji – zastanówmy się, czy jesteśmy na nią gotowi. Może być pomocne, jeśli poprzednie prośby nie przyniosły rezultatu. Dajemy komentującej osobie możliwość zastanowienia się, w jakim celu naprawdę zwraca nam uwagę.

▪ NIE JESTEM OD ZASPOKAJANIA POTRZEB ESTETYCZNYCH
Podkreślamy, że jesteśmy podmiotem, a nie przedmiotem, i nie istniejemy po to, żeby się komuś podobać. Nasze ciało to nie muzealny eksponat.

▪ WIDZĘ, ŻE JEST CI TRUDNO PRZYJĄĆ MÓJ WYGLĄD
Możemy spróbować w ten sposób, jeśli ktoś przejawia nadmierną troskę, o którą nie prosimy. Bywa tak, że ktoś jest pogodzony ze swoim ciałem albo jest w trakcie terapii, a grono samozwańczych specjalistów chce tę osobę leczyć.

▪ NIE CHCĘ, BYŚ KOMENTOWAŁ/A MÓJ WYGLĄD. CZUJĘ SIĘ WTEDY ŹLE
Zwracamy uwagę na swoje emocje, na to, jak się czujemy, i komunikujemy to, czego oczekujemy od drugiej osoby.

OPRAC. EWELINA BURDA
NA PODST. ROZMÓW Z AGATĄ GŁYDĄ

↦ od kanonu piękna. Czułam, że to jest skazana na porażkę walka ze swoim ciałem, która odbija się na moim samopoczuciu i samoocenie. Czy dziś nieogolone nogi i pachy u kobiety szokują? Pewnie tak. Czy ludzie się gapią? Czasami. A przecież depilacja to stosunkowo młoda presja, moda na nią w naszym kręgu kulturowym zaczęła się całkiem niedawno – mówi.

Działaczka podkreśla, że ciałopozytywność nie jest od promowania nowego kanonu. – Ma na celu pokazywać rzeczy poza nim, żeby dawać miejsce na różnorodność i uczyć akceptacji względem innych ciał. Także własnych.

– Działam aktywistycznie na Instagramie i wynika z tego dużo dobrego, bo media społecznościowe dają możliwość dotarcia do większej liczby osób – mówi Szulczewska. – Jednak będąc tam, czuję się winna, że utrzymuję ludzi w tym mocno toksycznym medium, które ma na celu głównie przyciągnięcie reklamodawców, żeruje na podsycaniu stereotypów i kompleksów. Dlatego w budowie jest strona internetowa cialopozytyw.pl, gdzie nie będzie ciałonegatywnych reklam. Bo teraz, gdy pokazuję na moim profilu cellulit, to zaraz obok pojawiają się reklamy czegoś na jego zwalczanie; gdy mówię o cieniach pod oczami, to moi obserwujący i obserwujące widzą reklamy specjalistycznych kremów. I nie mam na to wpływu. Łatwo jednak o skrajne podejście, bo media społecznościowe sprzyjają radykalizowaniu się stron, a nie chodzi teraz przecież o to, żeby narzucać kobietom, że mają nóg nie golić albo że wszyscy powinniśmy przytyć.

– Byłam ostatnio nad Bałtykiem i okazuje się, że na polskich plażach jest bardzo ciałopozytywnie. Można robić sobie wspaniałą terapię wizualną – dodaje Szulczewska. – Mamy ciała starszych i młodszych, są grubsi i chudsi, z wiszącą skórą... Powinniśmy dążyć do większego luzu w kwestii wyglądu, żeby ciągle nie łypać na siebie: bo ten jest gruby, a tamta nie ogoliła pach. Doświadczajmy życia, zamiast ciągle męczyć siebie i innych komentowaniem wyglądu.

©℗ EWELINA BURDA

Imiona niektórych postaci zostały zmienione.

„TP" 23 / 2021

Koniec wspólnoty pamiętania

Marek Rabij, pisząc w krótkiej nocie o końcu Naszej Klasy, nie wspomniał o charakterze tego portalu. Nie był to prosty poprzednik Facebooka, ale coś w rodzaju wspólnoty pamiętania, którą budowały nie tylko użytkowniczki i użytkownicy, wklejający i komentujący szkolne i rodzinne zdjęcia, ale też interfejs i podstawowe algorytmy. Brakuje nam dyskusji o tym, jak nasze biografie i nasza pamięć formatowane są przez narzędzia i komunikację cyfrową. Dyskusja ta może otwierać ciekawe wątki: Facebook czy Instagram ma wpływ nie tylko na nasze wybory polityczne czy zakupy online, ale też wizję siebie i własnej czy rodzinnej przeszłości. Fotografie z dzieciństwa publikowane na milionach profili nie są jedynie narzędziem nostalgii, ale archiwum współtworzonym przez interakcje użytkowników, interfejs serwisu i jego algorytmy filtrowania. Te ostatnie nadają kontekst umieszczanym w archiwum zasobom, robiąc to w sposób bezwzględny i ignorujący historie, które stoją za fotografiami. W 2014 r. Facebook oficjalnie przeprosił za automatyczne generowanie fotograficznych podsumowań w ramach „Year in Review", na których umieszczono m.in. fotografie urny pogrzebowej, palącego się mieszkania czy zmarłych w tamtym roku dzieci. Problemem staje się również własność naszych zbiorów biograficznych, które w serwisach społecznościowych stają się skomercjalizowaną treścią: w 2016 r. niemiecki sąd oddalił żądanie rodziców tragicznie zmarłej nastolatki, którzy starali się uzyskać kontrolę nad jej kontem facebookowym. Wątki te podejmowano naukowo, np. w 2009 r. w zbiorze „Save As... Digital Memories" (red. Joanne Garde-Hansen, Andrew Hoskins, Anna Reading). „W miarę, jak nasze życie staje się coraz bardziej zdigitalizowane, cyfrowe wspomnienia stają się nami" – czytamy we wstępie. Koniec Naszej Klasy jest więc nie tylko końcem modelu biznesowego, ale też upadkiem lokalnej infrastruktury pamięci, która – wobec braku jakichkolwiek działań archiwizacyjnych – w Polsce przepada na zawsze.

MARCIN WILKOWSKI

„TP" 25/2021

Bez wyższości o wsi

Z przyjemnością przeczytałam reportaż Elizy Leszczyńskiej-Pieniak ze Starego Brusa. Sama pochodzę z gminy Dąbrowa Białostocka: czytając ten tekst, czułam się jak w domu, jakbym rozmawiała z sąsiadami. Uważam, że zbyt wiele jest reportaży z polskiej wsi napisanych z perspektywy dużego miasta. Najczęściej bez znajomości specyfiki problemów tych terenów, z poczuciem wyższości, opartych na epatowaniu biedą i słabościami albo na przedstawianiu eko/slow sielanki. Tu miałam poczucie wyważonej prawdy, przedstawionej z szacunkiem dla bohaterów. Dziękuję za tę pracę, która przybliża rzeczywistość wsi ze wschodniej Polski.

MARIA

Autorzy opublikowanych listów dostaną od nas notes KS. BONIECKIEGO.

PROŚBA O POMOC

Fundacja Charytatywna Pomoc Polakom na Kresach im. ks. dr. Mosinga zwraca się z prośbą o pomoc dla 45-letniego Wiaczesława Haczki z Połonnego na Ukrainie. Wiaczesław w zimie br. uległ wypadkowi, w którym doznał poważnego uszkodzenia kręgosłupa. Przeszedł dwie operacje, ale by mógł powrócić do choć częściowej samodzielności, potrzebna jest długa i kosztowna rehabilitacja. Zebrane dotychczas środki pozwoliły na opłacenie ponad miesięcznej terapii – tylko kontynuacja rehabilitacji może sprawić, że Wiaczesław zacznie chodzić. Prosimy o wpłaty na konto fundacji: **BNP Paribas Bank Polska SA 23 2030 0045 1110 0000 0222 0700 – z dopiskiem „Wiaczesław Haczka".**

ANDRZEJ MICHALAK
FUNDACJA KS. DR. MOSINGA

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik),
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Okoński, Michał Kuźmiński (kierownik), Monika Ochędowska
TP Typografia: Marta Bogucka, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska, Maja Kuczmińska (kierownik), Mateusz Gawron, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Manager IT: Bartłomiej Swojak
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Jan Klata, Andrzej Stasiuk, Jacek Podsiadło, Dorota Masłowska, Zuzanna Radzik, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Hanna Krall
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

MAŁGORZATA

Kordowicz:
Miriam

10 DNIA MIESIĄCA NISAN 2487 ROKU zmarła w Kadesz, przeżywszy lat 126 (lub 127 jak pramatka Sara), prorokini Miriam córka Amrama, zwana też Pua, Azuba i Efrata, żona Kaleba, matka błogosławionej pamięci Chura, babka Uriego oraz prababka Becalela, o czym zawiadamiają pogrążeni w głębokim smutku bracia Aaron i Mojżesz wraz z rodzinami" – tak mógłby wyglądać nekrolog Miriam w pustynnej gazecie.

Pua? Tak się przecież nazywała jedna ze szlachetnych położnych hebrajskich kobiet, która nie usłuchała okrutnego rozkazu faraona, by zabijać chłopców zaraz po urodzeniu! To nie przypadek: tradycja, która nie dopuszcza myśli, by położnicom asystowały nie-Hebrajki, utożsamia Puę m.in. z Miriam. Pięciolatka pomagająca matce przyjmować porody? Z drugiej strony sugerowana etymologia imienia łagodzi rozdźwięk wywołany młodym wiekiem: Miriam wydawała odgłosy podobne do gruchania (heb. *poa* od rdzenia *pa'a*), które uspokajały łkające noworodki, ewentualnie ukazała swoje oblicze (*hofi'a* od *pa'a*), mówiąc w twarz faraonowi, że biada mu. Władca chciał ją zgładzić, ale przekonał go argument matki, że dziewczynka nie zdaje sobie sprawy, do kogo lub co mówi.

Imiona Azuba i Efrata wzięły się z 1 Krn 2, 18-20. Rabinom nie mieściło się w głowie, że Miriam mogłaby nie być żoną i matką. Ożenili więc z nią Kaleba, naczelnika plemienia Judy, jednego spośród dwunastu wywiadowców Mojżesza w Ziemi Kanaan i jednego z dwóch wywiadowców Jozuego w Jerychu. *Azuwa* znaczy „porzucona" – np. dlatego, że żywiła odosobnione poglądy w Egipcie. W morzu niewolniczej goryczy (*mar* znaczy „gorzki") to ona stanowiła promień nadziei: przekonała zdesperowanego ojca, by wrócił do matki i prorokowała, że Jochebed urodzi wybawiciela. *Meri* z kolei znaczy „bunt" – Miriam od maleńkości szła pod prąd. Skoro „wybawienie z Egiptu nastąpiło dzięki kobietom w tym pokoleniu", zapewne miała w tym niemały udział ich mentorka.

Rabini imputują, jakoby Miriam była szpetna – stąd *azuwa*, bo nikt jej nie chciał. Dopiero „dał jej życie" Kaleb (w wersie 18. jest sformułowanie, że spłodził on swoją żonę, „poprawiane" przez tłumaczy). Według midraszu ich syn Chur zginął tragicznie, próbując przeciwdziałać powstaniu złotego cielca – pomysł stąd, że idący na górę Mojżesz poruczył obóz Aaronowi i Churowi, a potem ten drugi gdzieś się rozpłynął.

Talmud powiada, że Izraelici mieli trójkę wyśmienitych przywódców: Mojżesza, Aarona i Miriam, po czym śpieszy dodać, że bracia przewodzili całemu ludowi, siostra zaś była nauczycielką kobiet. Z tej perspektywy nie dziwi fakt, że na kartach Biblii prorokini pojawia się li tylko kilkakrotnie. „Daremne żale, próżny trud, bezsilne złorzeczenia", by z historii wyłuskać pełnokrwistą herstorię. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Epizod w życiu

„BÓG NIE JEST SPRAWCĄ ŚMIERCI, NIE MA upodobania w zagładzie żyjących. Uczynił wszystko, aby istniało, wszystkie stworzenia na ziemi są potrzebne, nie ma w nich zabójczego jadu, a otchłań śmierci nie panuje nad światem. Prawość jest nieśmiertelna. Przecież Bóg uczynił człowieka nieśmiertelnym, stworzył go dokładnie na swój obraz, a śmierć wdarła się na świat przez zazdrość diabła, doświadczają jej ci, którzy stoją po jego stronie". Z końcem czerwca zaczynają się wakacje i już samo to sprawia, że powyższy cytat z Księgi Mądrości nie brzmi aż tak bardzo optymistycznie. Od poprzednich wakacji minął rok i o tyle skróciło się nam życie. Oczywiście na upływ czasu można popatrzeć od drugiej strony i powiedzieć, że przecież o ten ubiegły rok żyliśmy dłużej, ale marna to pociecha. Autor Księgi Mądrości mówi też, że w Bożych stworzeniach „nie ma zabójczego jadu", a tymczasem dzień w dzień mikroskopijnej wielkości boże stworzonka zabijają swoim jadem najpotężniejsze drapieżniki – ludzi. Latem zachwycają nas „umajone łąki", a tak po prawdzie są one areną krwawych zmagań, nawet jeśli ta krew ma barwę zieloną.

Tak też dzieje się w ludzkich mrowiskach zwanych miastami. Karol Darwin mówi: „Wzniosły zaiste jest to pogląd, że Stwórca natchnął życiem kilka form lub jedną tylko i że gdy planeta nasza podlegając ścisłym prawom ciążenia dokonywała swych obrotów, z tak prostego początku zdołał się rozwinąć i wciąż się jeszcze rozwija nieskończony szereg form najpiękniejszych i najbardziej godnych podziwu", ale „człowiek ze wszystkimi swoimi szlachetnymi przymiotami, ze współczuciem, jakie odczuwa wobec najbardziej poniżonych, z życzliwością, jaką ogarnia nie tylko innych ludzi, ale też najniższe żyjące istoty, z całym swoim intelektem, który czyni go podobnym bogom i którym zdołał przeniknąć zasady ruchu i budowę Układu Słonecznego – będąc obdarzony całą tą wielką władzą – wciąż nosi w swojej cielesności niewymazywalne piętno swojego niskiego pochodzenia".

Jeśli więc śmierć jest tak mocno związana z życiem i jest siłą napędową tegoż życia, to może nie jest ona wyłącznie dziełem diabła? Skoro życie warunkuje śmierć, a śmierć warunkuje życie, to dlaczegoż nie popatrzeć na nią życzliwszym okiem? Wiemy przecież, że Syn Boży podzielił los stworzenia i przeszedłszy przez śmierć, uczynił z niej wyraz najczystszej miłości. Paweł Apostoł mówi: „Nikt z nas nie żyje dla siebie i nie umiera dla siebie. Bo jeśli żyjemy, żyjemy dla Pana; jeżeli umieramy, umieramy dla Pana. Czy więc żyjemy, czy umieramy, należymy do Pana. Po to przecież Chrystus umarł i zmartwychwstał, aby się stać Panem tak żywych, jak i umarłych" – Panem nieśmiertelnego życia, w którym śmierć jest epizodem jednym z wielu. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Zakwestionowany autorytet

Sporą część Drugiego Listu św. Pawła do Koryntian stanowi autoapologia Apostoła. Jego autorytet został zakwestionowany. W Kościele, który sam założył, w ciągu półtorarocznej pracy, pełnej trudu i niebezpieczeństw, pojawili się inni „wielcy apostołowie", zarzucający Pawłowi brak kompetencji i wykształcenia, chwiejność i fałszowanie Ewangelii. Paweł broni swego autorytetu; przy czym nie czyni tego z racji na samego siebie. Jest pewien, że zaślubił młody Kościół koryncki Chrystusowi jako Oblubieńcowi, i wie, że walka ostatecznie toczy się o zachowanie i wzmocnienie tej właśnie relacji.

Myślę, że te fragmenty są nam obecnie szczególnie zadane do medytacji – w chwili, gdy nasz autorytet, Kościoła jako całości, ale pasterzy – następców apostołów – przede wszystkim, został zakwestionowany i opatrzony wieloma wątpliwościami.

W jaki sposób broni się Paweł? Wymienia swoje kwalifikacje, od pochodzenia począwszy: „Hebrajczykami są? Ja także. Izraelitami są? Ja również. Potomstwem Abrahama? I ja". Jest kompetentny. Jest członkiem Bożego ludu, zna Objawienie i całą tradycję żydowską, wywodzi się z faryzeuszów. Dalej mówi o tym, ile wycierpiał, głosząc Ewangelię: trudy, więzienia, chłosty, zagrożenia życia: „przez Żydów pięciokrotnie byłem bity (...), trzy razy byłem sieczony rózgami [przez Rzymian], raz kamienowany". Jego życie zderzyło się z wszelkimi niebezpieczeństwami, nie wyłączając tych „od fałszywych braci"; upływa w umęczeniu, na czuwaniu i postach, w zimnie i nagości.

Dalej pokazuje siebie jako człowieka modlitwy, więcej: doświadczeń mistycznych. „Znam człowieka, który (...) został porwany aż do trzeciego nieba, i – czy w ciele, nie wiem, czy poza ciałem, też nie wiem – został porwany do raju i słyszał tajemne słowa, których się nie godzi człowiekowi powtarzać".

Napisawszy jednakże i wyliczywszy to wszystko, bierze jakby głębszy oddech i stwierdza: „Oszalałem" (2 Kor 12, 11). Jakby naraz zrozumiał, że w ten sposób i tak nikogo w Koryncie nie przekona, a może nawet cała tego typu linia obrony jest mało stosowna.

Co więc pozostaje? Dwa argumenty, które są jak klamry tej apologii. Pierwszym jest przypomnienie absolutnej bezinteresowności Apostoła w jego pracy w Koryncie: niczego od nich nie wziął (gdy brakowało mu środków do życia, przyjmował pomoc od Kościoła w Filippi). Drugim, zamykającym argumentem jest uznanie swojej słabości. Tak, mówi wielki Paweł, jestem słaby, ale przez moją słabość widać wyraźnie przebijającą się Bożą łaskę. Uznanie słabości jest bramą otwierającą na doświadczenie mocy Chrystusa.

Bezinteresowność i uznanie słabości. Dwie postawy ku odbudowie zakwestionowanego autorytetu. Ważniejsze niż skatalogowane kompetencje, zasługi i przeszłe cierpienia. ©

Wyrozumiałość jest osądem gniewu, uleczeniem serca, ukojeniem dla znękanych, spokojną przystanią.

EWAGRIUSZ Z PONTU

Człowiek mądry uważnie obserwuje to, co dalekie, i to, co bliskie. Nie umniejsza małego i nie wywyższa wielkiego.

ZHOUANGZHI

Wybrał PIOTR SIKORA

CZYTANIA LITURGICZNE (27 VI – 5 VII)

13. niedziela zwykła: Mdr 1, 13-15; 2, 23-24; Ps 30; 2 Kor 8, 7. 9. 13-15; Mk 5, 21-43;
Poniedziałek: Rdz 18, 16-33; Ps 103; Mt 8, 18-22;
Wtorek, Uroczystość Świętych Apostołów Piotra i Pawła: Dz 3, 1-10; Ps 19; Ga 1, 11-20; J 21, 15-19;
Środa: Rdz 21, 5. 8-20; Ps 34; Mt 8, 28-34;
Czwartek: Rdz 22, 1-19; Ps 116A; Mt 9, 1-8;
Piątek: Rdz 23, 1-4. 19; 24, 1-8. 10. 48. 59. 62-67; Ps 106; Mt 9, 9-13;
Sobota: Ef 2, 19-22; Ps 117; J 20, 24-29;
14. niedziela zwykła: Ez 2, 2-5; Ps 123; 2 Kor 12, 7-10; Mk 6, 1-6.

TERAPIA DLA POLSKI

Uporczywe trwanie przez opozycję w poczuciu absolutnej słuszności własnej oraz absolutnej niesłuszności i zła rządzącej prawicy wydatnie przyczynia się do utrzymywania PiS przy władzy.

TOMASZ STAWISZYŃSKI

Coś bardzo charakterystycznego dla polskiej mentalności politycznej odezwało się w niedawnej aferze wokół poparcia, jakiego Lewica udzieliła dla ratyfikacji europejskiego Funduszu Odbudowy. Pamiętacie te głosy potępienia i oburzenia, od których zaroiło się w sieci? Tę bez mała apokaliptyczną opowieść o zdradzie i zaprzaństwie? No właśnie – jest w tym coś dla nas bardzo charakterystycznego. Żeby to odpowiednio wyłożyć, zacznijmy od psychoanalizy.

Zakleszczeni w koluzji

Któregoś dnia wybitny szwajcarski psychoanalityk Jürg Willi zorientował się, że świat wewnętrzny pacjenta to za mało. Potrafił latami analizować czyjeś fantazje i pragnienia, a mimo to poprawa nie następowała. Zastanawiając się nad możliwymi tego przyczynami, Willi sięgnął do rozważań psychoterapeutów systemowych, którzy nie traktowali jednostek jako oderwanych od wszelkich zewnętrznych kontekstów bytów, lecz przeciwnie – przyglądali się całemu środowisku, w którym ich pacjenci funkcjonowali. Willi zbudował koncepcję będącą kompromisem pomiędzy dwoma modelami. Tak właśnie w latach 70. ubiegłego stulecia powstała idea „koluzji", jednego z najciekawszych narzędzi pozwalających rozumieć, co właściwie dzieje się z ludźmi pozostającymi w bliskich związkach, a jednocześnie przeżywającymi w nich mniejsze lub większe frustracje.

Fundamentalna okazuje się konstatacja: nasze przeżycia i stany wewnętrzne, nasze myśli i emocje biorą się nie tylko z naszej psychiki, ale również z rzeczywistości, w której żyjemy. W szczególności z relacji z innymi. Koluzja zaś to taki typ relacji, w której dochodzi do specyficznego zakleszczenia. Ludzie są ze sobą blisko, ale doświadczają dyskomfortu. Nie mogą się z tego układu wydostać, bo spełnia on rozmaite funkcje, np. pozwala nie konfrontować się z różnymi własnymi problemami i przerzucać je na partnera. W nim właśnie widzieć źródło wszelkich swoich nieszczęść, deklarować, że się ma go serdecznie dosyć, ale w związku uparcie tkwić... właśnie dlatego, że wygodnie jest lokalizować źródło wszelkich swoich nieszczęść wyłącznie na zewnątrz. Zwalnia to z odpowiedzialności za własne wybory i własne neurotyzmy.

Przypomina mi się to za każdym razem, kiedy myślę o polskiej scenie politycznej. O toczących się na niej sporach, o zaangażowanych w nią stronach, o nas wszystkich przeżywających ekstremalne poruszenia, toczących w portalach społecznościowych wirtualne kule śniegowe oburzenia, pogardy i wściekłości.

Przy wszelkich możliwych zastrzeżeniach, jakie można mieć do psychoanalizy jako metody terapeutycznej, jednego nie można jej odmówić. A mianowicie

KAROLINA MISZTAL / REPORTER

Demonstracja wokół zaostrzenia prawa antyaborcyjnego. Sopot, kwiecień 2016 r.

– wnikliwej obserwacji rozmaitych uników, mechanizmów obronnych, metod samooszukiwania się, jakie w służbie własnych interesów emocjonalnych stosuje nieustająco ludzki umysł. Polityka, w tym także polityka polska, nie jest od tego wszystkiego wolna. My również nie jesteśmy.

I kto tu jest symetrystą?

Od razu uprzedzam oskarżenie o symetryzm, które – mam wrażenie – pojawia się za każdym razem, kiedy ktoś próbuje w Polsce delikatnie choćby zakwestionować obowiązujący po liberalnej stronie sceny politycznej dogmat, jakoby rząd Zjednoczonej Prawicy czynił po 2015 r. wyłącznie zło.

Ten dogmat zakłada także, że ów rząd tworzą bez wyjątku ludzie źli i zdeprawowani, podobnie jak źli i zdeprawowani muszą być ci, którzy go popierają. Ktokolwiek zatem zaczyna zastanawiać się, czy aby faktycznie Prawo i Sprawiedliwość wszystko robi źle, czy są tam wyłącznie źli ludzie oraz czy poparcie dla tej partii jest czynem jednoznacznie moralnie nagannym – ten automatycznie ląduje w szufladzie z napisem „symetrysta".

Uprzedzam więc zarzuty o symetryzm, bo po pierwsze, nie uważam, że racje są rozłożone po obu stronach po równo. Przeciwnie, PiS mam za ugrupowanie, które stawia mnóstwo nietrafnych diagnoz oraz kilka trafnych, np. dotyczących negatywnych aspektów transformacji, ale ordynuje nań środki czyniące wielokrotnie więcej szkody niż pożytku. Po drugie – do symetryzmu znacznie lepiej pasuje mi właśnie dominujące dziś po liberalnej stronie sceny politycznej stanowisko, w myśl którego wszyscy jesteśmy świadkami i uczestnikami walki światła (my) i ciemności (oni). Tutaj dopiero mamy prawdziwą postulowaną symetrię – po jednej stronie czyste dobro, po drugiej czyste zło. Bez światłocieni, niuansów, autorefleksji.

Na takie rzeczy w stanie radykalnej wojny nie ma wszak miejsca. Żołnierz, który w okopach zastanawiałby się nad własnymi tendencjami do agresji i negował oficjalną narrację, wedle której przeciwnik jest zły, a on i jego ojczyzna reprezentują wyłącznie dobro, otóż taki żołnierz z pewnością zawahałby się przed naciśnięciem spustu. Ale czy to źle, że by się zawahał? A może właśnie dobrze? Może gdyby takich zawahań było więcej, zmniejszyłaby się suma przemocy w świecie? Cóż, nie jest to takie proste. Pytanie zasadnicze brzmi bowiem: czy zawahałby się także żołnierz z okopów naprzeciw? Jeśli nie, zawahanie naszego żołnierza okazałoby się gestem pięknoducha, śmiertelnie niebezpiecznym w skutkach.

Z tej matni nikt nie wyjdzie sam

W pewnym sensie podobnie rzecz się ma z polską sferą publiczną. Pojedyncze próby wyjścia poza paradygmat wojny totalnej z góry skazane są tu na niepowodzenie. Żeby z niego realnie wyjść, potrzebna jest bowiem – przynajmniej na tym etapie – obustronna wola choćby chwilowego zawieszenia broni i podjęcia rozmów. Nic podobnego jednak nie może już w tej chwili nastąpić, koluzja zaszła za daleko. I dlatego nawet potencjalnie przełamujące ten czarno-biały, wojenny model gesty – jak poparcie przez Lewicę projektu zakładającego pozyskanie przez Polskę 750 mld euro z europejskiego Funduszu Odbudowy – spotykają się wyłącznie z radykalnym, pełnym oburzenia potępieniem. Nic w tym dziwnego – koluzyjny układ ma tendencje samozachowawcze, próby rozmontowywania go, albo w każdym razie wyjścia poza, kończą się intensywną reakcją mającą na celu zachowanie *status quo*.

Osobliwa – i diagnostyczna – była tutaj jednak nie tyle odmienna opinia co do zasadności strategii politycznej Lewicy, ile raczej właśnie owo gremialne potępienie zamiast merytorycznej dyskusji. Tysiącom dramatycznych okrzyków o zdradzie, zaprzaństwie i obrzydliwości tego czynu, jakie rozlały się po internecie, towarzyszyły utrzymane w podobnym tonie wypowiedzi polityków – głównie – Platformy Obywatelskiej, którzy miotali na Lewicę ciężkie gromy. Praktycznie niemożliwa stała się merytoryczna ↦

↦ dyskusja nad zasadnością bądź niezasadnością takiej akurat politycznej strategii, jaką wybrali Włodzimierz Czarzasty i Adrian Zandberg. Niechby i ona była błędna – choć stała za nią racjonalna myśl: w warunkach pandemicznego kryzysu nie powinno się potężnych pieniędzy dla Polski i Unii Europejskiej czynić stawką politycznego sporu – ale to by trzeba po pierwsze wykazać, a po drugie zamanifestować swoje odmienne zdanie inaczej niż za pomocą wzorcowego szantażu moralnego. Atmosfera histerycznego wzmożenia, która zdominowała przy tej okazji liberalną stronę sceny polityczno-publicystycznej, dla wielu jej obserwatorek i obserwatorów była niemożliwa do zniesienia.

Oczywiście, z pewnego punktu widzenia można na ten rodzaj radykalnej ortodoksji – wyrażającej się w przekonaniu części środowisk opozycyjnych, że mają one absolutny monopol na opór wobec PiS – spojrzeć jako na odmianę cynicznej strategii dominacyjnej. Stawianie sprawy na ostrzu noża, wzniecanie apokaliptycznej aury, domaganie się jedności oraz dekretowanie, że każdy, kto się z tego wyłamuje, jest winien najstraszliwszego zła – to wszystko mogą być po prostu skuteczne metody budowania swojej pozycji na scenie politycznej. Problem polega tylko na tym, że po pierwsze, na dłuższą metę prowadzi to do konfliktów i chaosu, a po drugie – to zwyczajnie nieprawda.

Święci nie uczą się na błędach

Demokracja jest środowiskiem, w którym w sposób niekolizyjny – albo kolizyjny w stopniu kontrolowanym – powinny móc współistnieć bardzo różne punkty widzenia, opcje polityczne i światopoglądy. Demokracja nie jest przestrzenią zaniku różnicy, ale przestrzenią, w której różnice są w sposób pełny i bezpieczny artykułowane, przy jednoczesnej zdolności każdej ze stron do stosownego samoograniczenia własnych potrzeb i uroszczeń, właśnie w imię utrzymania demokratycznego pola.

Jednomyślność nigdy nie była, nie jest i nie powinna być wartością w demokratycznym społeczeństwie, właśnie dlatego, że ludzkość niejako z natury jednomyślna nie jest. Jesteśmy istotami omylnymi, mozolnie, krok po kroku, budującymi obraz rzeczywistości i weryfikującymi co i rusz rozmaite własne przekonania – dlatego wypracowywanie optymalnej przestrzeni wspólnej i poszukiwanie najlepszych modeli funkcjonowania w świecie jest trwającym ciągle procesem.

W ramach tego procesu – którego historia naznaczona jest konfliktami, wojnami i antagonizmami – nie wynaleziono jak dotąd lepszego narzędzia aniżeli racjonalna dyskusja, w której wygrywać powinny nie emocjonalne perswazje, lecz argumenty, nie siła, lecz racja. Nie ma jednak żadnej racjonalnej dyskusji, bo jej być nie może, pomiędzy ludźmi wyłącznie dobrymi a wyłącznie złymi, pomiędzy stronnictwem światła i stronnictwem ciemności. Rzecz w tym, że członkowie każdego z tych stronnictw – osobliwie – bez wyjątku siebie mają za dobrych i świetlistych. Ktokolwiek zaś nie popełnia żadnych błędów – bo błędy popełniają wyłącznie jego przeciwnicy – ten siłą rzeczy nie może się na błędach uczyć. Zajmuje więc z coraz większym uporem wciąż na nowo tę samą pozycję, a brak oczekiwanych efektów składa na karb coraz potężniejszych przeciwników, owych „złych ludzi".

I w ten właśnie sposób koło – czy raczej: koluzja – się zamyka.

Wyćwiczeni w niezgodzie

Nie jest to oczywiście w polskiej sferze publicznej żadna nowość, choć w ciągu ostatnich sześciu lat wszystkie powyżej opisywane zjawiska zdecydowanie się uwyraźniły.

Może to kwestia szerokiego społeczno-politycznego kontekstu – wszak wojny kulturowe i ekspansja prawicowego populizmu to fenomeny międzynarodowe; może częściowo także wynik rozwoju mediów społecznościowych, które zamiast ku uniwersalności prowadzą nas raczej ku plemienności; a może efekt skomplikowanej dynamiki narodowej mentalności, popychanej w stronę dualizmu co najmniej od początku transformacji.

Swoistym grzechem założycielskim dominujących po 1989 r. narracji była wszak właśnie ta upiorna bezalternatywność. Negowanie powodzenia planu Balcerowicza i w ogóle panujących po Okrągłym Stole polityczno-społecznych porządków przez długi czas kwalifikowane było przez znaczące ośrodki medialne i polityczne jako wyraz nieudacznictwa i mentalności *à la homo sovieticus*. Oto dostaliśmy wszyscy do rąk wędki – głosił oficjalny przekaz – gospodarka rynkowa zaś to ogromne i pełne ryb jezioro, wystarczy chcieć, by złowić, czego tylko dusza zapragnie. Komu się to nie udaje – dodawano – ten albo nie chce, albo nie potrafi. A kto na to narzeka, ten wykazuje postawę roszczeniową i propaguje ciemnogród. Z drugiej strony rosła alternatywna narracja – równie, co ta pierwsza, jednostronna i równie irracjonalna – w myśl której cała transformacja to sprawka obcych służb, lóż masońskich, tajnych paktów z diabłem przy Okrągłym Stole i w ogóle efekt jakichś wyłącznie straszliwych malwersacji i nadużyć.

Symetria tych opowieści – wyrażająca się właśnie w ich jednostronności, jednoznaczności, niechęci do uwzględniania niuansów – wytworzyła osobliwe sprzężenie. Gdzieś pomiędzy jedną a drugą opowieścią, jedną a drugą perspektywą, mieściły się tysiące, setki tysięcy, miliony ludzi, których osobiste doświadczenie z tymi opowieściami się nie zgadzało. I na którego ekspresję nie stwarzały one żadnej przestrzeni. Siłą rzeczy zatem – na zasadzie naturalnego ciążenia, z braku innych opcji, a wreszcie z rozsądnego konformizmu – ludzie przyjmowali w końcu albo jeden, albo drugi mit. A choć dominację symboliczną oraz instytucjonalną – w postaci politycznej władzy – dzierżyli od początku zazdrośnie zwolennicy opowieści o sukcesie transformacji, z biegiem czasu praktyka życiowa pozostałej części społeczeństwa wskazywała coraz dobitniej, że ta opowieść jest tyleż fałszywa, co niesprawiedliwa.

I tak stopniowo umacniała się wersja wobec propagandy sukcesu alternatywna, lecz wciąż niemająca realnej politycznej reprezentacji. Aż wreszcie – w 2015 r. – doszła ona w pełni do głosu, w bezprecedensowo brutalny sposób anektując ze sfery publicznej, ile się tylko dało.

Po drodze był jeszcze Smoleńsk – efekt zaniedbań, politycznych przepychanek, klasycznego polskiego bezwładu instytucjonalnego i braku wyobraźni. Smoleńsk, który już w kilka minut po katastrofie stał się zarzewiem analogicznych dwóch opowieści, dwóch równie irracjonalnych mitologii, bronionych z ogromną zapalczywością. W myśl pierwszej za wszystko odpowiadał „straszny Kaczor" albo czysty przypadek, w myśl drugiej – „Tusk z Putinem". Cechą charakterystyczną obu tych mitologii – co oczywiście jest także cechą charakterystyczną opisywanej tutaj polskiej koluzji – było wzajemne obciążanie

się odpowiedzialnością za wypadek oraz całkowite niedopuszczanie, że dowolny inny od wyznawanego w danym obozie scenariusz jest w ogóle jakkolwiek możliwy.

Mówiąc, że obie opowieści są równie irracjonalne, nie twierdzę, że ich prawdopodobieństwo jest jednakowe, ani nawet, że było jednakowe w momencie, kiedy 10 kwietnia 2010 roku otrzymaliśmy wiadomość o tym, że samolot z prezydentem na pokładzie rozbił się na lotnisku Siewiernyj. Twierdzę tylko, że traktowanie ich bezalternatywnie i deprecjonowanie każdego, kto się z jedną bądź drugą nie identyfikował, z racjonalnością nie miało nic wspólnego. Owszem, zarówno wersja o wypadku, jak i wersja o zamachu były początkowo uprawnionymi wariantami zdarzeń, słowem, wolno je było na wstępnym etapie racjonalnie dopuszczać jako warianty. To dopiero procedura dochodzenia do prawdy – śledztwo prowadzone zgodnie z przyjętymi zasadami – miała na celu ustalenie, który wariant jest najbardziej prawdopodobny. Tymczasem obsadzenie emocjonalne jednej lub drugiej wersji było w społeczeństwie, wśród polityków i mediów tak potężne, że żadne badania nie mogłyby zmienić wstępnie powziętych przekonań.

Między innymi dlatego właśnie – choć przebieg wypadku w zasadzie znamy – do tej pory nie odbyła się w Polsce autentyczna dyskusja o przyczynach tej katastrofy, jak również o odpowiedzialności politycznej za to, co się stało. W świecie dualistycznej koluzji nie było – i wciąż nie ma – na to miejsca. Każda ze stron, każda z opcji stała się zakładniczką tej sytuacji, wszystko bowiem, co powie, wszystko, co zrobi albo czego nie zrobi, może zostać natychmiast wykorzystane przeciwko niej. W tym sensie do dzisiaj nie zdajemy sobie sprawy z tego, że ta katastrofa naprawdę się wydarzyła, bo nie jesteśmy w stanie wziąć jako wspólnota odpowiedzialności za to, co do niej doprowadziło.

Sensownie urządzić kraj

Podobnie nikogo w Polsce nie interesuje realna dyskusja o przebiegu i kosztach pandemii. Nikogo nie interesuje uznanie, uhonorowanie i symboliczne upamiętnienie śmierci niemal osiemdziesięciu tysięcy ludzi – jak to się stało w wielu innych krajach, choćby Czechach, Wielkiej Brytanii, Stanach Zjednoczonych czy Niemczech (na co zwracano uwagę w „Tygodniku Powszechnym" kilka numerów wcześniej). Nikogo to nie interesuje, ponieważ w Polsce nigdy nie było żadnej pandemii – podobnie jak nigdy nie było katastrofy w Smoleńsku. Była natomiast – jak twierdzą zwolennicy skrajnej prawicy spod znaku Konfederacji – wielka medialna mistyfikacja; był – jak z kolei przekonują politycy i zwolennicy opozycji – wielki blamaż rządzących, którzy swoim nieudacznictwem doprowadzili do kolejnej katastrofy; był wreszcie – jak przekonuje rząd – gigantyczny polityczny sukces Zjednoczonej Prawicy, która pokazała, że potrafi świetnie sobie radzić nawet w najbardziej ekstremalnych warunkach. Debata o pandemii wygląda zatem dokładnie tak samo, jak debata o Smoleńsku i jak każda inna polska debata – polega na wzajemnym obciążaniu się winą i odpowiedzialnością oraz cedowaniu całego zła na przeciwników politycznych.

Debata o pandemii wygląda tak samo, jak debata o Smoleńsku
i jak każda inna polska debata – polega na wzajemnym obciążaniu się winą oraz cedowaniu całego zła na przeciwników politycznych.

Czy istnieje jakakolwiek droga wyjścia z tej sytuacji? Nie mam pojęcia, jestem natomiast przekonany, że uświadomienie sobie, w czym się *de facto* tkwi, jakie działają w danej sytuacji mechanizmy – zwłaszcza nieświadome – jest pierwszym koniecznym krokiem na drodze do przekroczenia z pozoru nieprzekraczalnych uwarunkowań. Rezygnacja z przekonania o własnej czystości moralnej oraz własnej bezwzględnej słuszności w każdej sprawie nie oznacza – wbrew temu, co się zazwyczaj podnosi, kiedy padają takie argumenty – politycznej kapitulacji.

Tak jest, PiS działa w sposób bezprecedensowo brutalny i pozbawiony hamulców, tak jest – wykorzystuje wszystko, co tylko można, żeby umocnić swoją dominację. Rzecz w tym, że to właśnie uporczywe trwanie przez opozycję w poczuciu absolutnej słuszności własnej oraz absolutnej niesłuszności i zła cechujących Zjednoczoną Prawicę wydatnie przyczynia się do utrzymywania przy władzy tej ostatniej.

To właśnie godne inkwizycji potępianie wszystkich, którzy nie śpiewają unisono w chórze, autorytarne wymaganie jedności, niechęć do rozliczania się z własnych błędów oraz ślepe popieranie swoich, nawet jeśli dopuszczają się czynów czy wypowiedzi, za które krzykliwie potępia się politycznych przeciwników, otóż to wszystko wywołuje w znacznej części społeczeństwa dokładnie takie samo poczucie dysonansu, jakie w 2015 r. zapewniło wygraną Prawu i Sprawiedliwości. I dlatego poparcie dla tej partii utrzymuje się na tym samym poziomie od lat, czego opozycja cały czas wydaje się zupełnie nie pojmować.

Tymczasem choćby drobna próba zmiany strategii – jestem pewien – przyniosłaby zdecydowany postęp, oznaczałaby bowiem coś, co dla wytrawnych psychoanalityków w rodzaju Jürga Williego było w sposób oczywisty pierwszym krokiem na drodze do psychicznej dojrzałości, a więc psychicznego zdrowia. A mianowicie – urealnienie. Oczywiście, konfrontacja z rzeczywistością bywa niekiedy trudna i bolesna, jednak jest zawsze lepsza niż pozostawanie w słodkim uścisku iluzji. Nawet jeśli oznacza przyjęcie do wiadomości niezbyt radosnej prawdy: pomimo faktu, iż nasza sprawa jest lepsza, również i my mamy ciemną stronę, popełniamy błędy, gubimy się i nie potrafimy osiągnąć zamierzonych celów. A nasi przeciwnicy są w gruncie rzeczy takimi samymi ludźmi, jak my. Nie są wcieleniem wszelkiego zła, po prostu z uwagi na rozmaite własne doświadczenia i koleje losu znaleźli się w pewnym momencie po drugiej stronie politycznej barykady i gdzieś indziej poszukują tego samego – recepty na dobre życie.

Chodzi jednak o to, żebyśmy mogli wszyscy – dzięki tym podobieństwom i pomimo różnic – żyć w miarę spokojnie i bezkolizyjnie w jednym, sensownie urządzonym kraju.

© TOMASZ STAWISZYŃSKI

Autor jest filozofem, autorem książek, m.in. „Potyczki z Freudem" i „Co robić przed końcem świata". Prowadzi audycje w radiu TOK FM i podkast „Skądinąd".

Dalecy sąsiedzi

MAREK RABIJ

Trudno wyobrazić sobie, że kraj, którego premier nazywa polską żywność „gównem", może być zarazem naszym drugim co do wielkości partnerem gospodarczym. Chyba że chodzi o Czechy.

Szczątki helikoptera odnaleziono na morenie bocznej alaskańskiego lodowca Knik, niecałe sto kilometrów od stolicy tego stanu, Anchorage. Oprócz pilota i dwójki miejscowych przewodników górskich na pokładzie znajdowało się także dwóch cudzoziemców, którzy kilka dni wcześniej przylecieli na Alaskę luksusowym prywatnym odrzutowcem, żeby nacieszyć się jazdą na nartach w słynnym alaskańskim puchu. Śmigłowiec wystartował o świcie 21 marca 2021 r. Po niespełna trzydziestu minutach lotu zniknął z radarów.

„To niewyobrażalna tragedia" – napisał kilka godzin później na Twitterze czeski premier Andrej Babiš. Jednym z cudzoziemców, którzy ponieśli śmierć w tym wypadku, był w końcu najbogatszy Czech Petr Kellner, założyciel i główny akcjonariusz holdingu PPF, który w 25 krajach świata zarządza spółkami o łącznej kapitalizacji sięgającej 44 mld dolarów. Z majątkiem wartym w 2020 r. blisko 18 mld dolarów 57-letni Kellner plasował się bez trudu w pierwszej setce większości rankingów najbogatszych Europejczyków.

W polskich serwisach informacyjnych komentarze pod wiadomościami o katastrofie zdominowały natomiast nuty zaskoczenia, że najzamożniejszy obywatel liczących niespełna 11 mln mieszkańców Czech zgromadził majątek, na który musiałaby się złożyć fortuna aż dziewięciu najbogatszych Polaków.

Logika wyborcza

„Wiecie, kim są Czesi? To śmiejące się bestie!". Ten znany cytat z Hrabalowskich „Pociągów pod specjalnym nadzorem" stanowi także doskonałą ilustrację niezrozumienia, a nawet lekceważenia, z jakim opinia publiczna w Polsce nadal podchodzi do potencjału ekonomicznego południowych sąsiadów. Cytat najwidoczniej nie zrobił kariery także w polskim rządzie, który w ubiegłym tygodniu przystąpił w Pradze do kolejnej rundy negocjacji w sprawie przyszłości elektrowni Turów w typowym dla siebie nastroju propagandowego optymizmu.

Tymczasem w chwili, kiedy zamykamy ten numer „Tygodnika", porozumienie w tej sprawie, opisywane przez polityków PiS niemalże jako formalność, nadal pozostaje w sferze pobożnych życzeń. Strona polska jako sukces przedstawia samą deklarację czeskiego ministra środowiska Richarda Brabca, który faktycznie po raz pierwszy oficjalnie stwierdził, że Praga jest gotowa wycofać skargę do Trybunału Sprawiedliwości UE, która zaowocowała w maju głośnym nakazem tymczasowego wyłączenia polskiej siłowni. W gruncie rzeczy trudno jednak nazwać ustępstwem coś, co dla Czechów jest jedynie kartą w negocjacjach, nie zaś ich głównym celem.

W wystąpieniu ministra Brabca o wiele istotniejsze wydaje się stwierdzenie, że sprawa Turowa nie kończy się „na wycofaniu skargi i przyjęciu przez Polskę warunków". Słowem – chodzi już nie tylko o odszkodowania za szkody spowodowane działalnością polskiej elektrowni i ograniczenie kolejnych, ale także o samo rozszerzanie działalności kopalni w Turowie w kierunku naszej wspólnej granicy. W tej sprawie Czesi nie chcą być tylko uprzejmie powiadamiani o planach i decyzjach Warszawy. Domagają się uwzględnienia własnego stanowiska, co z kolei może okazać się nie do przyjęcia dla polskiej strony.

Twarde stanowisko Pragi w sprawie Turowa zaskoczyło polski rząd. Politycy PiS tłumaczą to sobie teraz logiką roku wyborczego, w którym rządząca partia ANO premiera Andreja Babiša zawalczy o przedłużenie mandatu do sprawowania władzy z czułą na kwestie ekologiczne Czeską Partią Piratów, która po wielce prawdopodobnej wygranej zamierza wejść w koalicję z mniejszym ugrupowaniem samorządowców (jego liderem jest zaś hetman, czyli wojewoda kraju libereckiego, który sąsiaduje z naszym Turowem).

W rzeczywistości, jak podkreśla Bartłomiej Mayer, publicysta dziennika „Puls Biznesu" od lat zajmujący się tematyką polsko-czeskich relacji gospodarczych, spór o Turów stanowi jedynie kulminację wieloletnich napięć politycznych pomiędzy obydwoma krajami. – Formalnie jesteśmy sąsiadami, do tego sojusznikami w NATO oraz partnerami w Unii Europejskiej i w Grupie Wyszehradzkiej. Pod powierzchnią tych rzekomo przyjaznych relacji kryje się jednak twardy protekcjonizm z czeskiej strony połączony z obawą przed rosnącym potencjałem ekonomicznym Polski, z naszej zaś stereotypowe wyobrażenie, że Czechy to kraj piwa i knedli, o relacje z którym nie warto przesadnie zabiegać – zauważa Mayer.

Jego zdaniem w takim kontekście wymiana handlowa pomiędzy Polską i Czechami, której wartość w 2019 r. sięgnęła

PETR DAVID JOSEK / AP / EAST NEWS

Polskie samochody jadą na blokadę czeskiej granicy niedaleko kopalni Turów, 25 maja 2021 r.

22,2 mld euro, ma się zaskakująco wręcz dobrze, zwłaszcza że jej saldo wypada aż 6,6 mld euro na korzyść Polski. Wstępne dane za rok ubiegły sygnalizują wprawdzie pięcioprocentowy spadek wartości eksportu do Czech, ale nasz południowy sąsiad pozostaje drugim najważniejszym po Niemczech odbiorcą polskich towarów w Europie.

O tym sukcesie na próżno szukać jednak w publikacjach kolejnych polskich rządów, które twardo trzymają się odwiecznych wektorów naszej geopolityki, zorientowanej w osi wschód–zachód. Na usprawiedliwienie nasi politycy mają tylko jedno: na nagłośnieniu tego faktu jeszcze mniej zależy premierowi Andrejowi Babišowi.

Słowo na „G"

Na początku tego roku niższa izba czeskiego parlamentu przegłosowała ustawę, zgodnie z którą począwszy od 1 stycznia 2022 r. 55 proc. produktów sprzedawanych w czeskich sklepach spożywczych (o powierzchni ponad 400 m kw.) ma pochodzić od rodzimych producentów. Sześć lat później odsetek ten ma wzrosnąć do aż 73 proc. „Ustawa o czeskich półkach" – jak z miejsca ochrzciły ją tamtejsze media – upadła ostatecznie w Senacie, który wytknął jej przede wszystkim niezgodność z ustawodawstwem unijnym i wskazał na ryzyko skokowego wzrostu cen żywności po jej ewentualnym wejściu w życie.

O trzecim elemencie tej układanki senatorowie wspominać nie musieli, bo był dostatecznie czytelny dla każdego, kto śledzi czeską politykę. Przepisy skrojono, owszem, dla ochrony czeskiego rynku żywności. Rzecz w tym, że jednym z jego największych graczy jest koncern Agrofert należący do samego Andreja Babiša. Po objęciu urzędu premier zrzekł się wprawdzie stanowisk kierowniczych w swoich spółkach, by zapobiec w ten sposób potencjalnym konfliktom interesów, ale nie zdecydował się na sprzedaż udziałów, wartych łącznie ok. 2 mld euro, i zapewne nadal kieruje holdingiem z tylnego siedzenia.

Agrofert to konglomerat ponad 250 spółek, z których kilkadziesiąt działa w segmencie rolno-spożywczym. W 2019 r. (to najnowsze dostępne dane) przychody koncernu przekroczyły 162 mld koron (około 27,1 mld zł), co dało mu czwarte miejsce na liście największych podmiotów gospodarczych Czech. Poprzez oddział w Cieszynie Agrofert działa także w Polsce, specjalizując się m.in. – jak można przeczytać na jego stronie internetowej – „w skupie i sprzedaży płodów rolnych". Nie przeszkadza to jego właścicielowi w systematycznym krytykowaniu polskiej żywności, która – jak sugerował wielokrotnie Babiš – ma wyraźnie odstawać jakością od czeskiej. Gdy w 2013 r. zaproszono go w tej sprawie do udziału w popularnym programie telewizyjnym „Máte slovo", stawiający dopiero pierwsze kroki w polityce biznesmen ostentacyjnie odmówił spróbowania przed kamerami polskiej kiełbasy. „Nie jem tego waszego gówna" – dorzucił.

Polscy importerzy oficjalnie nie mają czeskiej stronie nic do zarzucenia. Dopiero poza protokołem gotowi są przyznać, że podlegająca resortowi rolnictwa Państwowa Inspekcja Rolno-Spożywcza (SZPI) dała się im poznać w ostatnich latach jako bezwolne narzędzie w rękach czeskich polityków, służące do podgrzewania antypolskich nastrojów. Komunikaty SZPI, śledzone oczywiście przez czeskie media, przez lata praktycznie pomijały kwestie bezpieczeństwa oraz jakości żywności dostępnej w tamtejszych sklepach. Sytuacja uległa zmianie dopiero za kadencji gabinetu Bohuslava Sobotki, do którego partia Babiša weszła jako koalicjant, a on sam objął tekę wicepremiera i ministra finansów.

W 2016 r. na stronie SZPI pojawiły się nieoczekiwanie komunikaty o ponad 70 przypadkach wykrycia w sklepach artykułów rolno-spożywczych niespełniających krajowych kryteriów bądź o składzie niezgodnym z deklarowanym. Aż 28 proc. z nich miało na etykiecie napis „made in Poland". W 2018 r. już ponad 40 proc. komunikatów o nieprawidłowościach dotyczyło artykułów wyprodukowanych w Polsce, a w kolejnych latach – przeszło dwie trzecie. Zaskakująco dużo, zwłaszcza biorąc pod uwagę fakt, że z każdych 10 zagranicznych produktów spożywczych w czeskich sklepach niespełna dwa pochodzą z Polski.

– Czesi oczywiście zapewniają, że traktują nasze wyroby tak samo, jak rodzime, ↦

↦ ale to nieprawda – mówi przedstawicielka dużej polskiej firmy mleczarskiej. – Inspektorzy celowo wybierają do badań partie towaru z bliskim terminem utraty przydatności do spożycia, bo wiedzą, że w takiej żywności deklarowane zawartości niektórych składników, np. witaminy C, nie będą się pokrywać z deklarowanymi przez producenta. Chcą wyrobić w rodzimych klientach przekonanie, że żywność z Polski może konkurować z czeską najwyżej ceną, i to chyba działa, skoro importerzy właściwie nie interesują się naszymi produktami premium. Jogurtów słodzonych syropem glukozowo-fruktozowym wysyłamy np. całe ciężarówki. Mamy też takie, w których słodzikiem jest prawdziwy miód, ale Czesi ich nie biorą. Podobno nie schodzą.

Pod względem wartościowym Polska jest dziś już drugim po Niemczech eksporterem produktów spożywczych do Czech, a ilościowo – wręcz numerem jeden. Wartość tego eksportu to około 1,4 mld euro, ponad cztery razy więcej, niż wysyłamy do Chin. Ale to, co cieszy polskich eksporterów, w Pradze coraz częściej oceniane jest jako zagrożenie. Czesi obawiają się uzależnienia od polskiej gospodarki, zwłaszcza w sektorze rolno-spożywczym, który nie ma u nich takiego znaczenia jak nad Wisłą. Choć PKB w przeliczeniu na mieszkańca lokuje Czechów wśród takich krajów jak Włochy, daleko przed Polską, bezpośrednie porównanie kalibrów obu naszych gospodarek wypada jednoznacznie na korzyść Warszawy.

Polska ma też nadal zauważalnie tańszą siłę roboczą, a dodatkowo olbrzymi w porównaniu z czeskim rynek wewnętrzny. Dlatego w krajowych dyskusjach na temat współpracy z sąsiadami Polska coraz częściej stawiana jest w tym samym szeregu, co Niemcy.

To, co cieszy polskich eksporterów, w Pradze coraz częściej oceniane jest jako zagrożenie. **Czesi obawiają się uzależnienia od polskiej gospodarki,** zwłaszcza w sektorze rolno-spożywczym.

Bartłomiej Mayer: – Czytałem ostatnio wywiad z twórcą czeskiego start-upu, który skarżył się, że nie dostał dofinansowania z któregoś z rządowych programów dla innowacyjnych przedsiębiorstw. Bez tych pieniędzy, jak twierdził, szybko padnie ofiarą „niemieckich lub polskich gigantów".

Unia jeszcze działa

Wiele wskazuje na to, że kolejną areną polsko-czeskiej bitwy o handel będą sklepy obuwnicze. Tu w grę wchodzić może już patriotyzm narodowy; wszak jedna z najmocniejszych marek obuwniczych wszech czasów, Bata, narodziła się pod koniec XIX w. w Zlinie na Morawach. Tymczasem – jak wynika z danych czeskiego urzędu statystycznego – w ciągu zaledwie dekady eksport obuwia z Polski do Czech wzrósł aż o 600 proc. Pod tym względem wyprzedziliśmy już Włochów, jesteśmy numerem dwa i szybko gonimy Chińczyków. Co roku czescy konsumenci kupują ponad 11 mln par polskich butów.

Źródło sukcesu? Cena. Jeszcze w 2008 r. średnia cena importowanego z Polski obuwia kształtowała się na poziomie 344 koron, co dawało wówczas ok. 50 zł za parę. Dziś spadła już poniżej 140 koron, czyli około 25 zł, a czeskie media ekonomiczne nerwowo komentują niedawne wejście do kraju sieci handlowej HalfPrice. Sieć jest własnością polkowickiej spółki CCC, naszego największego producenta obuwia, który specjalizuje się zwłaszcza w ofercie z najniższej półki cenowej. Strategia CCC wydaje się typowym polskim *modus operandi* za południową granicą, dokąd nasze firmy relatywnie rzadko wybierają się pod własnymi sztandarami. Obawy przed czeskim protekcjonizmem sprawiają, że bezpieczniejszą ścieżką wydaje się zaopatrywanie tamtejszych firm w surowce i podzespoły.

W badaniach nastrojów społecznych wciąż widoczna jest także dysproporcja pomiędzy jednoznacznie pozytywnym wizerunkiem Czechów w Polsce (chociaż naznaczonym lekkim poczuciem wyższości z naszej strony) a obawami i niechęcią Czechów wobec Polaków.

– Powiedziałabym, że to cud, że nasze relacje handlowe są tak dobre, skoro w polityce iskrzy jak cholera, a i ludzie nie do końca się ze sobą dogadują – uśmiecha się przedstawicielka polskiej firmy spożywczej. – To chyba najlepszy dowód na to, że Unia Europejska jest nam potrzebna. Dzięki niej możemy mimo wszystko współpracować.

©℗ MAREK RABIJ

ZA TYDZIEŃ W „TYGODNIKU" ZNAJDĄ PAŃSTWO SPECJALNY DODATEK POŚWIĘCONY 30. EDYCJI

Nagrody Literackiej Prezydenta Miasta Białegostoku

Białystok

a w nim prezentacje nominowanych w tym roku książek.

- W kategorii „Najlepsza książka roku" znalazły się: „Pod słońcem" Julii Fiedorczuk, „Spis treści" Piotra Janickiego i Adama Kaczanowskiego oraz „Kruchość. Sonetti a corona" Krystyny Koneckiej.
- W kategorii „Najlepszy ogólnopolski poetycki debiut roku": „Boję się o ostatnią kobietę" Joanny Bociąg, „Bosorka" Katarzyny Szwedy, „Parkingi podziemne jako miasta spotkań" Aleksandra Trojanowskiego oraz „Kwiaty Rozłączki" Aleksandry Wstecz.

Muskuły i próchno

STANISŁAW ŁUBIEŃSKI

Dzisiaj zdaje mi się, że to był sen. Wysepki śledziennic świeciły pod nogami słabiutko jak żarówki z XIX wieku. Śledziennice korzystały, bo od lat nie było w lesie tyle wody. Niektóre, te już przekwitłe, wyciągały do góry miseczkowate patery z nasionami – jakby zapraszały na bardzo skromną ucztę. Może ucztę dla mrówek? W porannych, ledwie przebudzonych promieniach słońca stała uroczyście kolumna. Kolumna późnogotycka. Prosta, ale spiralna jak te w Hiszpanii czy Portugalii, jakby pod cienką skórą grały w niej naprężone mięśnie. Westchnęliśmy. Jaka nieludzka siła dała radę skręcić drzewo, z którego robiono dawniej koła zębate? „Muskuły atlety" – tak opisują grabowe kolumny dendrolodzy.

Dzisiaj zdaje mi się, że to był sen, ale tutaj to zupełnie normalne. Puszcza jest jak baśniowy skarbiec, pełen kształtów, kolorów i deseni. Zapachów wody, grzybów i hormonów. Faktur. Twardej kory i sierści mchów. Podłoża wyczuwalnego pod twardą podeszwą kalosza. Dźwięków skrzypiących pni i świdrującej piosenki świstunek. Wystarczy przystanąć. Przyjrzyjmy się temu, co pozostało po pewnym świerku. Jego korona już dawno zapadła się w błotnistym gruncie, tylko wprawne oko potrafiło dostrzec podłużny kształt, jak fundamenty dawno zburzonego domu. Recykling odbywał się tu w swoim nieśpiesznym, odwiecznym tempie. Stojący pień był martwy, ale było w nim więcej życia niż za życia.

Dziś już nie dowiemy się, co wykończyło świerk, ale patomorfolog drzew miałby sporo poszlak. Prawdopodobnie sprawczynią była susza. Świerk nie doczekał szczęśliwych chwil jak śledziennice. Może pomógł mu samiec kornika, który swoim zwyczajem wsunął się pod korę i zaczął fedrować swój chodnik? Na wielkie otwarcie komory godowej samice zostały zaproszone feromonami. Kontynuowały jego pracę i złożyły jajeczka. Młode pokolenie, larwy i poczwarki, uzupełniło unikalne typografie rodziców prostopadłymi tunelami. ↦

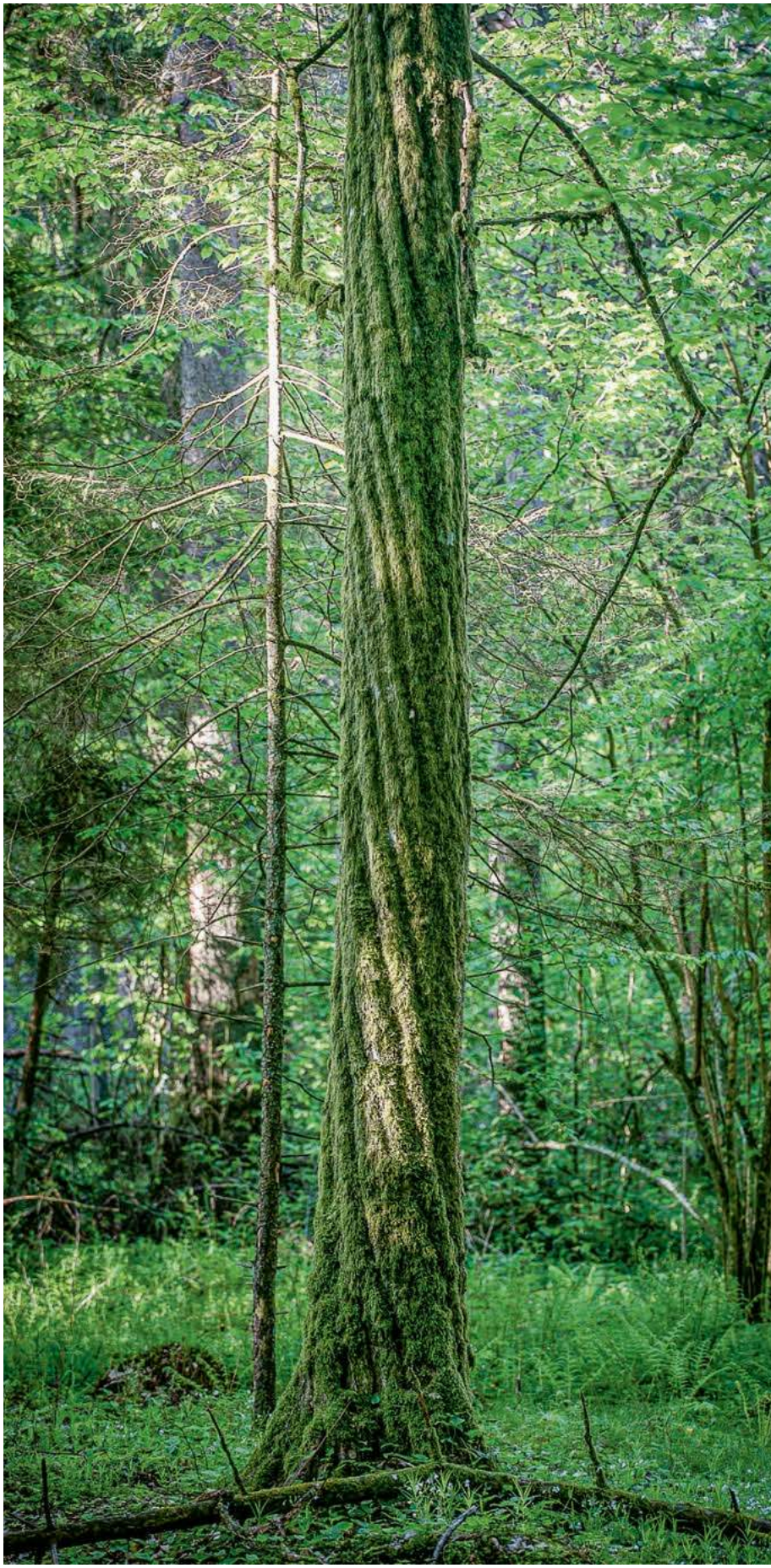

TOMASZ KACZOR

↦ Może ten przeciwny kierunek to wyraz buntu młodzieńczego u korników, poszukiwania własnej drogi? Cóż z tego, że przebiega według tych samych wzorów od tysięcy lat. Nie wiemy, co próbowały wyrazić larwy i poczwarki, ale skutek ich prac był jasny – świerk słabł. Chrząszcze wyjadały łyko, tę taśmę przesyłową dla cukrów, bez których nie ma wzrostu, rozwoju i kwitnienia.

Pewnie wtedy do dobijania świerka dołączył pniarek. Piękna huba z jasną krawędzią, której owocniki otoczyły pień z trzech stron. W miejscu, w którym grzyb przylgnął do osłabionego drzewa, zaczęła rozwijać się brunatna zgnilizna, która rozkłada celulozę. Teraz widać jej działanie, nadała wnętrzu pnia kolor czerwonych, australijskich skał. Drewno skurczyło się, straciło twardość i rozpadło na drobniejsze, kruche kawałki. Pniarek zaprosił do wnętrza mrówki gmachówki, które wydrążyły w próchnie swoje korytarze. Ich osiedla przypominają jednym skalne wioski Indian Pueblo, innym znowu kapadockie pieczary.

Mrówki nie zaprosiły tu dzięcioła czarnego, dzięcioł czarny sam się wprosił i nikogo nie pytał o zdanie. Przyleciał tu z głośnym okrzykiem „krikrikri" i potężnym dziobem wyciosał w pniu głębokie, owalne kratery. Mrówki nie miały szans, potężne żuwaczki żołnierzy nie mogły obronić gniazda przed apetytem dzięcioła. Ucztował tygodniami, bo dziś wydaje się, że od podstawy do samej góry pień składa się bardziej z dziur niż z drewna. Ale każde uderzenie dłuta w rozsypujący się pień to były otwarte wrota dla kolejnych organizmów. W odłupanych drzazgach pracowały mozolnie maleńkie, kilkumilimetrowe skoczogonki, które zamieniają martwą materię w życiodajny humus. W lesie widać to najwyraźniej: życie prowadzi do śmierci, a śmierć do życia.

A. zauważył, że to brzydko wygląda, te zamierające świerki. Niby wiadomo – martwe drewno jest cenne, bo w jednej kłodzie żyją miliony, bo drewno zatrzymuje wilgoć i osłania kiełkujace siewki. Może i cenne, ale co z tego, skoro teraz las po prostu brzydko wygląda. A. mówił szczerze, prostodusznie i zatkało mnie na chwilę. Jak przykładać ułomne kategorie estetyczne do tych galaktyk istnienia? Co znaczy nasze teraz z perspektywy puszczy? Jak wciskać w nasze śmieszne-pośpieszne, ludzkie ramy to niezakłócone, majestatyczne trwanie? Za dwieście lat, kiedy ja i A. będziemy kurzem na półce, w tym miejscu będą rosły kiełkujące właśnie graby i ich dzieci. Wiele z nich wyrośnie na świerkowych kłodach, a jedyną pamiątką po tym fakcie będą ich szczudlaste korzenie. Dla tego lasu, niewiele zmienionego od lodowca, nawet dwieście lat to zaledwie chwila.

Pod nogami przebiegł nam chrząszcz – czarny, długi, połyskliwy, przypominał mi przedwojenne limuzyny. Wydłużone pokrywy, ozdobione żłobieniami, wyglądały jak puncowanie na czarnej karoserii. Budowa podpowiadała któregoś z biegaczy, opancerzonego drapieżnika, tygrysa leśnej ściółki. Może nie był wielki i nie wydawał się groźny, ale dla skoczogonka sprawa przedstawiała się trochę inaczej – niektóre biegaczowate oblewają swoje ofiary sokiem trawiennym.

To pewnie obsesja ludzi zajmujących się językiem, ale bardzo chciałem go nazwać. Precyzyjnie. Później, kiedy wróciłem do domu, bezradnie przeglądałem atlasy, nie wiedząc już, czy przedplecze było wąskie, czy kształt miało sercowaty i czy narządy gębowe były wysunięte. Machnąłem ręką – biegaczy mamy w Polsce ponad pięćset gatunków.

Podniosłem się z kolan z wysiłkiem. Minęła godzina, od kiedy zanurzyliśmy się w tym świecie próchna. To dużo? Dla mojego kręgosłupa z pewnością. Do porządku przywołał nas zardzewiały głosik – lekko sfałszowana piosenka muchołówki białoszyjej. Ten czarno-biały, jakby wystrojony we frak ptaszek żyje tylko w starych lasach, których nie zniszczył człowiek. Zgrzytliwa piosenka, ciąg opadających i wznoszących się tonów, które dlaczegoś przypominały mi akordeon, była melodią naturalnego lasu. W powietrzu unosił się jego mdły zapach, kwitły kosmate kwiaty kopytnika, ukryte pod mięsistymi, żyłkowanymi liśćmi. Delikatnymi skarbami tego lasu można było obdzielić wiele rezerwatów, ale na mapach to był zwykły las gospodarczy. Nie do wiary, że wciąż trwonimy takie bogactwo.

© STANISŁAW ŁUBIEŃSKI

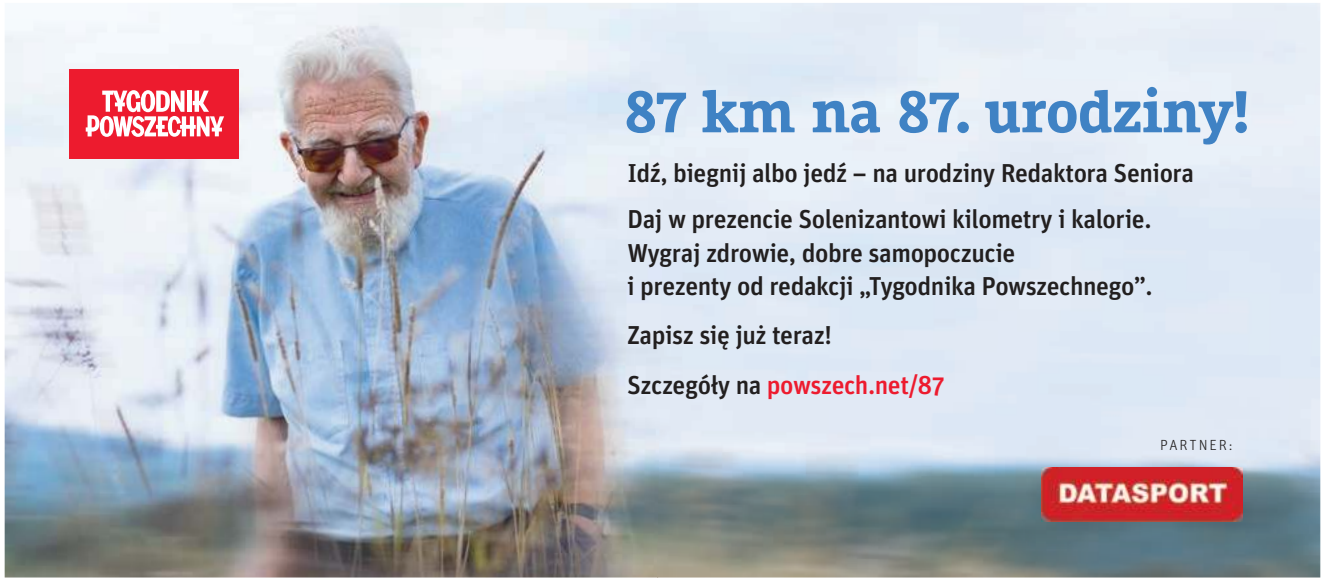

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

JACEK

Podsiadło:
Woda, jod i lody

W marcu 1945 r. po zdobyciu Kołobrzegu odbyły się tzw. zaślubiny z morzem. Rzut pierścieniem zaręczynowym w morską toń wykonał prosty kapral Franek Niewidziajło, co miało chyba symbolizować, że w perwersyjny związek z Bałtykiem naród polski wchodzi na całego. Naród cieszył się z zaślubin, bo długość morskiej linii brzegowej nagle wzrosła mu ze 140 do blisko 500 kilometrów, to zaś oznaczało więcej plaż i więcej jodu, więcej ryb, więc mniej też głodu. Na przełomie czerwca i lipca w Gdańsku i Sopocie zorganizowano huczne poprawiny: Święto Morza (wymyślone jeszcze w 1932 r. przez Ligę Morską i Kolonialną). Marynarze złożyli wówczas przysięgę wierności polskiemu morzu. Jesteśmy skazani na domysły, na czym owa wierność miała polegać. Może chodziło o to, że marynarz polski nie będzie się dobierał do Morza Czarnego ani Kaspijskiego.

Nowo zawarty związek należało skonsumować, do czego naród, zachęcany przez prasę, zabrał się ochoczo w pierwszych powojennych latach. O stylu, w jakim się to zachęcanie odbywało, opowiada w odnoszącym się do 1947 r. fragmencie „Życia towarzyskiego i uczuciowego" Tyrmand. Skazany na sukces dziennikarz zostaje wysłany nad morze w delegację, bo „Naród ma się dowiedzieć o odzyskanych plażach, które stoją do jego dyspozycji". „Wiosenne bałtyckie powietrze, świeżość prześcieradeł, szum fal, nieustający rajd dobrymi szosami ku nowym biesiadom i wznoszonym wśród patriotycznych pieśni pucharom, perlista lotność konwersacji, usprawniana miarowo śniadaniami, przekąską w drodze, obiadkiem, kielichem przedtem i kielichem potem – wszystko to czyniło z życia feerię, radosną i nieoczekiwaną". Narodu nie trzeba było długo namawiać. Nad morze jął walić lud polskich miast i wsi, przy czym lud wsi już parę metrów od linii brzegowej wsławił się spostrzeżeniem: „Woda jak woda, ino że większa".

Zaraz po wojnie władze, traktując tradycję sopockiego kurortu jako ohydny spadek poniemiecki, planowały pomniejszenie jego roli i przyłączenie go do Gdańska jako peryferyjnej dzielnicy. W „Szpilkach" z 1952 r. wypatrzyłem znamienny rysunek Jerzego Zaruby przedstawiający „Rozmowy polskiej emigracji z niemieckimi rewizjonistami", gdzie obie te grupy, już z wyglądu sprzedajne a podłe, układają się: „Nam wystarczy Jurata i korytarz do kasyna w Sopocie" (sopocki Grand Hotel zbudowano w latach 20. jako Kasini-Hotel). Sopot miał być przede wszystkim „sypialnią" armii robotników i urzędników pracujących w Gdańsku i Gdyni. Na szczęście tendencjom tym wkrótce sprzeciwili się wysocy urzędnicy ze stolicy, bo sam Bierut, a potem Cyrankiewicz chętnie jeździli „do Zoppot" i pragnęli jego status kurortu zachować.

Gdyby postawiono nam przed oczami obrazki z plaży sprzed pięćdziesięciu lub więcej lat oraz z plaży współczesnej i kazano znaleźć pięć różnic, moglibyśmy odnotować, że nie zmieniły się obyczaje. Wypoczynek nadmorski nadal polega głównie na wylegiwaniu się w grajdołku, piciu browarów i „studiach z dziedziny nogologii", jak nazywał film „Sopot 1957" to, co w latach 80. stało się „obczajaniem towarów", a dziś pewnie nazywa się jeszcze bardziej wulgarnie. Za to bezpowrotnie znikły chyba z morskiego krajobrazu kosze wiklinowe, tablice zakazujące wejścia na plażę osobom z widocznym kalectwem i tatuażami, butelki po wódce służące za termosy na herbatę i głośni sprzedawcy lodów Mewa. W dawnych bowiem czasach i miejscach reklama była krzykliwa w znaczeniu jak najbardziej dosłownym. Ówcześni grajdołokrążcy przewyższali dzisiejszych nie tylko tubalnością głosów, ale i inwencją w wymyślaniu okrzyków reklamujących lody, napoje i przekąski. Jeden tylko wieczny rym kupi-głupi wykorzystywano na tysiąc sposobów. Najbardziej znaną wersją lodziarską było „Mężu, mężu, nie bądź głupi, niech ci żona loda kupi!". Do kupowania Cytronety, czyli oranżady sprzedawanej w foliowych woreczkach, zachęcano tradycyjnym hasłem: „Cytroneta napój boski, nawet łysym rosną włoski!". Czasami letnicy podejmowali dialog ze sprzedawcą, na przykład popularnym odzewem na hasło „Lody Mewa!" był okrzyk „Niech pan zwiewa!". A Sopot stał się tak popularny wśród gwiazd polityki i kultury, że w innym, owianym prawdziwą legendą zawołaniu plażowego lodziarza mogło tkwić ziarno prawdy. Chodzi o zawołanie: „Sam Gomułka wyszedł z wody, żeby kupić u mnie lody!". Rzeczywiście, jednym z magnesów sopockiej plaży była wspomniana szansa zobaczenia tam niejednej postaci znanej z prasy i telewizji. Za dnia, bo wieczorem pracelebrytów najłatwiej było wypatrzeć w SPATiF-ie przy Monciaku, klubie jeszcze dziś chlubiącym się, iż w jego murach za PRL-u wypito dwa i pół miliona kieliszków wódki, pozostawiono 130 par skarpetek, a 14 tys. osób spadło ze schodów. ©

KLUB TP
Twórz / rozwijaj się / poznawaj ludzi. Dołącz do nas na **klubtygodnika.pl/wydarzenia**

MISJE POD SPECJALNYM NADZOREM

Wysyłając ewangelizatorów na tereny misyjne przez ostatnie dwa wieki Kościół zdążył popełnić wiele błędów. Z niektórymi się uporał. Pojawiły się jednak nowe.

KAROL WILCZYŃSKI

Na pierwszym filmie dwie czarnoskóre dziewczynki jedzą z misek na podłodze. Komentarz misjonarza: „Podano do stołu". Na drugim trzyletni chłopiec pierze ubrania uderzając nimi o posadzkę – do nagrania dodano podkład dźwiękowy z reklamy pralki.

Poczucie wyższości, brak szacunku wobec dzieci i paternalizm to najłagodniejsze zarzuty, które dziennikarze „Gazety Wyborczej" – w publikowanym w maju cyklu „Pan życia i śmierci" – postawili ks. Dariuszowi Godawie. W 2009 r. w sierocińcu założonym przez niego w Kamerunie, pod gruzami zawalonego podczas burzy dachu zginęło dwóch chłopców. Jak ustaliła policja, przez noc byli zamknięci w tym budynku w ubikacji za karę, że nie nakarmili rasowych psów misjonarza, hodowanych na sprzedaż do Europy. Dominikanin (wydalono go z zakonu w 2018 r.) uniknął odpowiedzialności, uciekając do Europy. Po dwóch latach powrócił jednak do Afryki i w Kamerunie zakładał kolejne sierocińce, z których uczynił dochodowe przedsiębiorstwa. Dzieci karmione raz dziennie głodową porcją, surowo karane za drobne przewinienia, pozostawiane bez opieki – raportowali w 2013 r. wolontariusze, którzy trafili na misję prowadzoną przez Godawę. Jego ówczesny przełożony z rozbrajającą szczerością przyznał: „Nie miałem w tamtym momencie żadnego sposobu, aby te niepokojące sygnały weryfikować".

Przypadek ks. Godawy obnażył bezradność zakonu i brak profesjonalizmu w prowadzeniu misji. Pozostający poza wspólnotą i poza kontrolą misjonarz to przepis na kłopoty. Czy to jednak pojedynczy, ekstremalny przypadek, który rzucił cień na pełną poświęceń i owocną pracę innych polskich misjonarzy?

Tryumf chrześcijaństwa

Według danych Komisji Episkopatu ds. Misji poza Polską przebywa aktualnie około 3170 polskich misjonarzy i misjonarek należących do Kościoła rzymskokatolickiego, głównie w krajach Afryki, Ameryki Łacińskiej i Azji. Ponad dwa tysiące z nich posługuje na misjach *ad gentes*, tzn. na terenach uznanych za misyjne przez Kongregację Ewangelizacji Narodów. Natomiast ponad tysiąc osób wyjechało

SIPHIWE SIBEKO / REUTERS / FORUM

do pracy misyjnej na tereny dawnych krajów ZSRR. Ponad 1300 to zakonnicy i księża diecezjalni, a 18 to biskupi.

Wbrew pozorom wysyłanie misjonarzy w zorganizowanej formie jest w Kościele rzymskokatolickim zjawiskiem stosunkowo nowym, w Polsce zaś – obecnym na szerszą skalę dopiero od lat 80. XX w. Termin „misja" powstał na przełomie XVI i XVII w. – w ten sposób wysłanie zakonników określano w zakonie jezuickim. Pomimo to mianem „misjonarza" określa się osobę, która wyjeżdża w celu szerzenia wiary inspirując się bezpośrednio słowami Jezusa: „Idźcie na cały świat i głoście Ewangelię wszelkiemu stworzeniu" (Mk 16, 15).

Jak wskazuje jeden z czołowych polskich misjologów, ks. Jarosław Różański OMI, historia misji w jej ogólnokatolickim wymiarze zaczęła się zaledwie dwa wieki temu. „Entuzjazm misyjny XIX wieku zrodził się we Francji, skąd pochodziła większość misjonarzy katolickich pracujących w tym wieku w wielu zakątkach świata. Entuzjazm ten wyrażały dobrze tytuły dwóch dzieł romantycznych François-René Chateaubrianda: apologii »Geniusz chrześcijaństwa« (1802) oraz późniejszej epopei »Męczennicy, czyli tryumf religii chrześcijańskiej« (1809)" – pisze w artykule „Polskie misjonarki i misjonarze w Afryce".

Oba traktaty miały dowodzić wyższości chrześcijaństwa nad innymi religiami oraz faktu, że tylko katolicyzm może przynieść szczęście wszystkim ludziom na ziemi. W dziełach Chateaubrianda „misjonarz urastał do herosa wiary, którego nie zrażają przeciwności klimatyczne i geograficzne w niesieniu tego, co chrześcijańskie i związane z europejską cywilizacją. W tej drodze nie zraża go nawet niebezpieczeństwo męczeństwa" – tłumaczy ks. Różański.

XIX w. był więc okresem, w którym misjonarze ściśle współpracowali z europejskimi potęgami kolonialnymi i – choć nie mają one już charakteru „misji cywilizacyjnej" – to z tego okresu wywodzą się podziały geograficzne prowincji misyjnych oraz wiele elementów systemu zarządzania placówkami misyjnymi. ↦

Złagodzenie przepisów covidowych pozwoliło na udział wiernych w uroczystościach wielkanocnych. Soweto, RPA, 4 kwietnia 2021 r.

Zmiany w postrzeganiu misji

Polscy misjonarze, którzy zaczęli wyjeżdżać po 1918 r., służyli w placówkach prowadzonych przez zagraniczne zakony. Tak było w przypadku o. Adama Kozłowieckiego SJ pracującego w Zambii od 1945 r., późniejszego kardynała, czy ks. Leona Mokwy OMI pracującego w Kanadzie od lat 50. XX wieku. Obaj byli polskimi pionierami misji, a ich obecność i praca były możliwe dzięki zmianom politycznym, które nastąpiły po I wojnie światowej.

W 1919 r. opublikowany został list apostolski Benedykta XV „Maximum illud", w którym wskazano na konieczność odpolitycznienia katolickich misji oraz na potrzebę formacji i kształcenia kapłanów z lokalnych społeczności. „Misjonarze i odpowiedzialni za misje coraz mocniej uświadamiali sobie potrzebę reorientacji działalności misyjnej" – pisze Różański. „Widziano także potrzebę wsparcia działalności misyjnej refleksją naukową, w tym teologiczną i etnograficzną. Zaczęła się rozwijać misjologia, a wraz z nią kursy przygotowujące misjonarzy do ich przyszłej pracy".

Z pewnością jakiś wpływ na te zmiany musiały mieć doświadczenia duchownych pracujących na misjach na początku XX w. – W zgromadzeniu werbistów – założonym w 1875 r. – pierwsi misjonarze rzeczywiście przyjmowali z niezrozumieniem różne zjawiska w lokalnej kulturze. Często jednak po zapoznaniu się bliżej z daną kulturą otwierali się na to, co inne. Dobrym przykładem jest św. Józef Freinademetz SVD, Tyrolczyk, który początkowo był uprzedzony do tego, co zastał w Chinach, ale umierając mówił, że nawet w niebie chce pozostać Chińczykiem – tłumaczy ks. Andrzej Danilewicz SVD, sekretarz ds. misji w zakonie werbistów.

Na problemy związane z segregacją rasową i dyskryminacją lokalnej ludności wielokrotnie wskazywał także o. Kozłowiecki. Jak pisał w 1956 r.: „Wielu białych znalazłszy się w krajach kolonialnych ulega dziwnej zarozumiałości, którą ja piętnuję jako »arogancję«, i stwarza swój własny światek odgrodzony barierami od niebiałych". Wspomina również o sytuacji, w której – pod jego naciskiem – siostry dominikanki przyjęły do „białej" szkoły dziewczynkę pochodzenia indyjskiego. „Zrobił się rejwach. Reporterzy dwóch gazet zażądali ode mnie wywiadu, który następnie ogłosili. Jedna z gazet poparła mnie na całej linii, druga zachowała się z rezerwą. Otrzymałem z jednej strony gwałtowne listy protestacyjne, z drugiej gratulacje. Od Związku Hindusów otrzymałem telegram z podziękowaniem za złamanie jednej bariery rasowej".

> O ile misjonarze są dobrze przygotowani językowo, znają kontekst polityczny, o tyle niewiele uczą się o tym, jak **być pokornym i uważnym w kontakcie z innymi kulturami.**

To właśnie Kozłowiecki – osoba doświadczona piekłem obozu i nazistowskiego rasizmu – zakładał pierwsze mieszane szkoły na terenie obecnej Zambii. Listy Kozłowieckiego, przytoczone w książce Różańskiego, stanowią przykład wczesnej (lata 50. i 60. XX w.) walki o równość osób pochodzących z wielu kultur, mających różne kolory skóry. Spory dotyczyły również samych misjonarzy mających różne korzenie w Europie: „Proszę cię – pisał do jednego ze współbraci – bardzo a bardzo: przestań już używać nazwy »Polska Misja«, bo takiej nie ma i to bardzo drażni nawet Słowaków i dużo nam szkodzi. Trzeba być konsekwentnym. Jako Polak służę Bogu, Kościołowi i duszom. (...) Pamiętaj: nie znam i nie chcę znać misji ani »polskiej«, ani »irlandzkiej«, ani »słowackiej«".

Dlaczego „polska misja"? Wskazuje na to Dominika Szkatuła, świecka misjonarka z Peru: – Polscy misjonarze są zdolni do trudnej, wymagającej pracy – w samotności, z dala od cywilizacji. Niemniej ta samotność ma dwa wymiary: jeden, który czyni nas w jakiś sposób bohaterami, i drugi, który sprawia, że nie potrafimy działać w ekipie. Bywa, że wiemy wszystko najlepiej, mamy najlepszy sposób na ewangelizację i jesteśmy dziedzicami Jana Pawła II.

Kolonialne dziedzictwo

Czy jednak w ciągu ostatnich kilku dekad udało się usunąć negatywne aspekty związane z „arogancją", poczuciem wyższości, a co za tym idzie – nierównością pomiędzy niosącymi pomoc białymi misjonarzami z Europy a ludnością lokalną?

Ks. Danilewicz wskazuje, że w zakonie werbistów nie dochodzi do takich sytuacji: – Wokół misji krąży sporo czarnego PR-u i to od dawna. Dostrzegamy trend, np. w Afryce, by pozbywać się tego, co europejskie, budować rodzime instytucje i Kościół. I my, jako werbiści, zgadzamy się z tym – byliśmy pierwszym zgromadzeniem w wielu krajach, które przyjmowało kandydatów z lokalnych społeczności czy w USA osoby czarnoskóre. Chcemy, by na miejscu rodziły się lokalne Kościoły, nie jesteśmy po to, by cokolwiek narzucać – tłumaczy.

Czy możemy jednak mówić, że to tylko czarny PR?

Od kilkunastu lat w Kanadzie trwają badania dotyczące szkół z internatem dla dzieci z Pierwszych Narodów. Placówki te, finansowane przez rząd, były prowadzone przez różne Kościoły – w większości przez rzymskokatolicki, w dużej części przez Oblatów Maryi Niepokalanej. W ostatnich dniach odkryto szczątki 215 dzieci w szkole w Kamloops w Kanadzie prowadzonej właśnie przez oblatów. Szacuje się, że ogółem śmierć w tych szkołach poniosło około 3 tys. dzieci, a ich celem było usunięcie wpływu kultury narodów rdzennych i asymilacji podopiecznych z kulturą zachodnią. W każdej szkole dzieci były odbierane przymusowo rodzicom, pozbawiano ich imion, strojów, zmuszano do pracy, a w większości z nich dochodziło do nadużyć, molestowania seksualnego i innych form przemocy.

Wspomniany już oblat ks. Leon Mokwa, zmarły w 2003 r., pracował w latach 1945-57 oraz 1970-84 w szkole św. Józefa w Fort Resolution oraz był dyrektorem szkoły w Fort Smith w latach 1957-65. Oprócz niego w szkołach pracowało kilku braci zakonnych, oblatów. Pojawiły się świadectwa, że także w tych placówkach dochodziło do przemocy seksualnej i różnego rodzaju nadużyć. Głośny raport kanadyjskiej Komisji Prawdy i Pojednania z 2015 r. przedstawia listy dzieci zmarłych w tych szkołach, które udało się ustalić.

Polscy oblaci nie odnieśli się dotąd w żaden sposób do „kulturowego ludobójstwa" (za które przeprosili m.in. kanadyjscy oblaci i inni przedstawiciele Kościoła w Kanadzie).

Chociaż ks. Różański w swojej książce o polskich misjonarzach nie obawia się

wskazywać problemów, które dotyczą tego środowiska (np. „wydaje się też, iż wielu polskim misjonarzom nieustannie towarzyszy swoista »pycha eklezjalna«, polegająca na przekonaniu, iż doświadczenie zdobyte przez Kościół w Polsce jest doświadczeniem wzorcowym i powinno być ono przeszczepiane w całości na kontynent afrykański"), to w jego artykule poświęconym polskim oblatom w Kanadzie („Polscy oblaci na dalekiej północy") nie znajdziemy żadnych wzmianek o tragedii Pierwszych Narodów. Pomimo jej skali oraz niewątpliwego udziału polskich oblatów w tworzeniu szkół, na moje pytanie o rolę ks. Mokwy i innych braci, ks. Różański odpowiedział: „Nie ma ani dokumentów, ani faktów co do relacji polskich oblatów i tego trudnego problemu".

Jest to o tyle zaskakujące, że ks. Różański miał możliwość badania archiwów oraz rozmów z polskimi oblatami działającymi w Kanadzie, a jego teksty powstawały już po tym, jak przedstawiciele jego zakonu i Kościoła uznali swój udział w tworzeniu tego systemu.

Na pewno łatwo jest krytykować z daleka, nie znając specyfiki miejsc, w których pracują misjonarze. Tak się broni ks. Godawa. Wspiera go w tym znany polski misjonarz z Republiki Środkowoafrykańskiej kapucyn o. Benedykt Pączka: „Nie zrozumiecie tego, nie będąc tutaj. Trzeba być i widzieć, aby oceniać innych".

Innego jednak zdania jest Dominika Szkatuła, która odrzuca porady „starych misjonarzy". – Jesteśmy Kościołem nie tylko w polskim, ale też w uniwersalnym wymiarze nadal bardzo konserwatywnym, klerykalnym i męskim – mówi. – Instytucją zanurzoną w średniowieczu, która w obronie chrześcijaństwa Zachodu z jego dogmatami, wertykalizmem i ciężkimi strukturami niszczy religie naturalne tych ludów, ich duchowość, wizje kosmosu, ich rytuały i mistykę. Tak, ten Kościół jest już dawno niezrozumiały, coraz bardziej obcy i daleki od normalnego ludzkiego życia dla nas, w Europie. Tym bardziej na terenach misyjnych.

Szkatuła wskazuje jednocześnie na wypowiedź papieża Franciszka z Puerto Maldonado (styczeń 2019 r.): „Przestańmy mówić o Indianach. Wcześniej niech oni sami zdefiniują, jak chcą żyć, jak chcą się zorganizować, jak świętować swoje życie i wiarę".

Nieustanna praca i życie w stanie permanentnego zagrożenia, wśród osób nierzadko skrajnie ubogich, chorych, cierpiących, mogą **doprowadzić do wypalenia.**

Współczesne problemy

„Muszę być świętym", „Bogu i jego sprawie oddać się trzeba na zawsze", „Bóg zażądał ode mnie ofiary i składam ją bez zastrzeżeń" – oto przykładowe tytuły artykułów dostępnych na blogach prowadzonych przez polskich misjonarzy. W podobnym duchu określa cechy misjonarza soborowy Dekret o działalności misyjnej „Ad gentes" (nr 25) – ma być on m.in. „wytrwały w trudnościach", „cierpliwie i mężnie znoszący: samotność, zmęczenie i bezowocną pracę", a zarazem „wychodzący do ludzi z otwartym umysłem i sercem" czy „wspaniałomyślny w dostosowaniu się do obyczajów danego narodu", „umiejący wystarczać sobie w potrzebach" i „żyjący duchem ofiary, noszący w sobie konanie Jezusa, aby życie Jezusa się w nim objawiło".

Do tego duchowego i psychicznego napięcia dochodzi również twarda rzeczywistość: „Tutaj, wraz z problemami, które przeżywamy, doświadczamy tego, co znaczy bezradność. Widzimy, jak dzieci w wieku szkolnym zajmują się pasieniem kóz, są wykorzystywane do różnych prac w polu, przy uprawie ziemi. Pracują motyką. Przenoszą nieraz ciężary na wiejski rynek. Często głodują. Widzimy ich choroby i brak lekarstw, brak odzieży, koców do przykrycia się czy jakiegokolwiek okrycia, gdyż noce są chłodne" – czytam na blogu sióstr z Rwandy.

Czy Kościół ma wypracowane sposoby reagowania na różnego rodzaju nadużycia, malwersacje finansowe lub choćby fatalne zarządzanie? Misjonarz nie pełni przecież wyłącznie funkcji liturgicznych, ale działa jako zarządca lokalnych dóbr i dzieł kościelnych. Co robi instytucja Kościoła w momencie wypalenia, uzależnienia od alkoholu czy pojawienia się chorób psychicznych? Nieustanna praca i życie w stanie permanentnego zagrożenia, wśród osób nierzadko skrajnie ubogich, chorych, cierpiących – bez wypracowanych metod przeciwdziałania – mogą doprowadzić do wypalenia, wyczerpania emocjonalnego i problemów ze zdrowiem psychicznym.

Alkoholizm i samotność

– Nie ma centralnego zarządzania misjonarzami – mówi ks. Różański. – Jeśli misjonarz jest księdzem diecezjalnym, powinien otrzymać pomoc ze strony przełożonych w diecezji, w której pracuje. Jeśli jest zakonnikiem – pomoc powinien uzyskać od przełożonych zakonnych.

W zależności od diecezji czy zakonu różnice w metodach działania są zasadnicze. Jak mówi ks. Andrzej Danilewicz, werbiści po wyjeździe na misje zostają włączeni do lokalnych struktur kościelnych i to one odpowiadają za ich postępowanie. W rozmowie były prowincjał werbistów przyznaje, że – choć sporadycznie – zdarzają się wśród księży problemy związane z alkoholizmem czy doskwierającą samotnością. Jak wskazuje, w rozwiązaniu tych problemów często nie pomaga lokalny kontekst. – Warto przyjrzeć się np. mentalności azjatyckiej, gdzie mówienie o osobistych, intymnych problemach nie jest dobrze widziane. Nie mówi się o problemach takich jak choćby alkoholizm. Dotyczy to misjonarzy z Polski, ale również lokalnych mieszkańców. To nie pomaga – mówi ks. Danilewicz.

– Nasz zakon działa tak, by unikać życia w samotności. Placówki misyjne obejmują wiele wspólnot i do ich prowadzenia potrzeba jest co najmniej kilku osób. Nawet gdy wyjeżdżają na objazdy, cały czas przebywają wśród miejscowych ludzi. Bywa też tak, że sami Polacy w danym kraju organizują spotkania od czasu do czasu w swoim gronie – dodaje werbista i zaznacza, że misjonarze zgłaszający się z problemem otrzymują pomoc, są np. wysyłani na terapię.

Na etapie formacji jednak polski misjonarz nie otrzyma odpowiedniego przygotowania psychologicznego do tej pracy. – Oprócz realizacji *Ratio Studiorum* (teologii i filozofii katolickiej), oferujemy również dziesięć propriów, zajęć dodatkowych, każde po 30 godzin – wyjaśnia ks. Andrzej Danilewicz.

Trzy z propriów są poświęcone religiom lokalnym, wielkim religiom świata oraz nowym ruchom religijnym. Kolejne propria dotyczą antropologii kulturowej i misjografii, czyli konkretnym informacjom ↦

↦ na temat kraju, do którego pojedzie dany werbista w przyszłości. Oprócz tego jest też misjologia (historia i teoria misji) oraz medycyna tropikalna.

Również w niemal 400-stronicowej monografii ks. Jarosława Różańskiego OMI nie pojawia się jednak temat przygotowania psychologicznego polskich misjonarzy. Z drugiej strony, jak wskazuje Dominika Szkatuła, przynajmniej jeszcze w latach 80. XX w., misjonarze poznawali „te odległe kultury jako bardzo opuszczone, ubogie, pozbawione jakby wszystkiego i które tylko czekają na nasz przyjazd – przyjazd »zbawicieli«". Zdaniem misjonarki, o ile misjonarze są dobrze przygotowani językowo, znają kontekst polityczny, o tyle „niewiele uczą się o tym, jak być pokornym i uważnym w kontakcie z innymi kulturami. By nie narzucać się z naszą formą życia, działania, myślenia, religii i wyznawania wiary. Nie zastępować ich wierzeń, ich własnych sakramentów, mitów i rytów naszymi, tylko uznać je, docenić i wzmocnić" – tłumaczy Szkatuła, która była ekspertką podczas ostatniego Synodu o Amazonii.

Na stronie Centrum Formacji Misyjnej znajdziemy co najwyżej informacje o obowiązkowych modlitwach: „codzienne wspólne modlitwy, odmawianie Liturgii Godzin, medytacja oraz sprawowane Msze święte mają rozpalić w przyszłym misjonarzu żar Bożej miłości. Niezwykłą wartość mają cotygodniowe adoracje Najświętszego Sakramentu poprzedzone konferencjami ascetycznymi ojca duchownego. To właśnie przed obliczem ukrytego w Najświętszych Postaciach Chrystusa dojrzewa pragnienie dzielenia się Bogiem z ludźmi na całym świecie".

Oprócz tego misjonarze otrzymują pomoc ojca duchownego oraz mogą korzystać z comiesięcznych dni skupienia.

Misjonarze pomagają

Jak wskazuje jednak ks. Jarosław Różański, duży nacisk na charytatywny, praktyczny aspekt misji zaczęto kłaść dopiero w latach 60. XX w., kiedy to w literaturze misjologicznej pojawił się termin „pomoc w rozwoju". Podczas Soboru Watykańskiego II zaczął być natomiast używany termin „promocja ludzka", który obejmował zarówno wysiłki mające na celu „wyzwolenie religijne", jak rozwój w sensie materialnym.

Dlatego obecnie oprócz działań związanych z ewangelizacją (działalność duszpasterska, kształcenie katechistów, budowa i utrzymanie miejsc kultu i ośrodków misyjnych) polscy misjonarze i misjonarki działają szeroko na trzech polach: medycznym (budowa i prowadzenie szpitali oraz ośrodków zdrowia i aptek), charytatywnym (budowa i prowadzenie domów opieki czy sierocińców, walka z niedożywieniem i głodem, pomoc dla uchodźców i ofiar klęsk żywiołowych) oraz edukacyjnym (budowa i prowadzenie szkół, przedszkoli, uniwersytetów).

Dzieła misyjne są finansowane – za pośrednictwem episkopatu – z ofiarności wiernych. Utrzymanie pracy polskich misjonarzy kosztuje miliony złotych rocznie. Skala jest względnie duża. Przykładowo w misjach prowadzonych przez misjonarzy i misjonarki z Polski w Afryce istnieje ok. 150 przedszkoli z ok. 8 tys. dzieci, ok. 500 szkół I stopnia, do których uczęszcza ok. 100 tys. dzieci oraz ok. 150 szkół II stopnia, do których uczęszcza ok. 45 tys. uczniów. Na terenie Afryki działa również kilkadziesiąt szpitali i przychodni, w których pracują polscy misjonarze i misjonarki.

Temat finansowania misji i misjonarzy również pozostawia wiele do życzenia. Tutaj podobnie nie ma centralnego zarządzania oraz solidnych mechanizmów kontroli. Dominika Szkatuła przywołuje przypadek bp. Alberto Camposa Hernándeza z jej wikariatu San José de Amazonas, który dopuszczał się malwersacji środków finansowych przeznaczonych na różne projekty socjalne i duszpasterskie prowadzone w misjach. – Niestety biskup tych środków nigdy nie zwrócił. Ponadto miał dwójkę dzieci w czasie swojej 13-letniej kadencji. Do dziś nie poniósł żadnych konsekwencji, tyle że udało się nam, misjonarzom, oddalić go z wikariatu. Wiem, że dokonaliśmy czegoś praktycznie niemożliwego w Kościele – przyznaje Szkatuła.

Pomimo znajomości kilku podobnych sytuacji na misjach w Afryce nie udało mi się przekonać rozmówców – nawet anonimowo – do wypowiedzi.

© KAROL WILCZYŃSKI

Dymisja z donosem w tle

ARTUR SPORNIAK

Czy krytyczny list, który otrzymał poznański metropolita, spowodował, że ks. Mirosław Tykfer przestał być naczelnym „Przewodnika Katolickiego"?

Niepokojąca jest zbieżność dat. Fakty są następujące: z początkiem marca ukazuje się wiosenny numer kwartalnika „Więź", a w nim krytyczna recenzja książki o. Jarosława Kupczaka „Amoris laetitia. Konflikt interpretacji" autorstwa ks. Mirosława Tykfera, poznańskiego teologa. 21 maja na portalu „Więzi" ukazuje się odpowiedź o. Kupczaka. Następnego dnia ks. Tykfer przestaje być redaktorem naczelnym poznańskiego „Przewodnika Katolickiego". Z dwóch wiarygodnych źródeł „Tygodnik Powszechny" dowiedział się, że o. Kupczak napisał krytykujący Tykfera list do jego przełożonego – metropolity poznańskiego abp. Stanisława Gądeckiego. Czy polemika na temat „Amoris laetitia" stała się jego tematem? I czy krytyka ks. Tykfera zawarta w liście miała wpływ na jego dymisję?

Pytania te zadałem o. Kupczakowi i abp. Gądeckiemu, ale nie doczekałem się odpowiedzi. Splot faktów skomentował natomiast ks. Tykfer.

Spór o komunię

Ale najpierw o samej polemice dwóch teologów. Rzadko w Polsce mamy do czynienia z publicznym sporem na gorące tematy teologiczne, które są ważne dla zwykłych wiernych. A temat dostępu do komunii dla osób rozwiedzionych, które ponownie zawarły związek małżeński, właśnie taki jest. Dominikański moralista

KAROL SEREWIS / EAST NEWS

YOUTUBE / PRZEWODNIK KATOLICKI

Od lewej o. Jarosław Kupczak OP oraz ks. Mirosław Tykfer

o. Jarosław Kupczak należy do zatwardziałych obrońców *status quo*. Jego zdaniem życie osób będących w niesakramentalnych związkach obiektywnie zaprzecza sensowi Eucharystii jako znaku zjednoczenia Chrystusa z Kościołem. Dlatego w takich przypadkach nie mogą mieć zastosowania nawet okoliczności zmniejszające lub likwidujące subiektywną winę życia „w stanie grzechu ciężkiego", o których w punkcie 1735 mówi Katechizm Kościoła Katolickiego.

Natomiast zdaniem ks. Mirosława Tykfera Franciszek patrzy z innej perspektywy – chce, by Kościół przede wszystkim kierował się miłosierdziem w podejściu do konkretnego człowieka. Przy takim spojrzeniu nie tylko nabierają wagi subiektywne trudności i okoliczności zmniejszające winę – czas wręcz, by Kościół opracował nowy teologiczny paradygmat.

Przywódca z przypadku

Co do listu o. Kupczaka do abp. Gądeckiego, ks. Tykfer potwierdza jego istnienie. Potwierdza też, że dotyczył jego recenzji książki o „Amoris laetitia" zamieszczonej w kwartalniku „Więź", choć jego treści nie poznał.

– Najpierw dostałem z „Więzi" odpowiedź o. Kupczaka na moją recenzję. Potem abp Gądecki poinformował mnie przez swojego sekretarza, że także dostał list. Postanowiłem więc krótko opisać moje stanowisko w tej sprawie – opowiada poznański teolog. – Myślę, że to jest przyzwoity sposób załatwiania sprawy. Przekazałem więc kilka informacji na temat moich intencji oraz poinformowałem, że szerzej rozwinę swoje racje w odpowiedzi na polemikę o. Kupczaka.

I tak też się stało – po ukazaniu się tekstu krakowskiego dominikanina zatytułowanego „Kto ma rację: o. Kupczak czy ks. Tykfer?", portal Więź.pl zamieścił 2 czerwca drugi tekst ks. Tykfera pt. „Rację ma papież Franciszek".

Ks. Tykfer nie sądzi jednak, że istnieje związek między listem o. Kupczaka a jego dymisją z funkcji redaktora naczelnego „Przewodnika Katolickiego".

Gdy przypominam, że abp Gądecki na dwóch synodach poświęconych rodzinie – w 2015 i 2018 r. – został przez światowe media okrzyknięty przywódcą konserwatywnej frakcji biskupów, zdecydowanie przeciwstawiającej się komunii dla rozwodników, ks. Tykfer odpowiada: – Wiem, że rola twardego konserwatysty wcale mu nie odpowiada. Arcybiskup kiedyś powiedział, że ani postępowość, ani konserwatyzm nie są adekwatnymi słowami na opisanie drogi, którą powinien iść Kościół.

Chodzi o wierność Słowu i misyjność. Jego zdaniem musimy wręcz być ostrożni, żeby nie odegrać roli kard. Ottavianiego, który z powodu swych zbyt konserwatywnych poglądów próbował blokować soborowe reformy. Abp Gądecki nie jest więc twardym konserwatystą. Rozumie potrzebę rozwoju doktryny, ale zarazem chce, aby ten rozwój nie był zerwaniem z tradycją.

Ks. Tykfer próbuje wyjaśnić, jak doszło do tego, że dla mediów metropolita poznański stał się przywódcą konserwatystów: – Przed pierwszym synodem o rodzinie abp Gądecki pytał wielu z nas, co sądzimy o komunii dla osób rozwiedzionych żyjących w nowych związkach – opowiada. – Był to temat przywołany już w lutym 2014 r. na konsystorzu przez kard. Waltera Kaspera i wiadomo było, że będzie on omawiany na synodzie. Wtedy odpowiedziałem, że jest to niemożliwe. Wiem też, że przed wyjazdem na synod abp Gądecki pytał o zdanie polskich teologów moralistów. Dzisiaj już wiemy, że znamienita większość z nich musiała odpowiedzieć, iż należy się trzymać nauczania Jana Pawła II, który dopuścił rozwodników do komunii pod warunkiem, że będą żyli „jak brat i siostra". I metropolita się tego trzymał na synodzie. Przypisane więc abp. Gądeckiemu przywództwo frakcji konserwatywnej na synodzie nie tyle było jego zamiarem, ile efektem zaprezentowania przez niego poglądów większości polskich teologów. Przypuszczam, że również większość polskich biskupów tak wówczas myślała. Abp Gądecki przychylał się zapewne do tych opinii, ale nigdy, a szczególnie w tamtym czasie, nie widziałem go jako kogoś zamkniętego na dialog, także w tym temacie.

Ks. Tykfer mówi też o osobistej przemianie: – Gdy rozpoczęły się dyskusje ↦

↦ synodalne, zacząłem więcej czytać i rozmawiać z zagranicznymi teologami i coś się zaczęło we mnie przełamywać. Powiedziałem wtedy arcybiskupowi: „Uważam, że powinno nastąpić otwarcie”.

Tajemnica dymisji

Skoro to nie poglądy na komunię dla rozwodników wpłynęły na jego dymisję – co zatem?

– Nie wiem, co ostatecznie zadecydowało i czy coś konkretnego stało się momentem zapalnym – odpowiada. – Tak jak napisałem w internecie po mojej dymisji, często dyskutowaliśmy. I bardzo się tymi rozmowami cieszyłem, ponieważ miały w sobie ogromną elegancję i były rzeczywiście rozmowami bardzo partnerskimi. Tło zmiany jest natomiast bardziej złożone. Nie chciałbym tego komentować. Chcę jednak podkreślić, że faktycznie za każdym razem podczas naszych rozmów przypominałem o mojej gotowości do odejścia – dodaje tajemniczo były redaktor naczelny tygodnika poznańskiej archidiecezji.

Ks. Mirosław Tykfer był redaktorem naczelnym „Przewodnika Katolickiego” przez siedem lat – od 2014 r. Został nim bez żadnego przygotowania dziennikarskiego. – To była największa zmiana wśród polskich pism kościelnych. Z tygodnika „grzecznego” zrobił profesjonalne pismo mające swoje zdanie – uważa redaktor naczelny „Więzi” Zbigniew Nosowski.

Linią pisma stała się reforma Kościoła, którą przeprowadza Franciszek. Ale tygodnik poruszał nie tylko tematy kościelne – „Przewodnik Katolicki” pisał o PiS-owskiej „reformie” sądownictwa, zabierał głos w sprawie nacjonalizmu. Był pierwszym polskim tygodnikiem, który pisał o potrzebie organizowania korytarzy humanitarnych dla uchodźców.

Tykfer jest uczniem jednego z najwybitniejszych polskich teologów ostatnich lat – ks. Tomasza Węcławskiego (który w 2008 r. dokonał apostazji i zmienił nazwisko na Polak). Na uniwersytecie Gregoriańskim w Rzymie obronił doktorat z teologii fundamentalnej. Ma 45 lat. Od 1 sierpnia będzie proboszczem w podpoznańskich Komornikach.

©℗ ARTUR SPORNIAK

Wierzący i klient

DARIUSZ KOT

Czytanie religii przez pryzmat ekonomii jest nowatorskim eksperymentem. Problem w tym, że rzeczywistość wyprzedza takie analizy.

„Jezus jest odpowiedzią” – tak brzmią reklamy pojawiające się w różnych wersjach w wielu anglojęzycznych krajach. W swojej nowej książce „Kościół na rynku” ks. Andrzej Draguła pyta (za ks. Tomášem Halíkiem): „Skoro »Jezus jest odpowiedzią«, to jak brzmi pytanie? I czy ktoś to pytanie stawia Kościołowi? Czy wierni zwracają się do Kościoła z potrzebą wiecznego ocalenia, czyli zbawienia, które dokonuje się w Chrystusie?”.

Czy w ogóle jest popyt na chrześcijańską ofertę zbawienia? Teolog – nie tylko w tym fragmencie, ale w całej książce – eksperymentuje z językiem gospodarki, marketingu i finansów. Wychodzi z założenia, że co najmniej od XIX w. nie kształtuje nas już religia, tylko ekonomia i polityka. Według ks. Draguły dzisiejsi wierzący to przede wszystkim klienci, którzy „swojego prawa do wyboru wszystkiego nie pozostawiają za drzwiami świątyni”.

Oferta Ewangelii

Książka kataloguje i szuka kościelnych odniesień dla rozmaitych pojęć i narzędzi ekonomicznych, jak marketing, klient, obsługa, produkt, cena, dystrybucja, logo czy marka. Ożywczy język wielu tych obserwacji daje do myślenia.

Na przykład: zdaniem ks. Draguły Kościół nie „konkuruje” na rynku religijnym, ale na o wiele szerszym rynku idei. Co dziś dostarcza głębszego *katharsis* i poczucia wspólnoty: Misteria Paschalne, mecz piłki nożnej z udziałem Brazylii czy „obchody” pojawienia się na rynku nowego iPhone’a? W biznesie, polityce, nauce, sztuce, a nawet w sporcie powstają intrygujące rytuały i wyjaśniające świat mity, obiecujące nowe świeckie raje.

Autor „Kościoła na rynku” krytykuje feudalne przekonanie, że parafianie – niczym średniowieczni chłopi pańszczyźniani – są *glebae adscripti*, przypisani do ziemi. Czy bardziej przyjazne urzędy mogłyby zapobiec ich migracji do innych parafii, a może nawet – zapobiec odejściom apostatów? Może uznać działania kancelarii parafialnych za „obsługę posprzedażową” wiernych?

Innym interesującym pomysłem jest opis Kościoła jako pewnej marki. Jaka jest dziś wiarygodność tej marki, skoro aż 97 proc. młodych ludzi w wieku 18-29 lat krytycznie ocenia działania Kościoła w Polsce w kwestii pedofilii? Ks. Draguła nie ma złudzeń co do konsekwencji takiej sytuacji: „Kościół nie jest oczywiście tożsamy z Ewangelią, ale Kościół, który pretenduje do roli jej urzędowego i autentycznego głosiciela, musi się liczyć z tym, że to, co głosi, będzie odbierane przez pryzmat społecznego odbioru samego głoszącego. Odrzucenie Kościoła może stać się także powodem odrzucenia głoszonej przez niego prawdy”.

O sprzedawaniu zbawienia

W najbardziej intrygujących fragmentach książki teolog pyta o głębsze ana-

DAMIAN KLAMKA / EAST NEWS

Przygotowania do Światowych Dni Młodzieży w Krakowie, 17 lipca 2016 r.

logie – i nieprzekraczalne różnice – między Kościołem a rynkiem. Z jednej strony dochodzi do wniosku, że zarówno dla firm, jak i dla Kościołów czymś fundamentalnym jest obietnica składana klientom czy wyznawcom. „Obiecywać trzeba i należy".

Z drugiej strony tym, co Kościół obiecuje, jest miłość Boga. „Biblijne wezwanie, by kupować, nie mając pieniędzy, i aby spożywać, nie płacąc (por. Iz 55, 1), przypomina nam, że zbawienie dokonuje się wyłącznie w kategoriach daru, na który nie da się odpowiedzieć czymkolwiek w zamian". W ten sposób cała historia Kościoła na rynku kończy się paradoksem: kościelny marketing „uczy, jak sprzedać to, czego i tak nie da się kupić".

Przy całym bogactwie i pomysłowości rozmaitych szczegółowych analogii i kościelnych adaptacji myślenia rynkowego te próby rozróżnienia dwóch obietnic – świeckiej, rynkowej i kościelnej, religijnej – wydają mi się najcenniejsze. Widzę w nich autentyczną, pogłębioną, unikającą stereotypów próbę rzetelnego opisania dla wierzących tego obcego, groźnego, coraz bardziej laickiego świata poza kościołami.

Na przełomie XIX i XX w. – pisze ks. Draguła – „coraz bardziej rozwijająca się nauka – zwłaszcza upowszechniająca się teoria ewolucji – zaczynała kwestionować religijną naturę świata. Religia przestawała być niekwestionowaną oczywistością. (...) Wciąż niewystarczająco zdajemy sobie sprawę z tego, jakie konsekwencje dla religijności miało przejście z epoki agrarnej do industrialnej, a było to przejście od świata naturalnego biegu rzeczy do świata coraz większej ingerencji człowieka w ten świat".

Epoka przemysłowa bynajmniej nie ominęła wsi, którą całkowicie zmieniły mechanizacja i nowa organizacja pracy w rolnictwie. „Dawniej chłop przeżywał działanie Boga bezpośrednio i naocznie nawet w samych przyczynach stwórczych, zapewniających jego byt i przynoszących błogosławieństwo jego pracy. Czuł się on w służbie Stwórcy błogosławiącego jego trud. Dziś technika czyni człowieka coraz więcej panem natury. W miejsce prośby o błogosławieństwo i Opatrzność, zjawiają się komunikaty meteorologiczne i racjonalna uprawa".

Inaczej mówiąc, Bóg zniknął z naszego pola widzenia. Zastąpiły Go technologie.

Od obietnicy do kredytu

Właśnie tego w książce ks. Draguły najbardziej mi brakuje: refleksji nad technologią, a także nad działalnością gospodarczą jako wykorzystaniem technologii. Świecka firma dzięki technologii dysponuje czymś dla religii niedostępnym. Dysponuje kredytem.

Zdaniem historyka Yuvala Harariego właśnie kredytowi – a nie samym tylko nauce i technologii – zawdzięczamy niezwykły wzrost jakości życia w czasach nowożytnych. Co mogłeś zrobić w średniowiecznym miasteczku, w którym wybuchła epidemia czerwonki? – pyta Harari. Załóżmy, że chciałbyś założyć laboratorium, nakupić leczniczych ziół i egzotycznych chemikaliów, a także odwiedzić słynnych zagranicznych lekarzy, a jednocześnie – prowadząc swoje badania – musisz jakoś utrzymać siebie i rodzinę. Jak to sfinansować? Możesz oczywiście odwiedzić znajomych drwala, kowala i bankiera i poprosić ich, aby cię utrzymywali przez kilka lat, zanim odkryjesz lekarstwo, zrobisz na tym majątek i zwrócisz pieniądze. Niestety, żaden z nich nie wierzy w cudowne lekarstwa. Żyją już długo, a jakoś nigdy nie spotkali się z tym, żeby ktoś wynalazł nowy lek na jakąś okropną zarazę. Jeśli chcesz ich usług, płać gotówką.

Rozczarowany wracasz do nawadniania swojego poletka pod miasteczkiem, czerwonka szaleje, nikt nie stara się niczego odkryć i nawet pojedynczy grosz nie przechodzi z ręki do ręki. W ten sposób przez tysiąclecia gospodarka spała, a nauka tkwiła w punkcie wyjścia.

Jak ten zaklęty krąg został przerwany? Dzięki kredytowi – wyjaśnia Harari. Ponieważ oparte na wiedzy naukowej technologie umożliwiły kontrolę nad naturą, można przewidzieć, kiedy uprawa czy produkcja przyniosą efekty, a nawet czy warto inwestować w wynalazki (w technologie, które jeszcze nie istnieją).

Gdy w XXI w. wybuchła epidemia koronawirusa, naukowcy z firm farmaceutycznych pracujących nad szczepionką nie musieli nikogo prosić o kredyty. Banki i prywatni inwestorzy, a nawet ministrowie finansów na wyścigi chcieli zainwestować w badania, spokojni o przyszłe ogromne zyski.

Kredyt – podsumowuje Harari – jest ekonomiczną formą wiary w lepszą przyszłość.

Brakujące parametry

Możliwość przewidzenia konkretnych efektów działalności gospodarczej bierze się ze znajomości parametrów produkcji, najlepiej wyrażonych matematycznie i dzięki temu czytelnych ↦

↦ i sprawdzalnych dla klienta. Daje to świeckiej, ekonomicznej obietnicy wsparcie finansowe w postaci kredytu, a także możliwość napędzania postępu technologicznego i kształtowania życia społecznego. To właśnie powiązania pomiędzy nauką, technologią, rynkiem, kredytem i dobrobytem – a nie sama wiedza naukowa, której popularyzacja pozostawia wiele do życzenia – wydają się być przyczynami procesów laicyzacji w państwach liberalnego Zachodu.

Katoliccy publicyści często nie widzą tych powiązań. Ks. Draguła cytuje np. Monikę Florek-Mostowską z tygodnika „Idziemy": „[Kościelny] produkt jest pozbawiony konkretnych parametrów technicznych, a to minimalizuje ryzyko niezgodności z oczekiwaniami klienta, nie posiada terminu ważności, a grupa docelowa jest niezwykle wdzięczna. Nawet jeżeli korzyści zapowiadane w ofercie nie zostaną zrealizowane, klient nie ma możliwości zgłaszania roszczeń".

Sam ks. Draguła nie podziela tego zaskakująco naiwnego optymizmu. Uważa, że o ile w odniesieniu do zbawienia czy życia wiecznego zgłaszanie roszczeń jest niemożliwe, o tyle w przypadku oferty duszpasterskiej coraz częściej mamy do czynienia z rezygnacją, czy to z uczestnictwa w życiu danej parafii, czy to z bycia członkiem wspólnoty Kościoła.

Katolicyzm ludowy i polityczny

Ogromne ryzyko związane z ofertą pozbawioną dokładnych parametrów, czyli posługując się słowami ks. Draguły – sprzedawaniem tego, czego i tak nie da się kupić – zostało moim zdaniem zauważone i odrzucone zarówno w masowym katolicyzmie ludowym, jak i w elitarnym, bliskim polityce katolicyzmie niektórych polskich biskupów i prawicowych publicystów. W „Kościele na rynku" widać ślady tego podwójnego odrzucenia.

W przypadkach nabożeństw pierwszych piątków, noszenia cudownych medalików i czci oddawanej obrazom Matki Boskiej i Jezusa, ks. Draguła przestrzega przed ich magicznym traktowaniem, gdzie określona czynność czy rytuał może przynieść z góry znany skutek. Chrześcijańska obietnica nie wiąże się automatycznie z wypełnieniem warunków do niej przypisanych. „Mówiąc marketingowo – dodaje autor książki – nie daje ona gwarancji uzyskania korzyści powiązanej z produktem".

Ks. Draguła pyta **o głębsze analogie – i nieprzekraczalne różnice – między Kościołem a rynkiem.** Czymś fundamentalnym jest na przykład obietnica składana klientom czy wyznawcom.

Tutaj właśnie pojawia się ryzyko zniechęcenia wiernych. „Wśród części wiernych istnieje duże zapotrzebowanie na praktyki tego typu, to znaczy praktyki dające pewność otrzymania łaski, wysłuchania modlitwy, skuteczności graniczącej z pewnością". Brak gwarancji utrudnia popularyzację tradycyjnej pobożności. Przeżywa ona wyraźny kryzys.

W katolicyzmie wiejskim tego rodzaju oczekiwania wiążą się zapewne w dużej mierze z pozostałościami obyczajów i zaklęć magicznych. W miastach większy wpływ ma mentalność klienta, który chce wiedzieć dokładnie, za co płaci.

Bardziej elitarny katolicyzm próbuje zrównoważyć brak kontroli nad naturą przez kontrolę nad kulturą przy pomocy praw i instytucji państwa. Jest to o tyle łatwiejsze, że obietnice wyborcze – podobnie jak teologiczne – pozbawione są ścisłych parametrów. Ani na „dobrą zmianę", ani na „walkę z cywilizacją śmierci" nie da się złożyć reklamacji.

Ks. Draguła zaznacza, że Kościół niekiedy spełnia funkcje polityczne, których – z jakichś powodów – nie może wypełnić państwo czy społeczeństwo, np. w czasie wojny czy utraty niepodległości. Nie tłumaczy to jednak „sojuszu tronu z ołtarzem" A.D. 2021.

Mitologia rynku

Wpływ „antropologii klienta" na oba wyżej opisane nurty katolicyzmu w Polsce, a także podjęta przez ks. Dragułę próba bardziej systematycznego opisu tej antropologii do całkiem niedawna miały sporo racji. Jeszcze pod koniec XX w. powiązania pomiędzy nauką, technologią, rynkiem, kredytem i dobrobytem wydawały się nierozerwalne. „Odczarowany" z religii świat stawał się coraz bogatszy, zdrowszy i bezpieczniejszy i miał się taki stawać w nieskończoność.

Ile zostało dzisiaj z tamtego optymizmu? Rówieśnicy rozgniewanej Grety Thunberg wytykają na każdym kroku, że rozliczając towary i usługi od dobrych kilkuset lat, „zapominamy" o kosztach niszczenia ekosystemów. Rozpad społeczeństw na posiadające coraz więcej aktywów elity i coraz uboższą większość wywołał w amerykańskiej „najlepszej demokracji świata" dwa powstania: lewicowe w Seattle i prawicowe w Waszyngtonie. Przeciwko odpowiedzialnym za kredyty i „zbyt ważnym, aby zbankrutować" bankierom wystąpiły ruch Occupy Wall Street, użytkownicy bitcoina i internetowi inwestorzy z WallStreetBets.

Najbardziej podstawowe dogmaty liberalnej ekonomii, o których ks. Draguła pisze z dużym zaufaniem – „niewidzialnej ręki rynku" i „racjonalnego konsumenta" – są po kryzysie finansowym 2008 r. ostro krytykowane w książkach Thomasa Piketty'ego, Josepha Stiglitza, Mariany Mazzucato. Podejrzliwość dociera bardzo głęboko: czy gdziekolwiek istnieje „wolny rynek" bez bezustannej interwencji państwa? Czy „produkt krajowy brutto" oddaje stan gospodarki? Czy „ceny" kiedykolwiek odzwierciedlały wartość towaru?

W momencie, gdy chrześcijaństwo próbuje uczyć się ekonomiczno-liberalnego słownika, ten ostatni wydaje się coraz mniej odzwierciedlać rzeczywistość. W ten sposób książka ks. Draguły godzi wierzących i klientów w niezamierzony sposób: tłumaczy świat z jednego, coraz trudniejszego do zrozumienia języka na drugi dogasający język.

© DARIUSZ KOT

Autor jest filologiem, w miesięczniku „Znak" publikował teksty o Jezusie historycznym. Interesuje się światopoglądami poreligijnymi. Prowadzi stronę www.worldviewresearch.org.

Ks. Andrzej Draguła, **KOŚCIÓŁ NA RYNKU. ESEJE PASTORALNE,** *Biblioteka WIĘZI, Warszawa 2020*

WOJCIECH

Bonowicz: *Targanie*

Czy zdarzyło się wam świadomie zniszczyć książkę? Mnie zdarzyło się tylko raz. Nie pamiętam jej tytułu. Ani autora czy autorki. Pamiętam jednak, że książka była tak zła, że z wściekłości potargałem ją i wrzuciłem do kosza. Miała twardą okładkę, ale nawet okładce dałem radę.

To się zdarzyło siedem, osiem, może dziesięć lat temu. A jednak nie potrafię sobie przypomnieć, jaka to książka wywołała tak skrajną reakcję. Nie było w tym nic politycznego, ideologicznego ani też chyba moralnego – była po prostu źle napisana. Wychodząc z domu, z półki w przedpokoju zgarnąłem pierwszy lepszy tytuł, ot taki, który mieścił się w kieszeni płaszcza, i w drodze na przystanek zacząłem czytać. Musiałem się nie spieszyć, skoro czytałem, idąc. Po kilku pierwszych stronach poczułem narastającą złość – książka oszukiwała. Udawała ambitną, wyrafinowaną literaturę, ale była napisana prostackim, nieudolnym językiem, a treść miała błahą. Nie inspirowała do myślenia, nie można się było przy niej rozerwać, było w niej coś ostentacyjnie złego, jakiś rodzaj bezczelności, która wzbudziła moją irytację. Nie wykluczam, że zanim wybuchnąłem, wcześniej miał miejsce ciąg przypadków, które stanowiły właściwe paliwo eksplozji, a książka była tylko iskrą, zapalnikiem. W każdym razie wybuch nastąpił – targałem tę książkę kartka po kartce i, doszedłszy na przystanek, upchnąłem ją w koszu na śmieci. Do dzisiaj mi wstyd.

Do dzisiaj mi wstyd, choć nikt prawdopodobnie nie zwrócił uwagi na to, co zrobiłem. A co właściwie zrobiłem? Mogłem przecież położyć tę książkę na ławce. Może ktoś inny, czekając na tramwaj, uznałby ją za interesującą? No cóż, chyba tego właśnie nie chciałem – uważałem, że książka jest tak niedobra, tak zakłamana w swojej formie (a może także w treści, głowy nie dam), że lepiej będzie, jeśli nie trafi w żadne kolejne ręce. Potargałem ją, choć było to sprzeczne z moim zasadniczo bałwochwalczym stosunkiem do książek. Raz jeden zdobyłem się na akt tak gwałtowny, obcy moim przekonaniom i przyzwyczajeniom – i nie wiem, dlaczego. To, co zrobiłem, uświadomiło mi jednak, jak łatwo przekracza się granice, o których myślało się, że nigdy się ich nie przekroczy. W sprawie błahej, choć tak naprawdę niebłahej przecież.

O tak, chciałem chronić ludzkość przed złem! Zła książka, myślałem, zła w tym sensie, w jakim zły bywa gust, pomysł lub wykonanie, nie powinna była zaistnieć. Jeśli jednak zaistniała, jeśli już się przydarzyła, to najlepiej będzie, gdy jak najszybciej zniknie. Była to oczywista bzdura, wyraz bezmyślności. Musiałbym zniszczyć wszystkie puszczone w obieg egzemplarze, a potem – konsekwentnie – zająć się innymi podobnymi tytułami. Do czego by to mogło doprowadzić? Może zresztą nie ludzkość chroniłem, ale konkretnego człowieka – nie chciałem odpowiadać za ten akurat egzemplarz, który wpadł mi w ręce i który z moich rąk powędrowałby dalej, wyrządzając krzywdę (tak o tym myślałem) komuś nieznanemu, ale przecież konkretnemu. No właśnie, jak to jest w takich sytuacjach – chodzi o pojedynczego, konkretnego człowieka czy o ludzkość całą?

Nie wiem, po co wam to piszę. Może jest w tym jakiś morał, a może nie. Nie należy niszczyć książek, a na pewno nie w ten sposób. Bywały przecież takie, które spakowane w paczki wynosiłem na makulaturę. Nie było ich wiele, ale bywały. Książka oddana na makulaturę to tak naprawdę książka oddana naturze, która włączy ją w swój kołowrót, posługując się przy tym przemysłem papierniczym. Oddawaniu książek na makulaturę nie towarzyszyły jakieś szczególne emocje, na ogół zresztą starałem się zostawiać zbywające książki w bibliotece czy w miejscach, w których można je wymieniać na inne. Złość targnęła mną tylko raz, a najbardziej zadziwiające jest to, że wyparłem z pamięci tytuł, który tę moją złość pobudził do niekontrolowanej reakcji.

Gdyby to był sen, wcale bym się nie zdziwił, gdybym to nie ja, ale ktoś inny z wściekłością potargał coś, co sam napisałem. ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TAJWAŃSKI BÓL GŁOWY

Niektórzy twierdzą, że jest to najbardziej zapalne dziś miejsce na świecie, które może stać się zarzewiem globalnego konfliktu.

PIOTR BERNARDYN Z TOKIO

Jeszcze kilka lat temu każde naruszenie strefy powietrznej Tajwanu przez chińską armię było nagłaśniane w światowych mediach. Teraz dzieje się to tak nagminnie – aż 380 razy w roku 2020 – że uwagę przykuwają tylko poważniejsze incydenty. Przykładowo 5 kwietnia siły chińskie dosłownie osaczyły wyspę: lotniskowiec „Liaoning" z towarzyszącą mu eskadrą okrętów prowadził „ćwiczenia" u jej pacyficznych wybrzeży, podczas gdy chińskie myśliwce testowały cierpliwość Tajwańczyków od strony kontynentu. Z kolei we wtorek 15 czerwca zespół 28 chińskich samolotów – w tym bombowce zdolne do przenoszenia bomb atomowych – naruszył tajwańską przestrzeń powietrzną. Była to zapewne „odpowiedź" Chin na komunikat Grupy G7, która kilka dni wcześniej przestrzegła przed zwiększaniem napięcia w Cieśninie Tajwańskiej.

Również nigdy wcześniej głosy wysokiej rangi oficerów armii USA nie brzmiały tak alarmistycznie. Poprzedni dowódca floty amerykańskiej w regionie Pacyfiku, Phil Davidson, ostrzega o możliwej inwazji Chin na Tajwan w ciągu najbliższych sześciu lat. Jego następca, John Aquilino, stwierdza jedynie enigmatycznie, że „jest to bliżej, niż wiele osób sądzi".

Trudno się dziwić tym głosom. Od kiedy w 2013 r. Xi Jinping został przewodniczącym Chińskiej Republiki Ludowej (to odpowiednik prezydenta), opcja militarnej inwazji na Tajwan na dobre zadomowiła się w głównym nurcie chińskiej debaty publicznej: sugerują to wprost wojskowi i państwowe media. Według sondaży publikowanych przez reżimową gazetę „Global Times" 70 proc. obywateli ChRL popiera użycie siły w celu przyłączenia Tajwanu, a 37 proc. sądzi, że najlepiej by było, gdyby odbyło się to w ciągu trzech-pięciu lat.

Tajwan wskazywany jest dziś coraz częściej jako najbardziej zapalne miejsce na świecie, które może stać się zarzewiem kolejnego globalnego konfliktu.

Dlaczego akurat ta niewielka wyspa, wielkości mniej więcej województwa mazowieckiego? I dlaczego właśnie teraz?

Konflikt na kilku piętrach

Bezpośrednim powodem militarnego wzmożenia Pekinu stała się prezydentura Tsai Ing-wen na Tajwanie.

Pełniąca tę funkcję od 2016 r., Tsai Ing-wen jest przeciwna zbliżeniu z ChRL, a wśród członków jej ugrupowania (Demokratycznej Partii Postępowej) są zwolennicy proklamowania niepodległego państwa tajwańskiego. Formalnie rzecz biorąc, od 1949 r. do dziś na Tajwanie mamy bowiem do czynienia z Republiką Chińską, a ściślej: z jej ostatnim skrawkiem, którego nie zajęli komuniści. Dziś ta Republika Chińska nie jest uznawana przez większość państw świata – choć równocześnie wiele z nich utrzymuje z Tajwanem relacje. Ale poniżej poziomu oficjalnego uznania, by nie drażnić Pekinu. Ten traktuje bowiem wyspę jako zbuntowaną prowincję, która musi wrócić do macierzy, choćby siłą.

Perspektywa proklamacji niepodległego Tajwanu rozjusza więc przywódców ChRL. A szczególnie zirytowała ich

BRENNAN O'CONNOR / ZUMA PRESS / FORUM

Nad brzegiem rzeki Danshui He (Tamsui River), w oddali wieżowce stołecznego miasta Tajpej. Tajwan, 3 maja 2020 r.

reelekcja Tsai Ing-wen na drugą kadencję w styczniu 2020 r. Wcześniej przez dłuższy czas sondaże wieściły jej klęskę – i dopiero demokratyczne protesty w Hongkongu, tłumione brutalnie przez policję, a także ograniczanie autonomii tej dawnej kolonii brytyjskiej przez Pekin, odwróciły losy kampanii. Hasło „Dziś Hongkong, jutro Tajwan" przekonało większość mieszkańców wyspy, aby odwrócili się od kandydata ugodowego wobec ChRL i oddali głos na dotychczasową prezydent.

W istocie jednak przyczyny dzisiejszego konfliktu wokół Tajwanu tkwią znacznie głębiej. Prężenie muskułów przez armię ChRL to wyraz rosnącego poczucia mocarstwowej potęgi Pekinu. Ale dzieje się tak również dlatego, że Pekin widzi, iż praktykowanie demokracji i coraz silniejsze poczucie odrębnej tożsamości na Tajwanie oddalają mentalnie mieszkańców wyspy od Chin kontynentalnych.

Prezydentura Tsai Ing-wen stanowi więc jakby emanację tych rozłożonych w czasie procesów, a Pekin próbuje się im na swój sposób przeciwstawiać. Piętro wyżej rozgrywa się zaś globalny konflikt chińsko-amerykański, który pchnął Tajwan na linię frontu. Tutaj stawką jest wyznaczenie stref wpływów obu mocarstw, a w przypadku Tajwańczyków ↦

↦ także możliwość zachowania bądź utraty ich obywatelskich wolności.

Mit założycielski

Opowieść o demokratycznym Tajwanie zaczyna się 28 lutego 1947 r.

Po tym, jak z końcem II wojny światowej opuścili ją Japończycy, wyspa przechodzi pod kontrolę Kuomintangu (KMT), czyli chińskich nacjonalistów dowodzonych przez Czang Kaj-szeka, który pochłonięty jest bratobójczą walką z komunistami na kontynencie.

27 lutego 1947 r. kobieta handlująca papierosami zostaje pobita na śmierć przez agentów urzędu monopolowego, a faktycznie gangsterów na usługach władz. W jej obronie stają zwykli ludzie. Agenci otwierają ogień, ginie kolejna osoba.

Nazajutrz wybucha powszechna rebelia. Ludność przejmuje urzędy i radiostacje w różnych miejscach wyspy. Podczas protestów są kolejne ofiary. Zarządzający Tajwanem Czen Yi spotyka się z miejscowymi elitami i prosi je o przywrócenie spokoju, w zamian obiecując wolnościowe reformy. Wkrótce z kontynentu nadciągają jednak posiłki wojskowe Kuomintangu, które przystępują do systematycznych i brutalnych represji wobec mieszkańców wyspy. Zaczyna się okres, który potem zostanie nazwany „białym terrorem". Pociągnie za sobą tysiące ofiar, w tym większość elit. Stan wojenny potrwa na Tajwanie 38 lat, a pierwsze demokratyczne wybory prezydenckie odbędą się dopiero w 1996 r.

Dziś o białym terrorze kręci się filmy i pisze książki. W centrum Tajpej, stolicy wyspy, utworzono park dedykowany jego ofiarom. Jest tam również hala pamięci, gdzie wśród zgromadzonych eksponatów można obejrzeć zakrwawione ubrania, okulary i osobiste notatki represjonowanych. Pamięć o „2/28" (w skrócie: 28 lutego) to dziś rdzeń tożsamości demokratycznego Tajwanu, jego mit założycielski. Symbolizuje martyrologię mieszkańców wyspy i ich drogę do wolności.

Tuż obok parku jest kościół prezbiteriański Chi-an, ważny punkt oporu w czasach dyktatury. Dziś zbiera się tam pieniądze dla dysydentów z Hongkongu.

Okrzepła tymczasowość

Kim są ludzie zamieszkujący Tajwan?

Ponad 80 proc. z 23-milionowej dziś populacji przypada na potomków chińskiej imigracji z wieków XVII i XVIII, którzy dzielą się językowo na dwie grupy: Hoklo i Hakka. To ich określa się potocznie Tajwańczykami albo ludnością tubylczą. Niemniej na wyspie żyje też pół miliona autochtonów o całkiem innych niż chińskie korzeniach etnicznych. Z kolei w 1949 r., po klęsce w wojnie z komunistami, osiedlają się tu ludzie Kuomintangu wraz z rodzinami. Dziś ich potomkowie liczą milion, może dwa miliony; mówią po mandaryńsku (tak jak większość ludzi w Chinach kontynentalnych).

Biały terror dotknął głównie tubylczą ludność chińską, autochtoni zaś byli dyskryminowani przez obie grupy. Na afirmację swojej unikalnej kultury musieli poczekać do liberalizacji systemu, gdy oficjalnie uznano ich wkład w budowanie tożsamości wyspy.

Czang Kaj-szek głosił przez lata, że na Tajwanie znalazł się tymczasowo i prędzej czy później wróci na kontynent, by przegnać komunistycznych uzurpatorów. W międzyczasie zdominował jednak wyspę, tworząc wokół siebie kult jednostki. Wódz wyzierał z banknotów, wszechobecnych malowideł i pomników. Propagandę czerpano z leninowskich wzorców, wedle których KMT został uformowany.

Status Czanga jako prawowitego przywódcy Chin miał zresztą długo wymiar formalny, bo to z Republiką Chińską na Tajwanie, a nie z Pekinem większość krajów świata utrzymywała stosunki dyplomatyczne. Zaczęło się to zmieniać dopiero w latach 70. XX w. Symbolicznie ciągłość reżimu z rodzimą tradycją zapewniały bogate zbiory chińskiej sztuki, przywiezione przez Kuomintang, a dziś zdobiące Narodowe Muzeum Pałacowe w Tajpej.

Pozornie z jednego pnia

Z biegiem lat wizja odbicia Chin z rąk komunistów przez mały Tajwan stawała się coraz bardziej absurdalna – choć jeszcze w latach 80. do budynku parlamentu wwożono na wózkach inwalidzkich sędziwych polityków reprezentujących okręgi wyborcze z kontynentu. Niemniej oficjalne mapy wciąż pokazywały jedyne prawdziwe Chiny nacjonalistów, których praprzodkiem miał być Huang Di, „żółty cesarz" – legendarny protoplasta wszystkich Chińczyków, panujący w III tysiącleciu p.n.e. W swej ideologii Czang Kaj-szek (panujący aż do swej śmierci w 1975 r.) przypominał więc nieco Xi Jinpinga: obaj twierdzą, że cała ludność na terenach uzurpowanych przez Chiny wywodzi się z jednego pnia.

Oficjalnie Tajwańczycy również stanowili zatem część chińskiej rodziny. Znajdowało to wyraz w patriotycznej edukacji i obowiązku nauki mandaryńskiego. Faktycznie jednak podziały na wyspie były bardzo ostre. Status elit przynależał do ludzi Kuomintangu – oni rządzili, dowodzili armią, panoszyli się w administracji, mediach i na uczelniach. Również cechy fizyczne miały subtelnie podkreślać ich wyjątkowość – wyższy wzrost i jaśniejsza karnacja niż u wcześniejszych imigrantów z Chin. Skorumpowany Kuomintang uchodził przez lata za najbogatszą

EDWARD AUGUSTYN / TP-ONLINE

LIN YEN TING / ZUMA PRESS / FORUM

Amerykański transportowiec wylądował w Tajpej z pierwszym ładunkiem szczepionek na covid, które USA przekazały Tajwanowi. Wyspa ma problem z dostępem do szczepionek z powodu postawy Chin, które zablokowały umowę Tajpej z konsorcjum BioNTech/Pfizer, żądając, aby firma traktowała Tajwan jak część Chin. Prócz Stanów wyspie pomaga też Japonia. 6 czerwca 2021 r.

partię na świecie. Jednak biznes stanowił domenę miejscowych, dla których był to często jedyny obszar samorealizacji.

Tubylcy mieli zresztą podstawy, by afirmować swoją odrębność wobec ludzi Kuomintangu. Ich wyspa była wcześniej pod panowaniem Holandii, Hiszpanii, a przede wszystkim Japonii (w latach 1895–1945), która z Tajwanu chciała uczynić wzorową kolonię.

Teoretycznie, ze względów etnicznych i kulturowych, Kuomintang powinien być bliższy Tajwańczykom niż Japończycy. Tymczasem porządki nowych panów wywołały nostalgię za poprzednimi. Biały terror zrobił swoje, ale było tu coś więcej. Japończycy również rządzili na wyspie twardą ręką, czasem brutalnie, lecz dokonali też modernizacji, umieli dbać o porządek i czystość, słowem – mogli imponować. Porównania stawały się więc nieuniknione. Nowa elita budziła szacunek wyłącznie siłą, raził u niej brak manier, higieny i korupcja, którą ze sobą sprowadzili. Utrwali się też przekonanie o fałszywej naturze przybyszów. Najbardziej nieprzejednani z tubylców będą utrzymywać, że Kuomintang trwale skaził duszę Tajwanu.

Od dyktatury do demokracji

W jakim stopniu porównania te miały odbicie w rzeczywistości, a w jakim stanowiły formę psychologicznej obrony wobec nowego zniewolenia? Trudno to do końca rozważyć. Odrębne losy z pewnością wpłynęły na tożsamość mieszkańców wyspy, stanowiąc jednocześnie narzędzie jej świadomego kształtowania. Tak czy inaczej, spośród wszystkich swoich imperialnych podbojów to właśnie na Tajwanie Japończycy spotykają się dziś z największą sympatią.

Tymczasem mijały kolejne dekady. Wprawdzie podczas 40 lat dyktatury temat „2/28" nie istniał w oficjalnym przekazie, ale Tajwan odniósł w tym czasie gospodarczy sukces, a granice między Tajwańczykami a nową chińską imigracją stawały się z czasem mniej ostre. Niektórzy tubylcy zaczęli nawet wstępować do partii rządzącej.

Mogłoby się wydawać, że sinizacja Tajwanu wedle projektu Kuomintangu się powiedzie. Jednak wolnościowe protesty z końca lat 70., a potem demokratyzacja ukazały kruchość tej indoktrynacji. Dopuszczeni raz do głosu, Tajwańczycy wzięli się za urządzanie wyspy po swojemu. Powrócili do swojej historii, dotąd zakazanej, przystąpili do rozliczania dyktatury i podjęli debatę nad własną tożsamością. Tajwan wywracał do góry nogami narrację, że ludzi z chińskiego kręgu cywilizacyjnego nie interesuje zachodni model demokracji albo że nie potrafią go utrzymać.

Również w tym sensie ta niewielka wyspa stanowi ciągłe wyzwanie i powód irytacji dla komunistycznych Chin.

Rosnące poczucie odrębności

Niedawno władze Tajwanu pokazały okładkę nowego paszportu. W górnej części dokumentu, dookoła godła, zapisano malutką czcionką pełną nazwę wyspy („Republika Chińska"). Na dole, już wielkimi literami, wybity jest napis: „Paszport Tajwanu".

Tak chce postrzegać siebie większość mieszkańców. Według sondaży nawet 80 proc. uważa się dziś za Tajwańczyków, reszta łączy tajwańskość z chińskością, a mniej niż jeden procent czuje się wyłącznie Chińczykami. Badania wskazują, że udział tajwańskiej tożsamości stale rośnie, zwłaszcza u młodych. O ile w ostatnich wyborach Tsai Ing-wen uzyskała ogółem 57 proc. głosów, o tyle wśród osób poniżej 40. roku życia wynik ten przekroczył 70 proc. Pekin ma zatem kolejny powód do niepokoju.

Tsai Ing-wen stoi na czele Demokratycznej Partii Postępowej. Wraz z nastaniem demokracji wybory na Tajwanie zaczęła wygrywać właśnie ta formacja, reprezentująca tubylców. Owszem, Kuomintang wciąż się liczy. Co ciekawe, w międzyczasie zmienił on jednak swój stosunek do ChRL – w niepamięć odeszły hasła o „komunistycznych bandytach", za to pojawiła się chęć zbliżenia, zwłaszcza gospodarczego, i podkreślanie wspólnoty korzeni.

Formalnie obie partie są za utrzymaniem *status quo* wobec Pekinu, czyli pełnej suwerenności wyspy bez ogłaszania jej niepodległości (podobnie uważa większość społeczeństwa). Między nimi panuje jednak wzajemna podejrzliwość: jedni zarzucają drugim albo parcie do zjednoczenia z Chinami, albo chęć powołania tajwańskiego państwa.

„Ruch słoneczników", czyli nowa tożsamość

Właśnie, Kuomintang – mogłoby się wydawać, że ugrupowanie, które wyrasta z dyktatury i ma krew na rękach, będzie w demokracji bez szans. Wciąż jednak dysponuje ono pokaźnymi zasobami: pieniędzmi, wpływami, doświadczeniem politycznym i historią gospodarczych sukcesów. Kilka razy udało się więc Kuomintangowi przekonać do siebie większość społeczeństwa, zwłaszcza gdy druga strona popełniała ewidentne błędy. Efektem rządów KMT było jednak zawsze umocnienie się na wyspie tajwańskiej tożsamości.

W 2008 r. prezydentem zostaje Ma Ying-jeou, typowy reprezentant elit Kuomintangu. Pekin nie kryje radości i zachęca do współpracy. Tajwańskie firmy inwestują więc w Chinach, dziś łącznie na 200 mld ↦

LIN YEN TING / ZUMA PRESS / FORUM

Ponad 70 proc. Tajwańczyków w przedziale wiekowym 20-39 lat deklaruje gotowość do walki z ewentualną chińską inwazją. Na zdjęciu: tajwańska korweta rakietowa klasy Tuo Chiang w stoczni w Suao, grudzień 2020 r. Takie korwety, o specjalnej konstrukcji utrudniającej wykrycie radarem, są przeznaczone do zwalczania wrogich okrętów.

↦ dolarów. Młodzież z wyspy jeździ studiować na kontynent, a profesjonaliści otrzymują tam korzystne oferty pracy (słychać nawet głosy o celowym drenażu mózgów). Równocześnie turyści z Chin coraz chętniej odwiedzają Tajwan. Perspektywa (dla wielu: groźba) stopniowej unifikacji poprzez uzależnienie gospodarcze wyspy od Pekinu nabiera realnych kształtów.

Jednak flirt, który prezydent Ma Ying-jeou prowadzi z Pekinem, idzie za daleko. Próba przeforsowania chińsko-tajwańskiej umowy handlowej bez konsultacji parlamentarnych i społecznych kończy się w 2014 r. „ruchem słoneczników", czyli wielodniową okupacją parlamentu i demonstracjami na ulicach.

Prym w protestach wiodą młodzi ludzie. Dotąd tajwańską tożsamość określać miała głównie odrębność historyczna i kulturowa, teraz afirmuje się demokrację, prawa człowieka, liberalizm i ekologię. Na fali protestów rośnie popularność Tsai Ing-wen, która w 2016 r. wygrywa swą pierwszą kadencję prezydencką. Pragnie ona uczynić z Tajwanu „najbardziej progresywne miejsce w Azji", czego dowodem okaże się legalizacja małżeństw homoseksualnych i plany zniesienia kary śmierci. Jednocześnie Tsai Ing-wen mówi, że Tajwan jest „funkcjonalnie suwerennym" miejscem.

Z wyniku tych wyborów Pekin nie jest już zadowolony. Bojkotuje nową prezydent, eskaluje groźby, próbuje ingerować w debatę publiczną na wyspie przez wykupione media bądź fake newsy.

Moment graniczny

Kiedy wydawało się już, że schyłek Kuomintangu jest nieunikniony, na scenę polityczną wstępuje niejaki Han Kuo-yu. Nadaje on populistyczną twarz formacji, która przez lata uchodziła za elitarną.

Han głosi, że syty *establishment* demokratycznego Tajwanu odwrócił się od zwykłego człowieka: „Elity spijają krew Tajwańczyków". Ma rację w tym sensie, że zarobki od lat stoją w miejscu, a gospodarczo Tajwan wyraźnie zaczął tracić dystans do pozostałych azjatyckich „tygrysów". Ludzie z nostalgią wspominają okres szybkiego rozwoju z czasów, gdy rządził KMT. Han to wykorzystuje, odwołując się równocześnie do konserwatywnego elektoratu, niechętnego progresywnej agendzie prezydent Tsai. Chce pomagać zwykłym ludziom, obiecuje kontrakty biznesowe z Chinami, przemilczając kwestie polityczne. Jesienią 2018 r. prowadzi swoją partię do lokalnych sukcesów wyborczych, a osobiście dokonuje rzeczy niezwykłej – zostaje burmistrzem miasta Kaoshiung, kolebki ruchu demokratycznego.

Ale gwiazda Hana szybko gaśnie. Zaniedbuje swoje obowiązki, na jaw wychodzi też, że ukrył pokaźny majątek, co nie przystaje trybunowi ludowemu. W bezprecedensowym referendum mieszkańcy Kaoshiung pozbawiają go funkcji.

To on będzie rywalizować z Tsai o prezydenturę, gdy Hongkongiem wstrząsają protesty. Emocje na Tajwanie sięgały wtedy tak wysoko, że Han, który wcześniej wymieniał kurtuazje z administracją Hongkongu, teraz kategorycznie („Po moim trupie!") odrzuca formułę „jeden kraj, dwa systemy" jako model dla Tajwanu. Mniej istotne, czy naprawdę tak sądził – musiał odnieść się jednak do nastrojów społecznych.

W momentach granicznych priorytety sortują się instynktownie. Na Tajwanie poczucie bezpieczeństwa i tożsamość wzięły górę nad korzyściami, które mogła przynieść większa współpraca gospodarcza z Chinami.

Coraz dalej od Pekinu

Po klęsce wyborczej w styczniu 2020 r. i odejściu Hana Kuomintang musi na nowo zdefiniować swoje miejsce w polityce Tajwanu.

Godne odnotowania są zatem słowa nowego szefa tej partii Johnny'ego Chianga, że „Chiny stanowią zagrożenie dla Tajwanu". Banał, ale nie ze strony polityka, który dotąd ganił innych za rzekomą antychińską fobię. Z kolei patron ugrupowania, były prezydent Ma Ying-jeou, stwierdza – po kolejnych ograniczeniach wolności w Hongkongu – że format „jeden kraj, dwa systemy" przestał tam istnieć, i że jest to „godne pożałowania". Czyżby Chiny Xi Jinpinga traciły na wyspie jedyną siłę, która nie była im wroga?

Strach przed autorytarnym sąsiadem robi swoje, ale ten nowy ton w wypowiedziach polityków Kuomintangu jest także naturalnym rezultatem zmian w tajwańskim społeczeństwie. Dzieci na wyspie uczą się dziś historii Tajwanu w ramach osobnego przedmiotu, gdzie kultura Chin kontynentalnych stanowi tylko element wielowątkowej mozaiki. Praktykowanie demokracji również przekłada się na obyczaje. Internet obiegło niedawno zdjęcie prezydent Tsai, która w ramach kampanii odchudzania osobiście każe wchodzić na wagę swoim męskim współpracownikom.

Taki luz trudno wyobrazić sobie w Pekinie, nie mówiąc już o rozliczeniach z autorytarną przeszłością. W czasie pierwszej kadencji Tsai zrehabilitowano wiele osób skazanych niesłusznie podczas dyktatury, usunięto większość

rzeźb Czang Kaj-szeka i innych reliktów minionej epoki, ukrócono przywileje emerytalne dla rodzin członków Kuomintangu.

Tajwan podąża zatem własną drogą. Według sondaży 70 proc. jego mieszkańców nie chciałoby zjednoczenia z Chinami, nawet gdyby osiągnęły one „ten sam poziom rozwoju gospodarczego i politycznego". Wśród młodych ten odsetek jest jeszcze wyższy.

Wizja wojny

Sukces wyborczy obecnej prezydent ma też współautora. Jej wyniki sondażowe rosły, gdy tylko Xi Jinping poruszał temat Tajwanu. A czynił to często. Raz orzekł, że wyspa „musi być i zostanie zjednoczona z Chinami", bo tak nakazuje logika dziejów. To znów uznał pełną unifikację wyspy za „szeroko pojęty narodowy interes, będący przedmiotem aspiracji wszystkich Chińczyków". Jeszcze niedawno Pekin mówił o „powrocie" Tajwanu do ojczyzny przed rokiem 2049, gdy Chińska Republika Ludowa będzie obchodzić setne urodziny. Wtedy ma przypaść zwieńczenie procesu „chińskiego odrodzenia" – kraj powinien być w komplecie.

Sytuacja wewnętrzna na wyspie i rosnący nacjonalizm Chin pod rządami Xi Jinpinga sprawiają jednak, że rozstrzygnięcie – w jedną lub drugą stronę – może nastąpić szybciej.

Próby rzucenia Tajwanu na kolana – gdyby Pekin zdecydował się na taki scenariusz – mogą obejmować szantaż ekonomiczny, w tym embargo handlowe, cyberataki albo przecięcie kabli komunikacyjnych biegnących dnem morskim. Niemniej decydujące pytanie pozostaje ciągle to samo: czy i do jakiego stopnia Stany Zjednoczone zdecydują się wesprzeć wyspę podczas zbrojnej chińskiej inwazji? Dotąd stanowisko Waszyngtonu opierało się na „strategii dwuznaczności". Czyli: nie potwierdzam, nie zaprzeczam.

Pytanie kolejne dotyczy rozkładu szans w starciu mocarstw o Tajwan. Symulacje wojenne prowadzone przez Pentagon wskazują porażkę Amerykanów. Co prawda dysponują oni wciąż większym budżetem wojskowym i nowocześniejszym uzbrojeniem, ale Chiny szybko nadrabiają dystans i – co istotniejsze – miałyby przewagę geograficzną. Bliskość chińskiego kontynentu zapewnia nieograniczone posiłki żołnierzy i sprzętu, jak też logistykę szpitalną. Stany zdane byłyby zaś na regionalnych sojuszników, którzy niekoniecznie wykażą zainteresowanie wojną z Pekinem, zwłaszcza o Tajwan. Zagadką pozostaje też reakcja opinii publicznej w USA, gdyby żołnierze amerykańscy zaczęli ginąć w azjatyckiej wojnie.

Nie wszystkie prognozy są tak pesymistyczne. James Stavridis, admirał w stanie spoczynku i autor bestsellerów z dziedziny militarystyki, twierdzi, że jeszcze przez dekadę USA powinny być górą w wojnie o Tajwan. Dalszych gwarancji już nie daje. Tak czy inaczej, warto pamiętać, że sukces USA miałby tu zawsze tymczasowy charakter. Za lat dziesięć czy pięćdziesiąt Pekin nie przestanie bowiem domagać się „powrotu" Tajwanu. Aby tak się stało, najpierw musiałaby upaść chińska dyktatura.

Taktyka zniechęcania

Na tym ból głowy Waszyngtonu się nie kończy.

Odpuszczenie obrony wyspy – zakładając na chwilę taki scenariusz – miałoby bowiem dla Stanów więcej niż wymiar tylko moralny. Jeśli „strategia dwuznaczności" miałaby sprowadzić się wyłącznie do sankcji lub potępienia Chin za inwazję, to autorytet USA na Dalekim Wschodzie jako gwaranta bezpieczeństwa ucierpiałby może nieodwracalnie. Słabsze kraje zostałyby zmuszone do uznania hegemonii Państwa Środka, a inne, np. Japonia, przystąpiłyby prawdopodobnie do nuklearnego wyścigu zbrojeń, aby samodzielnie zapewnić sobie bezpieczeństwo. Po przejęciu Tajwanu łatwiej byłoby też Pekinowi zwiększać wpływy na Pacyfiku, co ponownie oznaczałoby kolizję z USA oraz z innymi państwami regionu.

Unikając zatem jednoznacznych deklaracji, Waszyngton stawia dziś w pierwszej kolejności na zniechęcanie Chin do inwazji, podnosząc możliwie wysoko jej koszty. Temu ma służyć rekordowe dozbrajanie Tajwanu, próba wciągnięcia Australii i Japonii, a może również Indii do koalicji w obronie wyspy, jak też ożywione kontakty dyplomatyczne na linii Waszyngton–Tajpej. Pekin pamięta, że po swoim zwycięstwie wyborczym Donald Trump odebrał telefon z gratulacjami od prezydent Tsai, jak i to, że na inaugurację Joego Bidena zaproszono Hsiao Bi-khim, najwyższą rangą przedstawicielkę Tajwanu w USA.

Oczywiście wszystkie wymienione spekulacje tracą rację bytu z chwilą rozszerzenia konfliktu o terytoria innych krajów, w tym Chin i USA, oraz użycia broni atomowej. Oznaczałoby to trzecią wojnę światową i nieobliczalne konsekwencje dla całej ludzkości.

Zwarcie mocarstw o wyspę ma też wymiar gospodarczy. Produkuje się tam dziś najbardziej zaawansowane półprzewodniki na świecie, komponent nieodzowny w elektronice oraz w takich dziedzinach przyszłości jak sztuczna inteligencja. Z tajwańskiej technologii korzystają dziś obie strony konfliktu. Po jej przechwyceniu Chiny zyskałyby cenną przewagę w rozwoju, także uzbrojenia. Porównania z zajęciem w latach 1938-39 czeskich fabryk broni przez Hitlera, co przyspieszyło wybuch II wojny światowej, nie są bezpodstawne.

Jesteśmy w domu

A co na to wszystko Tajwańczycy?

Ponad 70 proc. z tych, którzy są w „mobilizacyjnym" przedziale wiekowym 20-39 lat, deklaruje gotowość do walki z chińską inwazją. Trudno o lepszy dowód identyfikacji z Tajwanem – czy też może prościej: tajwańskiego patriotyzmu. Chiny znowu mają więc powód do irytacji – ani kij, ani marchewka zdają się już nie działać na Tajwańczyków.

„Wracajcie do domu" – takimi słowami, w ciepłym tonie, zwróciła się do nich Hai Xia, prowadząca główne wydanie chińskich wiadomości telewizyjnych. Był koniec roku 2019 i Pekin, porzucając na chwilę groźby, zaoferował Tajwanowi szeroką współpracę na korzystnych warunkach.

Odpowiedziała Hung Tzu-yung, parlamentarzystka z młodego pokolenia: „Dziękujemy za waszą troskę. My, Tajwańczycy, już jesteśmy w domu".

Kilka tygodni później poszli zagłosować w wyborach prezydenckich.

© PIOTR BERNARDYN

Autor specjalizuje się w tematyce Azji Południowo-Wschodniej, mieszka w Japonii. Stale współpracuje z „Tygodnikiem". W 2014 r. ukazała się jego książka „Słońce jeszcze nie wzeszło. Tsunami. Fukushima". Obecnie pracuje nad książką o Chinach i Hongkongu.

Dziś front przebiega 60 kilometrów od Słowiańska. Większość budynków zniszczonych w 2014 r. odbudowano, czasem jeszcze można natknąć się na ruiny. Czerwiec 2021 r.

Sąsiadki z Donbasu

TEKST I ZDJĘCIA: PAWEŁ PIENIĄŻEK
ZE SŁOWIAŃSKA
(WSCHODNIA UKRAINA)

Pamięć o tym, co działo się tu siedem lat temu, jest żywa w Słowiańsku. Mimo trwających wciąż różnic zdań mieszkańcy uczą się żyć ze sobą. Przynajmniej niektórzy.

Banderowcy przyszli i narzucają nam swoje poglądy na życie. Przysięgam, że tutaj 80 procent prostych ludzi chce, żeby zniknęli – mówi Anna Aleksiejewna.

– Anno Aleksiejewna... – próbuje przerwać Olha, jej sąsiadka.

– Ludzie jadą trolejbusem i tak gadają – ucina Anna Aleksiejewna i od razu dodaje: – Ale pani przecież nie jeździ trolejbusem.

– Ja nie jeżdżę?

– To posłuchaj, co tam mówią ludzie.

– Słyszę, że jeździ nim pełno separatystów.

– A ja jestem separatystką?

– Tak.

Anna Aleksiejewna jest matką jednej z czołowych postaci rosyjskiego ruchu separatystycznego na Donbasie. Olha to ukraińska aktywistka, która siedem lat temu musiała uciekać z domu, być może ratując życie.

Między kwietniem a lipcem 2014 r. oczy świata były często zwrócone na 110-tysięczny Słowiańsk w obwodzie donieckim. To było pierwsze miasto, zajęte przez separatystów i wspierające ich rosyjskie siły specjalne, a także ich główna siedziba. W lipcu Słowiańsk odbiło ukraińskie wojsko. Dziś znajduje się po ukraińskiej stronie frontu.

Miasto stało się jednym z symboli trwającej od siedmiu lat wojny w Donbasie, w której po jednej stronie jest Ukraina, a po drugiej separatyści i Rosja, wspierająca i kontrolująca parapaństwa: „Doniecką Republikę Ludową" i „Ługańską Republikę Ludową". W rezultacie tej wojny tylko po stronie ukraińskiej życie straciło kilkanaście tysięcy ludzi (podawane są tu różne liczby, zależnie także od tego, czy wliczać np. straty niebojowe, jak samobójstwa wśród żołnierzy). Strona rosyjsko-separatystyczna nie informuje o swoich ofiarach.

Anna Aleksiejewna i Olha mieszkają w sąsiednich klatkach tego samego bloku. Zaprzyjaźniły się dopiero po dramatycznych wydarzeniach z 2014 r. Choć przecież dzieli je chyba wszystko. Do tej pory Anna Aleksiejewna pozostaje niewzruszona na argumenty przytaczane przez Olhę, podobnie jak Olha na to, co mówi Anna Aleksiejewna. Jednak obie zgodnie przyznają, że najgorsze byłoby milczenie. Dopóki trwa rozmowa, nawet pełna kłótni, jest miejsce na to, aby żyć razem.

Czas sowieckiej stabilności

Mieszkanie Anny Aleksiejewny jest przestronne i zadbane, choć meble mają już za sobą czasy świetności. Na ścianach ikony, na regałach zdjęcia męża (nieżyjącego), syna (musiał wyjechać do Rosji) i wnuka (mieszka na terenach poza kontrolą Ukrainy). Anna Aleksiejewna została sama.

Dziś stara i schorowana, w Słowiańsku mieszka od urodzenia. Wspomina II wojnę światową, gdy miasto było okupowane: głód, trudy okupacyjnej codzienności i jeńca, który musiał spać z rodziną Anny Aleksiejewny w kuchni, bo pokój zajęli naziści. – Widziałam cały ten koszmar – mówi.

Jej ojciec nie wrócił z wojny. Anna Aleksiejewna od najmłodszych lat musiała ciężko pracować, by wesprzeć harujące matkę i siostrę. Po podstawówce nie mogła pozwolić sobie na dalszą edukację w pełnym wymiarze, skończyła technikum wieczorowe. Po dwudziestce wyszła za mąż, urodził się Dima. Szybko została wdową: mąż zginął w wypadku, w pracy.

– Choć go straciłam, to właśnie tamten okres mojego życia wspominam najlepiej

Po 2014 r. w mieście powstało wiele organizacji społecznych i kulturalnych, to one organizują festiwal żywej muzyki, który co roku odbywa się w Słowiańsku. Czerwiec 2021 r.

– mówi dziś. Cieszyła się spokojem i stabilizacją, które, jak mówi, doceniała, mając w pamięci II wojnę światową i trudny czas odbudowy. – Co roku mogliśmy pozwolić sobie na wakacje nad morzem. Dima był dobrze ubrany. Nie żyliśmy biednie – twierdzi.

Ciężko pracowała w fabryce, a że nie mogła liczyć na wsparcie rodziny, oglądała każdy grosz. Ponieważ pracowała w warunkach zagrażających zdrowiu, w wieku 45 lat mogła przejść na emeryturę. Nigdy jednak nie odpoczęła. Ciągle gdzieś dorabiała, aż do 2014 r.

W międzyczasie syn dorósł, ożenił się, a ona doczekała się wnuka. Otrzymała mieszkanie na własność, kupiła daczę. Po latach samotności znów wzięła ślub i przez ćwierć wieku żyła razem z drugim mężem, dopóki nie dopadła go choroba; to było już po roku 2014.

Z Banderą w Donbasie

Olha jest młodsza od Anny Aleksiejewny o dwie dekady. Urodziła się w obwodzie donieckim, w Słowiańsku mieszka od wielu lat. Jej mąż był biznesmenem i dobrze się im powodziło, mogli sobie pozwolić na wyjazdy za granicę.

Jak cała jej rodzina, Olha jest dziś zadeklarowaną ukraińską patriotką, choć wcześniej przez większość życia polityka w ogóle jej nie zajmowała. Jakoś tak się złożyło, że niedługo przed pierwszym Majdanem, z lat 2004-05 (zwanym pomarańczową rewolucją), zaczęła rozmawiać z mężem o bieżących sprawach. – On sprowadził mnie na właściwy tor – śmieje się dziś.

Zajęła się aktywnością społeczną. Podczas pierwszego Majdanu popierała Wiktora Juszczenkę, który w wyborach prezydenckich konkurował z Wiktorem Janukowyczem. Trudno posądzać ją o koniunkturalizm – tych, którzy w Słowiańsku nie popieraliby wtedy publicznie Janukowycza, pochodzącego z Doniecka, była wówczas garstka. Bywało, że jej nazwisko wypisywano na murach, w towarzystwie wyzwisk.

W kolejnych latach wraz z nieliczną wciąż grupą mieszkańców organizowała spotkania, protesty czy dni upamiętnienia takich postaci z ukraińskiej historii, jak wieszcz narodowy Taras Szewczenko czy nawet Stepan Bandera, przywódca Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów. Słowiańsk jednak żył jakby obok, w spokoju i monotonii.

Gdy pod koniec 2013 r. w Kijowie wybuchły protesty przeciw Janukowyczowi (w międzyczasie Juszczenko zakończył kadencję, a wybory w 2010 r. wygrał właśnie Janukowycz), Olha od razu je poparła. Nawet wybrała się do stolicy, na Majdan. W lutym 2014 r. protesty przerodziły się w rewolucję, nazwaną rewolucją godności.

Anna Aleksiejewna patrzyła na to wszystko ze zgrozą. Była zadowolona z rządów Janukowycza i nie rozumiała, o co cały ten raban. Mówi, że przerażała ją ukraińska skrajna prawica, która wywoływała w niej wspomnienia z dzieciństwa.

Krzyżyk dla syna

Gdy pod koniec lutego 2014 r. Janukowycz uciekł (ostatecznie do Rosji), a w Kijowie zapanowała chwilowa euforia, Olha widziała już, że w Słowiańsku coś dzieje się nie tak. Coraz częściej dochodziło do prorosyjskich protestów. Uwagę Olhi zwróciło to, że ukraińskie flagi znikały z budynków publicznych. Ale nie spodziewała się, że może tu przyjść wojna.

Gdy Dima wraz z innymi szedł zajmować budynek milicji, Anna Aleksiejewna zwróciła się do niego: – Synku, czy twoja sprawa jest słuszna?

Odpowiedział, że tak. Wówczas zdjęła z szyi łańcuszek z krzyżykiem i oddała Dimie. Najpierw komenda milicji, potem budynek lokalnej delegatury Służby Bezpieczeństwa, a wreszcie całe miasto wpadło w ręce ludzi, którzy ogłosili, że są „donieckim pospolitym ruszeniem".

Wtedy, już po dwóch tygodniach, Olha wraz z mężem musiała uciekać z miasta, bo, jak mówi, czatowali na nich bojownicy. Wrócili w lipcu, gdy miasto opanowała ukraińska armia.

Przez długi czas Olha nie wiedziała, że przez tych parę miesięcy jej mieszkanie zajmował Dima, częściowo winny ich biedy. Ani że Anna Aleksiejewna jest jego matką.

Jej sąsiadka pamięta te wydarzenia zupełnie inaczej.

Okupacja, ale czyja?

– Anno Aleksiejewna, a kto zajmował naszą milicję? – pyta Olha.

– To byli nasi!

– Ja panią błagam...

– To byli miejscowi, przysięgam, nasi!

– A skąd wzięli granatniki, skąd karabiny brali?

– Z komisariatu wojskowego [odpowiednik komendy uzupełnień – red.] wzięli je miejscowi i Kozacy. Nie było tu Rosjan! – Anna Aleksiejewna uderza pięścią w kanapę.

Po mieszkaniu niosą się podniesione głosy obu kobiet.

Olha twierdzi, że zdobycie Słowiańska to była zaplanowana operacja, w którą oprócz miejscowych od początku byli zaangażowani Rosjanie. Anna Aleksiejewna jest przekonana, że zajęcie miasta ↦

↦ było przejawem samoorganizacji mieszkańców, którzy postanowili postawić się „banderowcom". Rosjanie, którzy raz się pojawiają w relacji Anny Aleksiejewny, a innym z niej znikają, mieli – jej zdaniem – pojawić się dopiero, gdy nad Słowiańskiem zawisła groźba ze strony ukraińskich sił.

– Gdy zaczęły się sypać na nas bomby, autobusami przyjeżdżali do nas ochotnicy, żeby nas bronić – mówi Anna Aleksiejewna.

– Dlaczego przyjeżdżali, a nie bronili się u siebie, w Rosji?

– A czemu banderowcy przyjechali tutaj, a nie siedzieli u siebie?!

– Oni bronili ukraińskiej ziemi.

– Ja uważam, że tamci ochotnicy to byli Ukraińcy.

– To były kacapy z Rosji.

– To ty wymyśliłaś. Nie pytałaś ich, kim są i co oni tu robią.

Dla Olhi okres od kwietnia do lipca to była rosyjska okupacja, a 5 lipca nastąpiło wyzwolenie. Dla Anny Aleksiejewny okupacja zaczęła się wtedy, gdy dla Olhi się skończyła, i trwa do dzisiaj.

– Żyliśmy swoim życiem, a teraz okupuje nas zachodnia Ukraina – twierdzi Anna Aleksiejewna.

– Przecież żyjemy swoim życiem – mówi Olha.

– Co to za życie? W kieszeniach pusto. Nikt na nas nie zwraca uwagi. Mają nas za nic.

Współodpowiedzialność

Dziś wiemy, że w kwietniu 2014 r. takich jak Dima wspierali żołnierze rosyjskich sił specjalnych, dowodzeni przez pułkownika Igora Girkina, który został też dowódcą „pospolitego ruszenia". Wiemy o tym także dlatego, że po latach chwalił się tym sam Girkin, oficer rosyjskiej armii. Również tym, że jako szef tzw. trójki NKWD (świadomie stosował takie historyczne określenie) osądzał i wydawał wyroki śmierci.

Po lipcu 2014 r. Anna Aleksiejewna przez trzy lata ukrywała się, omijała swoje mieszkanie. Bała się, że ktoś zrobi jej krzywdę. Przez lata nie otrzymywała przysługujących jej ulg na opłaty za media, jak prąd czy zwłaszcza gaz, który bardzo drożał. To wszystko wpędziło ją w długi i na skraj ubóstwa. – Przez dwa lata żyłam tylko o sucharach i na darowiznach od ludzi – gdy to wspomina, jej oczy zachodzą łzami.

Dima ani wnuk nie mieli pieniędzy, by jej pomóc. Próbowała opłacać czynsz i spłacać długi. Emerytury jej nie wystarczało, więc sprzedawała rzeczy z domu. Aby dostać wsparcie od państwa, poprosiła o referencje od wspólnoty mieszkaniowej, z nadzieją, że dzięki temu urzędnicy będą bardziej skorzy przyznać jej ulgi. Gdy przyszła na posiedzenie wspólnoty, Olha jako jedyna zrobiła awanturę, że „wróg narodu" nie dostanie od wspólnoty żadnego dokumentu.

– Przepracowałam w tym kraju tyle lat i jestem wrogiem narodu – dziwi się Anna Aleksiejewna. Nie może zrozumieć tego do dzisiaj.

Olha uważa, że Anna Aleksiejewna przynajmniej częściowo ponosi odpowiedzialność za wychowanie syna. – Nie nauczyła go miłości do kraju – mówi.

Anna Aleksiejewna uważa się za Ukrainkę: – Mam ukraińską duszę, ale nienawidzę tego, że ci z zachodniej Ukrainy przyszli tutaj i mówią mi, jak mam żyć.

Uważa, że tamci powinni zaakceptować, iż Donbas się różni. Przecież ona akceptuje, że zachodnia Ukraina jest inna. Dlatego popiera federalizację kraju.

Gdy Olha próbuje oponować, Anna Aleksiejewna mówi: – Jesteś taką samą banderówką, jak i oni.

Po czym zaczyna się głośno śmiać, a wkrótce śmieje się i Olha. W ich rozmowach często jest tak, że krzyki mieszają się z żartami i wzajemnymi prowokacjami.

Anna Aleksiejewna wreszcie wyprosiła potrzebne dokumenty i dostała ulgi na opłaty. Dzięki temu nareszcie trochę odżyła, choć wciąż egzystuje bardzo skromnie.

Rozmowa przy kieliszku

To było tak: gdy karty zostały już odkryte, gdy Anna i Olha wiedziały, kim jest ta druga, z czasem obie sąsiadki – jak przed wojną – zaczęły znów witać się ze sobą. Ale początkowo tak spod oka, a i „dzień dobry" było raczej burknięciem niż pozdrowieniem.

Olha potrzebowała roku, by spojrzeć na Annę Aleksiejewnę w innym świetle. – Ona jest normalną i uprzejmą babką, zawsze przychodzącą z pomocą, nie jest podła. Nie robi nic złego – mówi Olha.

Na podwórku, w altanie, mieszkańcy bloku od czasu do czasu organizują imprezy. Tak wyszło, że podczas jednej Olha i Anna Aleksiejewna usiadły obok siebie. Kieliszki były opróżniane jeden za drugim. W końcu Olha nie wytrzymała i rzuciła: – Jesteś separatystką.

– A daj spokój, wypijmy.

Wypiły. Potem rozmawiały spokojnie, ale wkrótce znów zaczęły kłócić się o politykę.

Zgodnie twierdzą, że sąsiedzi mają je za wariatki.

Od czasu tamtej imprezy częściej rozmawiają, kłócą się, śmieją do rozpuku i prowokują nawzajem.

– Ona nie strzelała. A z naszego bloku przynajmniej trzy osobą walczą po tamtej stronie. Tym, którzy wystąpili z bronią przeciw Ukrainie, nie wybaczę – mówi Olha.

A Dimie? – Nie wiem... Ale chyba nie – odpowiada.

– Myślę, że oni nie wiedzieli, na co się porywają – dodaje po chwili. – Nie spodziewali się, że dojdzie do takiego rozlewu krwi.

Na swoim miejscu

Anna Aleksiejewna szybko wybacza innym. A w oczach Olhi odkupiła się ciężką pracą. Wraz z kilkoma innymi osobami dba o ogródek przed blokiem.

Trzeba wiedzieć, że w ukraińskich miastach, nie tylko w Donbasie, ogródki to ważny element codziennej strategii przetrwania – pomiędzy blokami uprawiane są warzywa, nawet ziemniaki. To odciąża budżety domowe.

– Wydaje mi się, że pani robi tu najwięcej – mówi Olha. – Jak jest gorąco, czasem już o wpół do piątej rano zajmuje się pani grządkami, żeby zdążyć przed upałem.

Anna Aleksiejewna twierdzi, że ta praca trzyma ją przy życiu. – Jakbym tego nie robiła, to już by mnie tu nie było – powiada.

Oprowadza po ogródkach. Rośnie tu m.in. koper, czarnuszka, szczaw, fasola, papryka, chrzan. Są też kwiaty. Olha wydaje się być z ogródków nawet bardziej dumna niż Anna.

Na odchodnym Olha nie może się powstrzymać i mówi: – Chwała Ukrainie!

– Bohaterom chwała! – odpowiada Anna Aleksiejewna.

Zanim Olha zdąży się ucieszyć, że ją przekabaciła, dodaje: – Ale naszym, nie waszym.

© PAWEŁ PIENIĄŻEK

Tożsamość obu bohaterek i ich bliskich została zmieniona.

„Historii wysiedlenia Niemców nie można opowiedzieć bez szerszego kontekstu" – mówi Stephan Lehnstaedt, historyk i członek rady naukowej, która opiniowała koncepcję berlińskiej wystawy. Na zdjęciu jej fragment.

Nowy punkt na mapie Berlina

TEKST I ZDJĘCIA **ŁUKASZ GRAJEWSKI** Z BERLINA

Powstające w bólach od lat Centrum Dokumentacji Ucieczka, Wypędzenie, Pojednanie w końcu zostanie otwarte. To polsko-niemiecki sukces, który pokazuje, że dialog popłaca.

Był taki czas, gdy uważano ją za najbardziej rozpoznawalną w Polsce Niemkę, zaraz po kanclerz Angeli Merkel. Regularnie rozpalała polsko-niemieckie dyskusje. W 2003 r. jeden z polskich tygodników sportretował ją na okładce, jak w mundurze SS ujeżdża ówczesnego kanclerza Gerharda Schrödera. Długo była symbolem i sumą polskich obaw przed tymi Niemcami, którzy chcą relatywizować historię i przedstawiać siebie nie tylko w roli sprawców, lecz także ofiar II wojny światowej.

Mowa o Erice Steinbach, w latach 1998–2014 przewodniczącej Związku Wypędzonych (organizacji skupiającej Niemców, którzy po 1945 r. musieli opuścić rodzinne domy, zwłaszcza za Odrą i w Czechach), a także wieloletniej posłance chadecji do Bundestagu. W Polsce zaistniała po raz pierwszy, gdy po objęciu funkcji przewodniczącej Związku zgłosiła pomysł, aby w Berlinie zbudować Centrum przeciw Wypędzeniom – ośrodek muzealno-edukacyjny, który miał nie tylko opowiadać historię kilkunastu milionów niemieckich wygnańców i składać hołd ich cierpieniom, lecz także tworzyć zręby nowej niemieckiej martyrologii.

Po kilkunastu latach sporów, w środę 23 czerwca w Berlinie zostanie otwarte Centrum Dokumentacji Ucieczka, Wypędzenie, Pojednanie – bo tak ostatecznie nazywa się instytucja, której pierwowzór zaproponowała Steinbach. Korespondent „Tygodnika" mógł zobaczyć wystawę główną jeszcze przed jej otwarciem.

Jedyne zaskoczenie, które temu towarzyszyło, to konstatacja, jak bardzo niekontrowersyjna jest to ekspozycja. Trudno sobie wyobrazić, że ze strony polskiej popłyną głosy krytyki. Przyznają to w rozmowie z „Tygodnikiem" także polscy i niemieccy historycy, a ich opinię potwierdza ambasador Polski w Berlinie. Krytyczne słowa mogą natomiast paść, być może, ze strony Eriki Steinbach, która już wiele lat temu została odsunięta od prac przy powstawaniu Centrum. Przede wszystkim na własne życzenie.

Budynek przy Anhalter Platz

To, co finalnie oferuje wystawa główna Centrum Dokumentacji (tak je nazywajmy w skrócie), jest zaskakująco powściągliwe, wręcz skromne. ↦

Niemka Marie Pustejovsky, wysiedlona z trojgiem dzieci z miasta Fulnek koło Nowego Jiczyna w Czechach, mogła zabrać bagaże. Wielu nie miało tej możliwości. Fragment wystawy w Centrum Dokumentacji, czerwiec 2021 r.

↦ Na jego działalność oddano modernistyczny budynek przy Anhalter Platz. To ważny punkt na mapie Berlina. Zainteresowani historią przyjeżdżają w tę okolicę, by zwiedzić Topografię Terroru – muzeum poświęcone zbrodniczemu reżimowi III Rzeszy. Na placu, przy ruinach dworca kolejowego Anhalter Bahnhof, za parę lat ma powstać Muzeum Emigracji. Tu również umiejscawiano pierwotnie pomnik polskich ofiar II wojny światowej, o którego powstaniu Bundestag zadecydował w 2020 r. Ta lokalizacja ostatecznie upadła; także sąsiedztwo Centrum Dokumentacji wzbudzało kontrowersje wśród osób zajmujących się relacjami polsko-niemieckimi.

Cóż więc takiego dziś zaskakuje? Wystawa w Centrum Dokumentacji co i rusz opowiada nie tylko historię wysiedleń Niemców, ale też Polaków wygnanych z ziem wschodnich II Rzeczypospolitej. – Zależało nam, aby pokazać, że II wojna światowa doprowadziła do przesiedlenia Polaków ze wschodu i pozbawiła ich małych ojczyzn – mówi w rozmowie z „Tygodnikiem" prof. Piotr Madajczyk, historyk z Zakładu Studiów nad Niemcami PAN. – Sądzę, że historia przesiedleń jest pokazana w taki sposób, iż zwiedzający Polacy nie będą w żaden sposób czuli się urażeni i nie będą mieć wrażenia, że są poddawani manipulacji.

Prof. Madajczyk należy do rady naukowej Fundacji Ucieczka, Wypędzenie, Pojednanie, która jest formalnoprawnym fundamentem Centrum Dokumentacji o tej samej nazwie.

Szerszy kontekst

Zanim dojdziemy do serca wystawy, trafiamy na pierwsze piętro, gdzie jej twórcy postanowili pokazać, że przesiedlenia to stały element światowej historii wieku XX. W tej części mowa jest o Ormianach, o mieszkańcach kolonialnych Indii, Palestyńczykach czy uchodźcach z krajów byłej Jugosławii. Ekspozycja wskazuje na rasizm i nacjonalizm, które wzniecały konflikty, w wyniku których ludzie musieli porzucać rodzinne strony.

Również na drugim piętrze kuratorzy postarali się o chronologię, która ma ułatwić zapoznanie się z historycznymi faktami. Zanim dojdziemy do części opowiadającej o losach niemieckich wygnańców, musimy przejść przez kwadratowe pomieszczenie, w którym przypominana jest istota narodowosocjalistycznej dyktatury. Stąd przechodzimy do sali, w której czytamy m.in. o ataku na Polskę i okupacji. Przywoływane są zbrodnie popełniane przez Niemców, w tym i fakt, że częścią ich polityki okupacyjnej były wysiedlenia.

– Było to dla mnie szczególnie ważne, żeby zachować taką chronologię. Choć też nie musiałem o to w żaden sposób walczyć, bo w gremiach fundacji panował co do tego zdecydowany konsens – mówi „Tygodnikowi" prof. Stephan Lehnstaedt z Touro College w Berlinie, historyk i tak jak prof. Madajczyk członek rady naukowej, która opiniowała koncepcję wystawy. – Opowieści o wysiedleniu Niemców nie można opowiedzieć bez szerszego kontekstu, że Niemcy w tamtym okresie były dyktaturą, która w czasie wojny sama dopuszczała się przesiedleń.

– To było dla nas bardzo ważne, aby pokazać, że Niemcy najpierw sami wypędzali, a dopiero później stali się ofiarami – w podobnym tonie mówi dyrektorka Centrum dr Gundula Bavendamm. Podczas oprowadzania dziennikarzy, w którym uczestniczył korespondent „Tygodnika", Bavendamm wielokrotnie powtarzała, że jej rolą było także uspokojenie nastrojów. Faktycznie: od kiedy ponad pięć lat temu ta historyczka (rocznik 1965) z wieloletnim doświadczeniem w zarządzaniu instytucjami muzealnymi przejęła stery, napięcie wokół Centrum zaczęło opadać. Choć wcześniej to nie tylko Erika Steinbach wzbudzała kolejne kontrowersje wokół projektu.

Trudne narodziny

W 2008 r. ówczesny rząd Niemiec – tworzony, tak jak obecnie, przez chadeków i socjaldemokratów, z kanclerz Angelą Merkel – faktycznie odebrał Erice Steinbach kluczową rolę w tworzeniu Centrum i powołał wspomnianą już fundację. Steinbach starała się jeszcze dostać do rady nowej instytucji, ale jej kandydatura została odrzucona.

Jednak również w tej nowej strukturze dochodziło do sporów, głównie na linii polsko-niemieckiej. W 2010 r. do rady naukowej fundacji został zaproszony prof. Tomasz Szarota, ceniony historyk specjalizujący się w stosunkach polsko-niemieckich. Po pierwszym spotkaniu rady prof. Szarota zrezygnował. W wypowiedziach dla niemieckich mediów argumentował, że nowa instytucja jest klonem Centrum przeciw Wypędzeniom, i że Niemcom nie chodzi o pojednanie z innymi narodami, lecz o pojednanie z samymi sobą. „W tym temacie jako Polak nie mogę pomóc. To muszą sobie wyjaśnić sami Niemcy" – mówił.

Potem zmieniały się składy rady fundacji i rady naukowej. Przez pewien czas w pracach brali udział prof. Madajczyk i prof. Krzysztof Ruchniewicz z Uniwersytetu Wrocławskiego. Ta dwójka wraz

z grupą zagranicznych historyków zrezygnowała w 2015 r., argumentując, że ówczesny dyrektor Winfrid Halder próbuje kierować pracami fundacji bez konsultacji z radą naukową.

Każda taka zmiana, każde odejście prowadziło do ponownych pytań: o zasadność powstania Centrum oraz o to, w jaki sposób będzie można obronić próbę przedstawienia losu niemieckich wysiedleńców przed zarzutem relatywizowania niemieckich win.

To udało się dopiero obecnej dyrektorce. Jak słyszymy, Gundula Bavendamm, która dyrektorką została w lutym 2016 r., zadbała nie tylko o bliską i przejrzystą współpracę z radą naukową, do której wrócił prof. Madajczyk, ale też z przedstawicielami państw, w których kontrowersje wokół Centrum były największe.

I tak, już w 2017 r. wstępny plan wystawy trafił na stół polskiego ambasadora Andrzeja Przyłębskiego. – Uwag zgłaszaliśmy bardzo dużo, wynikały one przede wszystkim z ocen polskich historyków, prof. Roberta Traby i prof. Piotra Madajczyka – mówi „Tygodnikowi" ambasador Przyłębski. Jako przykład podaje dodanie do planowanej wystawy opisu Warszawy po powstaniu z 1944 r. – Takiego losu nie doświadczyła żadna z okupowanych przez III Rzeszę europejskich stolic i niezrozumiałe byłoby naszym zdaniem, gdyby tego wątku nie było na wystawie – tłumaczy ambasador. – Cieszę się, że większość takich braków udało nam się ostatecznie usunąć.

Zmarginalizowana pomysłodawczyni

W dokończeniu projektu w dobrej atmosferze pomógł, jak się zdaje, fakt, iż w międzyczasie jego pomysłodawczyni bardzo się zradykalizowała.

Gdy Erika Steinbach postulowała stworzenie Centrum przeciw Wypędzeniom, była ważną postacią w CDU. Fakt, że stała na czele Związku Wypędzonych, dodawał jej politycznej wagi. Rodziny kilkunastu milionów wysiedleńców i ich potomkowie były w powojennej historii Niemiec ważną grupą wyborców, o którą zabiegały główne partie. Jednak kanclerz Merkel zdecydowała się odsunąć Steinbach od jej „dziecka", aby w ten sposób szukać pola kompromisu z Polską i Czechami.

Na ostateczny rozwód z chadecją Steinbach zdecydowała się w 2017 r. Już wcześniej dała się poznać jako zdeklarowany krytyk polityki migracyjnej Merkel, a przed wyborami do Bundestagu w 2017 r. poparła populistyczną Alternatywę dla Niemiec (AfD). Nie wstąpiła do AfD, ale została przewodniczącą Desiderius-Erasmus-Stiftung, fundacji związanej z AfD.

To pomogło nowej dyrekcji Centrum jeszcze bardziej odciąć się od Steinbach, która – choć deklarowała, że chce oddać hołd niemieckim uchodźcom – równocześnie sprzeciwiała się przyjmowaniu uchodźców z Syrii, którzy uciekali do Europy przed wojną.

– Niewątpliwie to ona rzuciła ten pomysł, który później nabrał jednak własnej odrębnej dynamiki – tak o Erice Steinbach mówi prof. Madajczyk. – Pewnie ↦

weź, czytaj!
w prenumeracie:

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO"

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków Bank Pekao SA nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 660 692 101 (w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	420 zł	540 zł
Półroczna (26 numerów)	240 zł	300 zł
Kwartalna (13 numerów)	130 zł	160 zł
Pokolenia*	365 zł	
Karta Dużej Rodziny**	365 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY. WYDANIE SPECJALNE" W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM"

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	490 zł	610 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	430 zł	
Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne	430 zł	
4 wydania specjalne	75 zł	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

PARTNER MARKETINGOWY

TYGODNIK POWSZECHNY SALES manago marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Gundula Bavendamm, dyrektorka Centrum Dokumentacji Ucieczka, Wypędzenie, Pojednanie. Berlin, czerwiec 2021 r.

↦ pojawi się w jej kręgach myślenie, że to był „nasz pomysł", który Merkel „nam zabrała".

Historyk ma nadzieję, że mimo sporu wokół osoby pomysłodawczyni wystawa spotka się z akceptacją środowisk niemieckich wysiedleńców. Wskazuje, że ich przedstawiciele zasiadają w radzie fundacji.

– Podejrzewam, że Erika Steinbach oczekiwała czegoś innego, czegoś znacznie bardziej koncentrującego się na niemieckiej stracie i podkreślającego niemiecką rolę ofiary – zastanawia się prof. Stephan Lehnstaedt. – To jest oczywiście zawarte w tej wystawie, ale kontekst jest jednoznaczny: że ucieczka i wypędzenie były w wieku XX czymś niestety stale obecnym w różnych zakątkach ziemi.

Zrozumieć stratę

Pytana o Erikę Steinbach, dyrektorka Bavendamm najczęściej robi wymowną minę i zaznacza, że nie ma z nią kontaktów. Steinbach nie została zaproszona na uroczystość otwarcia, którą zaplanowano na poniedziałek 21 czerwca, już po zamknięciu tego numeru „Tygodnika". – Następnego dnia po Światowym Dniu Uchodźcy – dodaje Bavendamm, która na każdym kroku tłumaczy, że wygnanie Niemców wpisuje się w szerszy kontekst.

Bavendamm uważa, że dwa słowa, którymi najlepiej można opisać funkcję Centrum, to: zrozumieć stratę.

– Nie tylko stratę materialną, ale i utratę statusu społecznego, poczucia bezpieczeństwa i przynależności – dopowiada.

Uniwersalność tych doświadczeń przypominana jest również w tej części wystawy, która traktuje o wysiedleniu Niemców. Jednym z eksponatów jest tu klucz do mieszkania Paula i Margarete Rohrmoser z Królewca (dziś Kaliningrad). Rodzice z dwójką dzieci musieli opuścić swój dom w styczniu 1945 r. Paul i Margarete zachowali swój klucz i powiesili go w nowym miejscu zamieszkania w Getyndze; wisiał tam aż do ich śmierci.

Tuż obok mamy możliwość odsłuchania relacji Mirav Najah Sido, kurdyjskiej nauczycielki, która w 2015 r. musiała uciekać z Syrii i trafiła do Niemiec. Również ona zabrała klucz do domu. „Byłam pewna, że będziemy mogli wrócić" – wspomina w relacji.

– Na początku kryzysu migracyjnego w 2015 r. niektórym konserwatywnym politykom CDU sprawiało wielki problem, aby nazwać Syryjczyków słowem „wypędzeni", którym określa się Niemców [niem. *Vertriebene* – red.]. W niektórych kręgach wypędzonymi mogli być nazywani tylko Niemcy wysiedleni z Czech, Polski czy Rumunii. Cała reszta to już „tylko" uchodźcy – mówi „Tygodnikowi" prof. Lehnstaedt. – Mam nadzieję, że to muzeum zaspokoi polityczne oczekiwania środowisk niemieckich wypędzonych, pokazując jednocześnie szerszy kontekst.

Kwestia odpowiedzialności

Można postawić tezę, że także dzięki temu uniwersalnemu kontekstowi twórcom Centrum udało się opowiedzieć o cierpieniu, które dotknęło Niemców, równocześnie szanując inne perspektywy historyczne.

– Moim zdaniem nie może być tutaj mowy o relatywizowaniu oceny roli Niemiec w okresie II wojny światowej. Nad wystawą pracowali wybitni i niezależni historycy, którzy nie pozwoliliby sobie na uprawianie tego typu polityki historycznej, a czasy Eriki Steinbach, która chciała ten temat wykorzystać politycznie, mamy już na szczęście za sobą – uważa ambasador Przyłębski.

Polsko-niemiecki sukces, jakim jest kształt Centrum Dokumentacji Ucieczka, Wypędzenie, Pojednanie – pokazujący też, że dyskusja i dialog popłacają – wydaje się dziś tym ważniejszy, gdy spojrzymy na przemianę, jaka dokonuje się w społeczeństwie Niemiec. Coraz bardziej widoczne jest tu pragnienie, aby we własnej historii dostrzegać także jaśniejsze barwy, aby mniej akcentować winy przodków.

– Wiek XXI to czas, gdy ponownie odżywają odwołania do tradycji narodowej i historii. Emocje narodowe są silniejsze niż wcześniej, także w Niemczech. Niemcy nie są tu wyjątkiem – ocenia prof. Madajczyk.

– Czasy rzeczywiście się zmieniają – mówi ambasador Przyłębski. – Wciąż pojawiają się nowe tematy, które absorbują niemieckich historyków i społeczeństwo. I niestety muszę zgodzić się ze stwierdzeniem, że w dużej części tego społeczeństwa poczucie odpowiedzialności za zbrodnie przodków z okresu II wojny światowej jest dramatycznie niepopularne. Z drugiej jednak strony widzimy szereg inicjatyw, projektów i instytucji, które nie uciekają od tematów dotyczących niemieckiej przeszłości i zbrodni w okupowanej Polsce. Doceniamy to.

Piotr Madajczyk i Stephan Lehnstaedt są zgodni, że zmiany zachodzą, przede wszystkim za sprawą upływającego czasu i odchodzenia ostatnich świadków. Ale prof. Lehnstaedt uważa, że zmiana akcentów w niemieckim podejściu nie oznacza relatywizacji. – Będzie coraz mniej zaangażowania na poziomie osobistym, ale społeczna odpowiedzialność pozostanie – przekonuje.

Centrum Dokumentacji Ucieczka, Wypędzenie, Pojednanie dołącza do instytucji, które będą tę odpowiedzialność niemieckiego społeczeństwa kształtować.

© ŁUKASZ GRAJEWSKI

REŻ. WOJCIECH SZUMOWSKI | PROD. FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

UKOS ŚWIATŁA

Tak, jak macewę możesz
podświetlić w nocy i wtedy coś,
co jest niewidoczne w dzień,
będzie widoczne w nocy,
tak samo jest z tą historią.

Dariusz Popiela

Ten film to opowieść o odzyskiwaniu historii naszych żydowskich sąsiadów. Opowieść, którą możemy i powinniśmy snuć wspólnie.

Partnerem projektu zostało Żydowskie Muzeum Galicja.

Żydowskie Muzeum Galicja od początków swojego istnienia nie tylko dokumentuje procesy przywracania pamięci, ale również aktywnie bierze w nich udział. Poprzez swoje działania Muzeum nie tylko opowiada o wspólnej, polsko-żydowskiej przeszłości, ale również zachęcą do konfrontacji z tym, co niewygodne, z tym, co trudne i bolesne. Proces ten jest niezbędny, abyśmy mogli bez wstydu i strachu patrzeć w przyszłość.

Działania Dariusza Popieli są ważnym elementem tego procesu i jestem niezmiernie dumny, że Żydowskie Muzeum Galicja może włączyć się w tworzenie opowiadającego o nich, produkowanego przez Fundację Tygodnika Powszechnego filmu dokumentalnego „Ukos światła" w reżyserii Wojciecha Szumowskiego.

Jakub Nowakowski,
dyrektor Żydowskiego Muzeum Galicja

FOT. JACEK TARAN X2 / OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

ZAPRASZAMY NA SPOTKANIE
z reżyserem **WOJCIECHEM SZUMOWSKIM** i bohaterem filmu **DARIUSZEM POPIELĄ**, które odbędzie się w niedzielę **4 LIPCA O GODZ. 16.00** w Żydowskim Muzeum Galicja przy ul. Dajwór 18. Spotkanie poprowadzi Katarzyna Kubisiowska z „Tygodnika Powszechnego".

weź, słuchaj! Posłuchaj rozmowy Katarzyny Kubisiowskiej z Dariuszem Popielą w nowym odcinku Podkastu Powszechnego. Więcej na **powszech.net/popiela**

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

WESPRZYJ POWSTANIE FILMU „UKOS ŚWIATŁA" o działalności mistrza sportu Dariusza Popieli, odpominającej żydowskich sąsiadów. Weź udział w zbiórce na **powszech.net/ukos** lub wpłać bezpośrednio na konto Fundacji Tygodnika Powszechnego, w tytule przelewu pisząc „Ukos światła". Santander Bank Polska S.A. nr: **31 1910 1048 2006 1845 1121 0001**. Dziękujemy!

partnerzy

GALICJA ŻYDOWSKIE MUZEUM

WOLF & DORA RAJCHER MEMORIAL FUND

TYGODNIK POWSZECHNY

KONRAD ADENAUER STIFTUNG

EVERETT / FORUM

RZEŹ WOLNYCH LUDZI

Co roku 19 czerwca Amerykanie obchodzą Juneteenth: dzień upamiętniający zniesienie niewolnictwa. Rocznicę tyleż radosną, co przygnębiającą: bo przypomina ona, że prześladowania czarnoskórych trwały jeszcze długo.

MARTA ZDZIEBORSKA

„Niewolnicy w Teksasie stali się wolnymi ludźmi. Oznacza to, że między byłymi właścicielami i ich podwładnymi obowiązuje od teraz relacja jak między pracodawcą a pracownikiem. Zaleca się jednak, by oswobodzeni niewolnicy pozostali w dotychczasowym miejscu zamieszkania i pracowali za pieniądze" – to słowa generała armii unionistów Gordona Grangera, ogłoszone w teksańskim mieście Galveston 19 czerwca 1865 r.

Dekret, odczytany niedługo po zakończeniu wojny secesyjnej, uczynił wolnymi ponad ćwierć miliona Afroamerykanów żyjących w Teksasie – jednym z tych rebelianckich stanów Południa, gdzie opór w tej kwestii był wyjątkowo silny. Teksas należał do trzech stanów, które jako ostatnie oswobodziły na swoim terytorium Afroamerykanów. Jeszcze później zrobiły to Kentucky i Delaware, gdzie niewolnictwo zniesiono 18 grudnia 1865 r. Uczyniły to w ostat-

Sto lat temu, 31 maja i 1 czerwca 1921 r., biali Amerykanie dokonali największego w historii USA pogromu czarnoskórych rodaków, zabijając w Tulsie (Oklahoma) ok. 300 osób. Na zdjęciu: ruiny zamieszkanej głównie przez czarnoskórych dzielnicy Greenwood, podpalonej podczas pogromu. Tulsa, czerwiec 1921 r.

nim momencie: tego dnia weszła w życie 13. poprawka do konstytucji USA, która gwarantowała Afroamerykanom wolność na terenie całego kraju.

Wolni wisielcy

Niektórym zniesienie niewolnictwa nie od razu przyniosło upragnioną wolność.

Susan Merritt, Afroamerykanka z Teksasu, o nowych przepisach dowiedziała się dopiero trzy miesiące po ogłoszeniu dekretu gen. Grangera. „Przyjechał do nas biały człowiek na białym koniu i kazał zebrać się niewolnikom w jednym miejscu. Choć przeczytał nam list, z którego wynikało, że jesteśmy wolni, nasz pan kazał nam pracować jeszcze przez kilka miesięcy. Obiecał, że dostaniemy w nagrodę muła i 20 akrów ziemi. Ale to nigdy nie nastąpiło" – wspominała jako 87-letnia kobieta, gdy w latach 30. XX w. udzielała wywiadu do książki „Born in Slavery: Slave Narratives from the Federal Writers' Project, 1936 to 1938" (w wolnym przekładzie: „Urodzeni w niewoli. Niewolnicze opowieści zebrane w ramach federalnego projektu dokumentacyjnego"; książkę opublikował rząd federalny USA).

Susan Merritt wspominała, że jej rodzice pracowali na plantacji bawełny w hrabstwie Rusk, gdzie właściciele ziemscy wyjątkowo długo zwlekali z uwolnieniem niewolników. Inna sytuacja panowała w sąsiednim hrabstwie Harrison, gdzie czarnoskórzy odzyskali wolność tuż po ogłoszeniu dekretu. Niektórzy śmiałkowie z Rusk nie chcieli czekać i próbowali przedostać się do pobliskiej „strefy wolności". Susan opowiadała, że wielu przypłaciło to śmiercią. Ciała zastrzelonych podczas próby ucieczki wieszano na drzewach.

Afroamerykanka z Teksasu przyzwyczaiła się do wszechobecnej przemocy i okrucieństwa. Jako dziecko była wielokrotnie bita przez białych właścicieli. „Pani przywiązywała mnie do pnia drzewa i chłostała. Biła mnie tak mocno, że miałam potem przez tydzień gorączkę. Gdyby płacono mi dolara za każdą otrzymaną karę chłosty, już nigdy nie musiałabym pracować" – wspominała.

Bili też czarnoskórzy. Susan Merritt opowiadała o pracującym na plantacji czarnym kierowcy, który nosił długi pejcz i chłostał nim przywiązanych do drzewa niewolników. Zdarzało się, że kazał nieszczęśnikom wykopać sobie dół: mieli się w nim położyć i przyjmować kolejne baty. Mężczyzna nie oszczędzał kobiet, gdy jego zdaniem ociągały się z pracą na plantacji. Czasem nie trzeba było dodatkowych kar. Wystarczyło, że zbierający bawełnę czarnoskórzy mieli nogi skute łańcuchami.

Zostanę u pana

Traumatyczne doświadczenia z życia w niewoli miał również 86-letni La San Mire z Luizjany. W wywiadzie udzielonym do książki „Born in Slavery" opowiadał, że widział, jak jego matka była wielokrotnie bita przez właściciela plantacji. Choć mężczyźnie trudno było wymazać te sceny z pamięci, nie odważył się opuścić swego pana już po wyzwoleniu. Postąpił jak wielu Afroamerykanów, którzy nie mając lepszych perspektyw, woleli pozostać na plantacji. La San Mire był jednak w dość dobrym położeniu, bo zamiast zbierać bawełnę, usługiwał rodzinie właściciela.

Zresztą nie każdy czarnoskóry źle wspominał okres niewolnictwa – nagła wolność dla byłych niewolników mogła być i pewnie była także przerażająca, jako zmiana z czegoś znanego na nieznany im świat wolnych ludzi.

Wertując „Born in Slavery", napotykam wypowiedź Johna McCoya, który twierdził wręcz, że niewolnikom żyło się niekiedy lepiej niż później na wolności. „Jeśli zachowywaliśmy się w odpowiedni sposób, właściciel chronił nas i dbał o to, żebyśmy mieli co jeść"– przekonywał McCoy.

Afroamerykanin tak opisał moment, gdy dowiedział się o swoim wyzwoleniu: ↦

↦ „Pewnego ranka przyszedł do mnie właściciel i powiedział »John, możesz odejść w każdej chwili. Jeśli jednak chcesz dla mnie pracować, będę cię dalej karmił i zadbam o to, żebyś miał w czym chodzić. Nie mogę ci jednak płacić, bo sam nie mam pieniędzy«. Gdy usłyszałem te słowa, pomyślałem, że to dobra propozycja. Najważniejsze, że będę miał co jeść. I tak nie wiedziałem, czym są pieniądze" – opowiadał John McCoy, który jeszcze długo po zniesieniu niewolnictwa w Teksasie pracował na plantacji dawnego właściciela. Dopiero po jego śmierci zatrudnił się na innej farmie i dorabiał, wykonując drobne prace ogrodnicze dla białych Amerykanów.

Równi inaczej

John McCoy, Susan Merritt i La San Mire należeli do grupy prawie czterech milionów niewolników, którzy po wojnie secesyjnej (trwała od wiosny 1861 r. do wiosny 1865 r.) stali się wolnymi ludźmi.

Nie ma się co dziwić, że teksańska emancypacja z 19 czerwca 1865 r. szybko stała się dla ich społeczności okazją do corocznego świętowania. Obchody Juneteenth (połączenie słów w języku angielskim *June* – czerwiec, oraz *nineteenth* – dziewiętnasty) rozpoczęły się już w 1866 r. – początkowo na terenie Teksasu, a z czasem także w innych stanach. Ubrani w odświętne stroje Afroamerykanie zbierali się na modlitwę, grali w bejsbola i dzielili się opowieściami z czasów niewoli. Podczas uroczystej kolacji jedli smażonego kurczaka, chleb z mąki kukurydzianej i warzywa, pili truskawkową oranżadę domowej roboty. Dobór napoju nie był przypadkowy: czerwony kolor miał symbolizować krwawy okres handlu niewolnikami.

A ten w Ameryce Północnej zaczął się w sierpniu 1619 r., gdy do wybrzeży Wirginii przypłynął holenderski statek transportujący grupę około dwudziestu Afrykanów. Handel czarnoskórymi nie przyjął się jednak w brytyjskich koloniach od razu – osadnicy opierali się początkowo na wyzysku rdzennych Amerykanów i na sprowadzanych z Anglii pracownikach kontraktowych. Zmieniło się to pod koniec XVII w., gdy wraz z rosnącym w Europie popytem na tytoń i bawełnę potrzebowano więcej rąk do pracy.

Niewolnicy z Afryki zaczęli szybko zasilać plantacje w Wirginii, Maryland i Karolinie Północnej, gdzie do momentu powstania Stanów Zjednoczonych w 1776 r. czarnoskórzy stanowili już połowę ludności. Niewolników posiadał nawet Thomas Jefferson, jeden z ojców założycieli USA, który publicznie krytykował system niewolnictwa i chciał o tym wspomnieć w tekście Deklaracji Niepodległości.

O taki ustęp aż się prosiło. Trudno bowiem nie nazwać hipokryzją pierwszych słów deklaracji („Wszyscy ludzie stworzeni są równymi") w sytuacji, gdy w tekście brakowało wzmianki potępiającej wyzysk czarnoskórych. Jednak w obliczu presji ze strony delegatów z Południa Jefferson pozostawił dokument w dotychczasowym kształcie.

Kompromis w imię jedności

Kwestia niewolnictwa szybko stała się zarzewiem konfliktu w obrębie nowo powstałego państwa. Podczas gdy uprzemysłowiona Północ tworzyła kolejne ustawy ograniczające handel niewolnikami, rolnicze Południe coraz bardziej opierało swój model gospodarczy na wyzysku czarnoskórych.

Szczególnie problematyczne stało się ustalanie zasad, które miały obowiązywać na nowych terenach włączanych do federacji: północne stany chciały zakazać tam niewolnictwa, a południowe – utrzymać. Do tarć doszło m.in. po odkupieniu od Francji wielkiego terytorium Luizjany, które rozciągało się od Zatoki Meksykańskiej do granicy z Kanadą, oraz na linii wschód–zachód, między rzeką Missisipi i Górami Skalistymi. Spór w sprawie tych ziem doprowadził w 1820 r. do podpisania układu: na jego mocy utrzymano niewolnictwo na terenie włączonego do federacji stanu Missouri, w zamian za zakaz praktykowania tego procederu na terytoriach znajdujących się powyżej 36°30' równoleżnika. W USA ukształtował się wówczas podział na 12 stanów wolnych i 12 niewolniczych.

Pomimo serii kompromisów zawieranych w kolejnych dekadach jedność kraju coraz bardziej wisiała na włosku. Oliwy do ognia dolało zwycięstwo Abrahama Lincolna w wyborach prezydenckich w 1860 r., które mieszkańcy Południa postrzegali jako pierwszy krok do zniesienia niewolnictwa w całym kraju. Na efekty nie trzeba było czekać: już 20 grudnia 1860 r., niecały miesiąc przed objęciem prezydentury przez Lincolna, jako pierwsza secesję ogłosiła Karolina Południowa. Do końca maja 1861 r. dołączyło do niej kolejnych dziesięć stanów, tworząc nowe państwo: Skonfederowane Stany Ameryki.

To nie obywatele

Niektórzy historycy spekulują, że sprawy między Północą i Południem nie zaszłyby tak daleko, gdyby nie determinacja Dreda Scotta – niewolnika, którego walka o odzyskanie wolności znalazła finał w Sądzie Najwyższym USA.

Orzeczenie w sprawie Scotta, wydane 6 marca 1857 r., wywołało wzburzenie na Północy. Siedmiu na dziewięciu sędziów orzekło bowiem, że wszyscy czarnoskórzy – nawet ci, którzy według przepisów są wolnymi ludźmi – nie są uznawani za obywateli USA i tym samym nie mogą dochodzić swoich praw w sądzie. Orzeczenie zaszokowało także dlatego, że konserwatywny sędzia Roger B. Taney napisał w swojej opinii, że kompromis z 1820 r., dzielący USA na stany niewolnicze i wolne, jest niekonstytucyjny. Lincoln potraktował to jak wyzwanie i w swojej kampanii wyborczej często krytykował to orzeczenie Sądu Najwyższego.

Nie był gołosłowny – gdy został prezydentem, jeszcze w trakcie wojny secesyjnej poczynił kroki ku zniesieniu niewolnictwa na Południu. W styczniu 1863 r. wydał proklamację emancypacji, która głosiła, że ludzie żyjący w niewoli w stanach Południa powinni być odtąd „na zawsze wolni". Wprawdzie dokument ten nie miał początkowo znaczenia praktycznego – trwały działania wojenne, w których Południe długo było górą – ale odegrał rolę strategiczną. Fakt, że wojna jawiła się teraz jako bój o zniesienie niewolnictwa, przyciągnął do wojsk Unii niemal 200 tys. czarnoskórych ochotników i zniechęcił potencjalnych sojuszników Konfederacji. Szczególnie Wielką Brytanię, która – obawiając się niepokojów na terenach swojego imperium (w większości kolonii brytyjskich niewolnictwo zniesiono w 1833 r.) – ostatecznie potępiła Południe.

Wolność za 300 dolarów

Czarnoskóry Dred Scott nie doczekał tych historycznych wydarzeń: zmarł na gruźlicę 17 września 1858 r. Ale przed śmiercią dopiął swego i ostatnie miesiące życia spędził jako wolny człowiek. Taki obrót sprawy zawdzięczał synom swojego pierwszego właściciela, Petera Blowa

BRANDON BELL / GETTY IMAGES

Viola Fletcher miała 7 lat, gdy tamtej nocy rodzice obudzili ją i powiedzieli, że trzeba uciekać. Podczas niedawnego wystąpienia w Senacie USA wspominała, co wtedy widziała: zastrzelonych ludzi, płonące domy. Na zdjęciu: Viola Fletcher i jej 100-letni brat Hughes Van Ellis (obok, w czapce; wtedy był niemowlęciem) podczas uroczystości rocznicowych, w których po raz pierwszy uczestniczył prezydent USA. Tulsa, 1 czerwca 2021 r.

z Wirginii. Nie dość, że pomogli oni Scottowi opłacić trwającą ponad 10 lat batalię sądową, to jeszcze – po przegranej w Sądzie Najwyższym – wykupili go z niewoli.

A pomyśleć, że Scott nie musiałby w ogóle składać pozwu. Wystarczyło, aby jego ówczesna właścicielka – wdowa po chirurgu wojskowym Johnie Emersonie – przyjęła jego ofertę i pozwoliła mu wykupić swoją wolność za 300 dolarów. Jednak kobieta była nieugięta, choć Afroamerykanin przepracował dla jej męża 11 lat. Scott był mu na tyle oddany, że opuścił wolne terytorium Wisconsin (handel niewolnikami był tam zakazany) i dołączył do swego pana, stacjonującego w garnizonie w niewolniczej Luizjanie. Próbował potem argumentować w sądzie, że skoro przebywał przez jakiś czas w stanie zakazującym niewolnictwa, to automatycznie stał się człowiekiem wolnym.

Tabu w Oklahomie

Historia Dreda Scotta i realia panujące już po wojnie secesyjnej pokazały, że trudno będzie zakopać przepaść dzielącą białych i czarnych Amerykanów. Wyzysk niewolników zastąpiła era linczów, prześladowań ze strony Ku Klux Klanu i obowiązującej do lat 60. XX w. zasady segregacji rasowej.

O tym mrocznym rozdziale w historii USA przypominają wydarzenia w mieście Tulsa w Oklahomie, gdzie sto lat temu – w nocy z 31 maja na 1 czerwca 1921 r. – biali zaatakowali i spalili dzielnicę Greenwood, zamieszkaną głównie przez czarnoskórych. Do rozlewu krwi nie trzeba było wiele. Wystarczyło zgłoszenie na policję, że 19-letni czarnoskóry pucybut Dick Rowland złapał za ramię białą kobietę w windzie. Choć ostatecznie mężczyznę oczyszczono z zarzutu napaści na tle seksualnym, białego tłumu zebranego pod sądem w centrum miasta nie zdołano już powstrzymać.

Podczas pogromu, którego rocznica przypada na trzy tygodnie przed obchodami Juneteenth, zginęło prawie 300 Afroamerykanów. Uczestników rzezi nigdy nie ukarano, a całą sprawę zamieciono pod dywan na następne dekady. Do tego stopnia, że – jak podaje dziennik „The Guardian" – szkoły w USA zaczęły uczyć o masakrze w Tulsie dopiero niedawno, w połowie pierwszej dekady XXI w.

Stulatka walczy o reparacje

O zmowie milczenia wokół pogromu mówił pod koniec maja Joe Biden, gdy jako pierwszy prezydent w historii USA spotkał się z mieszkańcami Tulsy. Podczas uroczystości w setną rocznicę tamtych wydarzeń Biden apelował o zmierzenie się z trudną historią i po raz kolejny zapowiedział walkę z nierównościami rasowymi. Mówił o zwalczaniu rasizmu w policji, zmniejszaniu przepaści ekonomicznej między białymi i czarnoskórymi oraz o inwestycjach w rozwój afroamerykańskich dzielnic, takich jak ta zniszczona sto lat temu w Tulsie. „Brak inwestycji ze strony rządu stanowego i rządu federalnego uniemożliwił odbudowę Greenwood. Musimy zdobyć się na odwagę, by w końcu to zmienić" – przekonywał Biden.

Słowa prezydenta zapewne spodobały się obecnej podczas jego przemówienia 105-letniej Lessie E. Benningfield Randle. Staruszka, jedna z nielicznych żyjących jeszcze ocaleńców pogromu z 1921 r., zaangażowała się w pozew przeciw władzom Tulsy. Wraz z potomkami ofiar rzezi oskarża miasto o doprowadzenie Greenwood do ekonomicznej zapaści i domaga się wypłaty reparacji. To nie pierwszy raz, gdy czarnoskórzy mieszkańcy dzielnicy walczą o zadośćuczynienie w sądach. Ich wcześniejszy pozew trafił w 2005 r. do Sądu Najwyższego USA, jednak ten odmówił rozpatrzenia sprawy.

Nowe amerykańskie święto

Dyskusja na temat reparacji za niewolnictwo i inne krzywdy doznane przez Afroamerykanów budzi w Stanach wiele emocji. Tym bardziej że choć od wyzwolenia niewolników upłynęło 156 lat, rząd federalny do tej pory nie wypłacił ich potomkom ani dolara. Jak trudny to temat, świadczy chociażby fakt, że do dyskusji o reparacjach nie palił się nawet czarnoskóry prezydent Barack Obama. W 2008 r., jeszcze jako kandydat w wyścigu o Biały Dom, powtarzał, że jego zdaniem ważniejsze od wypłaty świadczeń jest wyrównywanie szans przez zapewnienie czarnoskórym dostępu do lepszych szkół i redukcję bezrobocia.

W sprawie reparacji przed szereg nie wychodzi też Biden: ogranicza się do poparcia dla powołania komisji, która oceniłaby skutki niewolnictwa i zasadność świadczeń. Projekt takiej komisji trafił pod obrady Kongresu; zapewne czeka go wędrówka po parlamentarnych ścieżkach.

W minionym tygodniu Kongres podjął za to decyzję w innej sprawie: obie jego izby poparły ustawę wprowadzającą nowe federalne święto, upamiętniające zniesienie niewolnictwa (Senat jednogłośnie, Izba Reprezentantów stosunkiem głosów 415:14). Będzie ono obchodzone 19 czerwca. W ten sposób dotychczasowy Juneteenth zostaje podniesiony do rangi ogólnokrajowej.

© MARTA ZDZIEBORSKA

ZWIERZĘ JAK ZACZAROWANE

Magiczne sztuczki mogą bawić, a przynajmniej wprowadzać w błąd. Ale czy tylko ludzi? I dlaczego właściwie naukowcy badają, jak magia działa na zwierzęta?

MARTA ALICJA TRZECIAK

JOHAN SWANEPOEL / SCIENCE PHOTO LIBRARY / EAST NEWS

Iluzjonista wykonuje serię gestów, skupia naszą uwagę na rekwizycie, a tym samym odwraca ją od miejsca, gdzie znajduje się klucz do zrozumienia jego iluzji – rękawa, z którego niepostrzeżenie wyciąga białego gołębia. Ptak jest spokojny – przyzwyczajony do wykonywanych przed chwilą czynności, a sama sztuczka zdaje się nie robić na nim szczególnego wrażenia. Nic dziwnego – w końcu był jej centralnym uczestnikiem, a nie odbiorcą. Ale czy – gdyby magik uczynił je adresatem swojej iluzji – zwierzę dałoby się na nią nabrać?

Podobne pytanie postawili naukowcy z Wydziału Psychologii na Uniwersytecie Cambridge, którzy wyniki swoich badań opublikowali w czerwcu tego roku w czasopiśmie „PNAS".

Elias Garcia-Pelegrin i współpracownicy zaprezentowali trzy rodzaje iluzji sześciu sójkom (*Garrulus glandarius*) i osiemdziesięciu wolontariuszom, a następnie porównali ich wyniki. Ludzie nabierali się na wszystkie trzy sztuczki bardzo często. Za to sójek w dwóch pierwszych trikach nie dawało się oszukać niemal nigdy.

Sztuczki, na które ptaki okazały się być niepodatne, określa się mianem „z ręki do ręki" (ang. *palm transfer*) oraz „francuski zrzut" (ang. *French drop*). W każdym przypadku sztuczka polegała na tym, że badacz – a w tym przypadku również iluzjonista – trzymał w dłoniach larwę (przysmak sójek) i przekładał ją w taki sposób, by zmylić widza. Pod koniec manipulacji uczestnik badania miał określić, w której dłoni znajduje się obiekt.

We „francuskim zrzucie" iluzjonista sprawia wrażenie, iż podaje larwę do dłoni będącej na wierzchu, ale w ostatniej chwili upuszcza ją na spodnią dłoń, która ostatecznie przejmie obiekt. Natomiast w manipulacji „z ręki do ręki" wykonawca sztuczki pozoruje przekładanie larwy do spodniej dłoni, ale w rzeczywistości w sprytny sposób przytrzymuje bezkręgowca pomiędzy palcami wierzchniej ręki tak, że ten nigdy z niej nie wypada.

Liście w ultrafiolecie

W obu powyższych przypadkach sójki były bezkonkurencyjnie lepsze od ludzi i nie dawały się nabrać na manipulacje. Dlaczego? Pierwsze wyjaśnienie narzuca się od razu – ptaki mają przecież doskonały wzrok. Np. ptaki drapieżne (takie jak jastrzębie, sokoły czy orły) potrafią wypatrzeć niewielkiego gryzonia z kilkukrotnie większej odległości niż człowiek. Znacznie sprawniej też radzą sobie z dostrzeganiem i analizowaniem szybkich ruchów. Niektóre ptaki potrafią także dostrzec kontrast tam, gdzie my go nie widzimy. Z badania opublikowanego w 2019 r. w „Nature Communications" wynika, że gęstwina liści, którą my postrzegamy jako masę jednorodnej zieleni, dla ptaków może być wypełniona szczegółami. Ponieważ ich oczy wyposażone są w cztery typy światłoczułych czopków (a nie w trzy – jak u nas), są one wrażliwe nie tylko na te długości fali świetlnych, które odpowiadają za percepcję koloru czerwonego, zielonego i niebieskiego, ale widzą też ultrafiolet. To sprawia, że ich postrzeganie świata różni się od naszego. W efekcie, jak wykazali autorzy wspomnianej publikacji, dla ptaków żyjących w gęstych lasach spód listowia ma zupełnie inną barwę niż wierzch, co sprawia, że poszczególne liście lepiej kontrastują ze sobą nawzajem, a ich krawędzie stają się bardziej widoczne.

Magia działa!

Czy zatem jesteśmy w stanie oszukać ptaka lub inne zwierzę o wyostrzonych zmysłach za pomocą magicznej sztuczki? Zanim odpowiemy na to pytanie, powinniśmy się cofnąć o krok. Aby poddać jakieś zwierzę iluzji, trzeba najpierw zrozumieć, w jaki sposób postrzega ono świat. Np. dla nas, ludzi, nadrzędnym zmysłem jest wzrok, dlatego większość magicznych sztuczek opiera się na manipulacjach optycznych. U psów z kolei kluczowy jest węch. Zapewne większość z nas było świadkami sytuacji, gdy rzucamy czworonogowi zabawkę lub smakołyk, a on ich nie dostrzega, mimo że obiekt leży tuż obok jego łapy. Dopiero badanie otoczenia nosem pozwala psu odnaleźć przedmiot.

Wyobraźmy więc sobie, że chcemy rozbawić psa iluzją optyczną. Wykonujemy dla niego sztuczkę „z ręki do ręki" i każemy mu odgadywać, gdzie jest smakołyk. Jak tę sytuację postrzega pies? Skupia się na warstwie zapachowej: jego świetny węch wyczuwa, że wewnątrz dłoni, na ich brzegach oraz w najbliższym otoczeniu znajdują się ślady wonne jedzenia. Tylko co z tego wynika? Internet jest przepełniony „zabawnymi" nagraniami, na których opiekunowie wykonują ze swoim pupilem sztuczkę polegającą na tym, że najpierw pokazują mu smakołyk w jednej lub drugiej dłoni, a następnie w sprytny sposób chowają go tak, że ostatecznie nie ma go ani w jednej ręce, ani w drugiej. Na końcu obserwują z rozbawieniem reakcję psa szukającego kąska, który – jak sądził – za chwilę dostanie.

Ta sytuacja prowadzi nas do drugiego pytania związanego z tym, czy magia działa na zwierzęta. Mianowicie – co to w ogóle znaczy, że sztuczka magiczna na kogoś „zadziałała"?

Uczciwy przekręt

Kiedy iluzjonista przedstawia nam swoją sztukę, jest wobec nas zarazem nieuczciwy, jak i szczery. Z jednej strony – zostaniemy oszukani, ale z drugiej – doskonale wiemy, że tak się stanie. Jesteśmy na to przygotowani, godzimy się na to; zwykle sami dobrowolnie przychodzimy na pokaz. To właśnie z tego powodu, kiedy iluzja się powiedzie, czujemy zaskoczenie, rozbawienie, oczarowanie, zachwyt.

Czy tego samego możemy się spodziewać po zwierzętach? Dlaczego pies, którego pozbawia się smakołyku, na który bardzo liczył, miałby się czuć rozbawiony? Istotą magicznego pokazu jest przecież przeświadczenie, że jego twórca ma wobec nas dobre intencje.

Jest też druga kwestia. Zaskoczenie jest przyjemne, kiedy nie jest absolutne. To właśnie z tego powodu najlepszymi odbiorcami magicznych sztuczek wbrew pozorom wcale nie są bardzo małe dzieci. Jak pisze Susana Martinez-Conde w swojej książce „Sleights of Mind" oraz na naukowym blogu „Scientific American", większość performerów zgadza się, że iluzji manipulacyjnych nie powinno się w zasadzie w ogóle wykonywać przed dziećmi poniżej piątego roku życia. Choć z pewnymi intuicjami dotyczącymi zjawisk fizycznych i społecznych rodzimy się lub rozwijamy je na bardzo wczesnym etapie życia, to jednak dopiero kilkuletnie dziecko ma dobrze ugruntowaną wizję tego, jak działa świat. Czuje, że z grubsza rozumie już podstawowe prawa fizyki, wie, że pewne obiekty są ze swojej natury permanentne (np. kamień, piłka), a inne – ulotne (kostka lodu, mgła). Tymczasem młodsze dzieci nadal uczą się funkcjonowania świata i znikająca w rękach magika moneta może nie wywołać zachwytu. Jest inaczej, niż powinno być – a to nie zawsze musi być śmieszne, może być dziwne lub nawet nieco straszne.

Dlatego – jak pisze Martinez-Conde – wykonywanie sztuczek z udziałem ↦

E. GARCIA-PELEGRIN ET AL., „PNAS"

Gdzie jest larwa? Uczestnicząca w eksperymencie Eliasa Garcii-Pelegrina i współpracowników sójka wskazuje właściwą dłoń dziobem.

dzieci często musi być opatrzone wyjaśnieniami: iluzjonista uprzedza dziecko, co się wydarzy, żeby nie czuło się ono całkowicie zaskoczone („a teraz sprawię, że ta moneta zniknie"). Czy tak samo można postępować w odniesieniu do zwierząt? „A teraz sprawię, że twój smakołyk zniknie, ale nie martw się – po zakończeniu sztuczki dam ci drugiego"? To możliwe, ale tylko poprzez regularny, powtarzalny trening. Jeśli zwierzę często będzie uczestniczyło w sztuczce i za każdym razem łakoć będzie znikał, ale pod koniec znowu się pojawi w jego pysku, poczucie niepewności i zagrożenia powinno zniknąć. Tyle że zniknąć może również zaskoczenie, które jest kluczowym elementem magicznych sztuczek.

I w tym miejscu dochodzimy do drugiej istotnej cechy prawidłowo wykonanego pokazu magii. Po pierwsze – ma on wywołać pozytywne emocje. Po drugie – ma być niezgodny z oczekiwaniami zmysłowymi odbiorcy. To właśnie słowo „oczekiwania" jest kluczowe dla zrozumienia magicznych sztuczek oraz ich percepcji u zwierząt.

Zawiedzione oczekiwania

Autorzy omawianych na początku badań uważają, że sójki były niepodatne na dwie pierwsze z wykonywanych iluzji właśnie dlatego, że nie formułowały stosownych oczekiwań co do zachowania magika. Człowiek obserwujący sztuczkę „z ręki do ręki" lub „francuski zrzut" rozpoznaje ruch dłoni odpowiedzialny za przenoszenie przedmiotu i spodziewa się, że został on właśnie przekazany do drugiej ręki. Natomiast sójka – jak twierdzą autorzy badania – nie wie aż tyle co my o ludzkich ruchach dłonią, nie formułuje więc oczekiwań i nie spodziewa się larwy w innej dłoni niż ta, w której smakołyk znajdował się na początku.

> Dlaczego pies, którego pozbawia się oczekiwanego smakołyku, miałby się czuć rozbawiony? Istotą magicznego pokazu jest przeświadczenie, **że jego twórca ma wobec nas dobre intencje.**

Ale skąd ta pewność uczonych, że niepodatność sójek na magię wynika bardziej z ich braku oczekiwań niż z doskonałego wzroku, z którego słyną ptaki? Stąd, że sójki wypadały bardzo mizernie w trzeciej sztuczce magicznej, która nosi nazwę „szybkie podanie" (ang. *fast pass*). W manipulacji tej iluzjonista ustawia ręce w taki sposób, by obserwator nie widział wnętrz jego dłoni, a następnie bardzo szybkim ruchem przerzuca obiekt z jednej ręki do drugiej. Poddawane tej iluzji sójki w wielu przypadkach dawały się wykiwać magikowi i wskazywały, że larwa pozostała w dłoni, w której znajdowała się na początku. Dlatego – wnioskują autorzy badania – brak podatności sójek na dwa pierwsze typy sztuczek wynikał prawdopodobnie z ich, odmiennych od ludzkich, oczekiwań, a nie z wyczulonego wzroku, który, jak się okazuje, można jednak oszukać.

Badanie oczekiwań dotyczących otaczającego świata jest zatem kluczem do zrozumienia percepcji magicznych sztuczek. Jest też – jak deklarują naukowcy poddający zwierzęta iluzjom manipulacyjnym – przyczyną, dla której uczeni w ogóle przystąpili do powyższych projektów. Wciąż mamy wielki problem ze zrozumieniem, jak działają nie-ludzkie umysły, a badanie tzw. ślepych punktów ich percepcji może nam w tym bardzo pomóc.

Z cudzej perspektywy

Z naszych dotychczasowych rozważań można by wnioskować, że zwierzęta są niepodatne na magiczne sztuczki. Ale to nie do końca prawda. Co więcej, w naturalnym środowisku są one nie tylko odbiorcami, ale też twórcami zwodniczych iluzji. Z tym że iluzje te nie służą rozbawieniu, lecz oszukaniu widza. Wiadomo np., że szympansy celowo wprowadzają w błąd swoich pobratymców, po to tylko, by odwieść ich od czegoś cennego – jak choćby od źródła pożywienia. Odwracają wtedy wzrok od smakołyku i udają, że zobaczyły go gdzie indziej. Kiedy zwiedziony osobnik (często wyższy rangą, a zatem i mający pierwszeństwo korzystania z wielu przywilejów) uda się w fałszywym kierunku, sprytny „magik" rusza w stronę przysmaku i spożywa go, nim rywal zdąży nadbiec. Takie działania wymagają bardzo zaawansowanych umiejętności i – jak sądzimy – rozumienia tego, że inny osobnik też ma swoją percepcję, którą da się oszukać (co określa się mianem teorii umysłu).

Możliwe też, że czasami zwierzęta wykonują zwodnicze iluzje, nie do końca zdając sobie sprawę z istnienia innych umysłów. Np. wiele ptaków (takich jak sójki) udaje, że chowa swoje zapasy w jakiejś lokalizacji, po to tylko, by oszukać potencjalnych obserwatorów. Lądują wtedy w określonym miejscu i wykonują dokładnie tę samą sekwencję ruchów, które wykonałyby, gdyby ukrywały tam

pożywienie); wykopują dołek, wkładają do niego dziób z wyimaginowaną przekąską, a następnie skrupulatnie go zakopują.

Czy to jednak oznacza, że sójki rozumieją, iż obserwator tego zdarzenia ma umysł, który postrzega tę sytuację ze swojej perspektywy? Wiemy, że krukowate są bardzo inteligentne, ale wciąż nie mamy rozstrzygającej odpowiedzi na to pytanie.

Sójki zachowują się czasem trochę jak na magicznym pokazie. Udają, że chowają swoje zapasy w jakimś miejscu, po to tylko, by oszukać potencjalnych obserwatorów.

Rozbawiony szympans

Istnieją przesłanki, by sądzić, że przynajmniej część zwierząt może postrzegać sztuczki magiczne podobnie jak my. Należą do nich prawdopodobnie niektóre naczelne – np. szympansy. Jednak nawet w odniesieniu do tej grupy zwierząt odpowiedź na pytanie „czy magia działa na zwierzęta?" jest uzależniona od konkretnych okoliczności. Wiemy, że szympansy chętnie wchodzą w bliskie interakcje z ludźmi, których dobrze znają i których darzą sympatią. Lubią się z nimi wygłupiać i rozumieją pewne rodzaje żartów. Np. lubią łaskotki i pojmują ich dwojaką naturę: z jednej strony, gdy są łaskotane, wzbraniają się i głośno „protestują", ale z drugiej strony – gdy łaskotanie ustanie, przychodzą po więcej.

Podobne podejście mają do dowcipów, zwłaszcza tych slapstickowych: rozumieją, że wyrzucenie zawartości talerza na głowę opiekuna może być bardzo zabawne. Uwieczniono też radosne reakcje szympansów na magiczne triki – pod warunkiem, że miały one charakter pozytywny (małpom coś dawano, a nie odbierano). Chciałoby się powiedzieć, że podobnie jak w przypadku dzieci – zwierzęta niezbyt komfortowo się czują, gdy sztuczka polega na tym, że coś im się odbiera.

Ale czy my, dorośli, jesteśmy aż tak odmienni? Czy rozbawiłaby nas „magiczna sztuczka" naszego pracodawcy, który sprawiłby, że nasza wypłata zniknęła z konta?

Intencje iluzjonisty

Wydaje się więc, że do „prawidłowego" reagowania na magiczne triki spełnionych musi być kilka warunków. Po pierwsze, sztuczka musi być dopasowana do percepcji widza. Jaki jest sens pokazywania iluzji optycznej kretowi, który ma bardzo słaby wzrok? Po drugie, widz musi mieć ugruntowane rozumienie prawideł rządzących światem. Czy ślimak zdziwi się, gdy jakiś obiekt nagle zniknie, skoro przyjmuje on świat takim, jakim jest, i raczej nie ma wobec niego szczególnych oczekiwań? Po trzecie, sztuczka musi mieć charakter pozytywny. Pies, któremu sprzątniemy obiad sprzed nosa, raczej nie będzie się czuł urzeczony magią. Jest też czwarta kwestia – rozumienie intencji iluzjonisty. I właśnie to może być najtrudniejsze do osiągnięcia.

Ludzie, nawet dla zwierząt trzymanych w niewoli, bywają istotami dość zagadkowymi. Wśród naukowców trwają dyskusje dotyczące np. tego, na ile szympansy potrafią zrozumieć ludzki gest – a więc i kryjące się za nim intencje – wskazywania czegoś palcem. Interpretacji wyników badań nie ułatwia fakt, że taki gest może mieć dwojaką naturę: „deklaratywną" – gdy informuje o czymś (np. o lokalizacji pożywienia); lub „imperatywną" – gdy wskazujemy, że czegoś żądamy lub o coś prosimy (np. o podanie jakiegoś przedmiotu). Część badań sugeruje np., że szympansy, tak bardzo przecież do nas podobne, radzą sobie z interpretacją gestu „wskazywania imperatywnego" znacznie gorzej niż psy.

Wygląda na to, że z pojmowaniem magicznych sztuczek jest podobnie jak z poczuciem humoru. Niektóre żarty mogą być zrozumiałe zarówno dla człowieka, jak i dla zwierzęcia. Aby jednak dobrze się bawić, zwierzak musi rozumieć, co się dzieje, i dobrowolnie brać udział w wydarzeniu. Pod tym względem wcale się od nich nie różnimy.

© MARTA ALICJA TRZECIAK

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY

Już w środę 30 czerwca wakacyjny przewodnik

Włóczykij kulturalny

- Republika ptasia i podróż polsko-niemieckim pograniczem z reporterką Karoliną Kuszyk
- Wakacje ze sztuką: Piotr Kosiewski poleca najlepsze wystawy

Masz do zaoferowania naszym Czytelniczkom i Czytelnikom ciekawy sposób spędzania wakacji?

Zareklamuj się w naszym przewodniku – czekamy pod adresem **reklama@TygodnikPowszechny.pl**

HANNA

Krall:
Daniel W.

Po raz pierwszy spotykają się w Londynie na festiwalu poezji. Trwa przerwa, obaj stoją w audytorium Queen Elizabeth, w pobliżu sceny. Rozmawiają o tłumaczeniu poezji (ulubiony temat Daniela W.).

– Gdybyś miał jutro umrzeć – pyta Brodski – chciałbyś, żeby cię według tego tłumaczenia oceniano?

Ma na myśli wiersze Natalii Gorbaniewskiej, przełożone przez Daniela W.

Wiersze nie były polityczne. Były poezją bólu, samotności i rozpaczy, napisał o nich tłumacz we wstępie. Do wierszy dołączył protokół procesu Gorbaniewskiej, dokumentację medyczną szpitala psychiatrycznego i opinię brytyjskich psychiatrów o dokumentacji.

Pytanie zaskakuje Daniela W.

Brodski jest na Zachodzie od niedawna, od pięciu miesięcy. Zdążył przeczytać jego książkę?

I co właściwie ma na myśli?

Jest to krytyka?

Może refleksja ogólna?

Postanawia nie słyszeć krytyki i chyba ma rację. Tego samego dnia Brodski wręcza mu swoje wiersze z dedykacją – *From Russian with Love.*

Taki tytuł nosi książka Daniela W. poświęcona Josifowi Brodskiemu.

Więc znajomość zaczęła się od Gorbaniewskiej.

Ciekawe...

W książce Daniela W. w charakterze zakładki mam fotografię. Przyplątała się przez przypadek, musiała być pod ręką. Małe czarno-białe zdjęcie kobiety i dwóch chłopców. Na odwrocie po polsku:

Do powitania w Warszawie.

Natasza.

Maj 1973

(Chłopiec po prawej to uczestnik demonstracji na placu Czerwonym. W wózku, w sześćdziesiątym ósmym, w wieku trzech miesięcy).

1973...

Rok po psychuszce i po więzieniu na Butyrkach, dwa lata przed wyjazdem z Rosji.

Jak mi przysłała to zdjęcie?

Pocztą? Przez wspólnych znajomych?

Młoda była, nie wyglądała na trzydzieści siedem lat. Raczej na studentkę, poważną, sumienną okularnicę.

Nie powitałam jej w Warszawie.

Witam ją w książce Daniela W.

Daniel W. zastanawia się, co łatwiej tłumaczyć na angielski, polską czy rosyjską poezję. Dochodzi do wniosku, że polską.

Dochodzi do wniosku, że rosyjskiej poezji w ogóle nie da się dobrze przetłumaczyć, a zmagania Brodskiego z tłumaczami są daremne.

Brodski tłumaczy Brodskiego i proponuje Danielowi W., by jeden z tych wierszy podpisał swoim nazwiskiem. Daniel W. odmawia. Po pierwsze – nie byłoby to w porządku. Po drugie – nie zachwyca go przekład Brodskiego.

Różnią się we wszystkim, a zwłaszcza w traktowaniu rymów i asonansów.

Brodski jest głuchy na perswazję Daniela W., Daniel W. odrzuca argumenty Brodskiego. Daniel W. jest nieco zirytowany uporem poety, obaj są rozżaleni i nieustępliwi. I bezsilni. I nadal się przyjaźnią.

Brodski rozmawia z kotem Daniela W. Z wszystkimi kotami ma świetny kontakt, ale zwłaszcza z białą kotką Daniela W. o oryginalnym imieniu Osgood.

Daniel W. ma wrażenie, że Brodski i Osgood są do siebie podobni. W każdym razie podobnie się uśmiechają.

Daniel W. dziwi się, że Brodski pali papierosy, chociaż miał operację serca. Jakby prowokował śmierć! Jakby życia nie kochał. Albo – kochał, owszem, ale tylko w napięciu, w poczuciu zagrożenia.

Kiedy Daniel W. zachorował na raka, rzucił palenie na drugi dzień.

Daniela W. operował przyjaciel-chirurg.

Prababka przyjaciela uzdrawiała chorych dotknięciem rąk. Poza tym udzielała rad i przeganiała demony. Nazywano ją Ludmere Mojd, Dziewicą Włodzimierską – w Włodzimierzu Wołyńskim to się działo, w końcu dziewiętnastego wieku.

Przyjaciel-chirurg operuje w amerykańskim szpitalu twarze i szyje. Jego operacje zawsze się udają, a pacjenci szybko wracają do zdrowia.

Przyjaciel-chirurg nie wierzy w przeganiane demony. W geny wierzy. W te, które odziedziczył po prababce.

Dzięki rękom Ludmere Mojd wyzdrowiał i Daniel W. Po operacji będzie żył osiemnaście lat i już nigdy nie zachoruje na raka.

Brodski nie przywiązuje wagi do swego żydowskiego pochodzenia. W żydowski los wpisana jest ofiara, a bycie ofiarą jest Brodskiemu całkowicie obce. Tak przypuszcza Daniel W., ale może się myli.

Mimo to Brodski przypomina Danielowi W. jego ojca. Zwłaszcza kiedy śpiewnie recytuje swoje wiersze.

Ojciec Daniela W. pięknie się modlił. To głośno śpiewał, to cichł i zniżał głos do szeptu. Jakby całkiem prywatnie rozmawiał o czymś z Panem Bogiem.

Brodski nigdy nie szeptał. Przeciwnie. Do końca życia recytował mocnym, czystym, silnym głosem.

No to dlaczego przypomina Danielowi W. żydowskiego ojca?

Ojciec urodził się w Sosnowcu, matka w Warszawie. Świat, z którego przybyli, nie interesował Daniela W. O nic ich nie pytał, żył miłością, nieszczęśliwą na ogół, i pisał o niej długie wiersze.

Po śmierci rodziców zaczął pisać o niezadanych pytaniach. O ulicę, o sąsiada, o dom naprzeciwko. Mamo... pisał. Nie mów mi ważnych rzeczy, opowiadaj o małych.

Ojciec miał na East Endzie fabrykę ubrań. Był pracowity, nie opuścił w swojej fabryce jednego dnia. Wolnego nie wziął nawet na śmierć, umarł podczas urlopu.

Ostatnie słowa ojca Daniela W. brzmiały – Oj wej.

Daniel W. napisał o tym wiersz. Oj wej przybrało w wierszu angielską formę: *oy vay*.

Czy na pewno *oy vay* jest westchnieniem Żyda z Sosnowca?

Daniel W. urodził się w Londynie, ukończył Cambridge, tłumaczy wiersze na język angielski i przyjaźni się z wybitnymi angielskimi poetami. Mimo to nie czuje się Anglikiem.

Jest profesorem na amerykańskim uniwersytecie, ale i Amerykaninem się nie czuje.

Miał nadzieję, że w Sosnowcu poczuje się polskim Żydem. Nie poczuł się.

Pytam Daniela W., co jest jego ojczyzną. Nie waha się z odpowiedzią, zna ją od dość dawna.

Moją ojczyzną są wiersze o niezadanych pytaniach, mówi mi na spacerze nad rzeką Iowa, która jest dopływem Missisipi.

W historii literatury Daniel W. pozostanie tłumaczem i przyjacielem Josifa Brodskiego. A także współtwórcą pisma „Modern Poetry in Translation". Redagował je przez czterdzieści lat, razem z Tedem Hughesem, poetą, mężem Sylvii Plath. Którego w filmie o Sylvii zagrał osobiście sam Daniel Craig. ©

Daniel Weissbort „From Russian with Love. Joseph Brodsky in English", London 2004

Daniel Weissbort „Inscription", New York 1993

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TP Historia: WIŚLNA 12

Opowieść o „Tygodniku Powszechnym", czyli wszystkie światy pod jednym adresem

Ponad 75 lat na ul. Wiślnej to 75 lat historii polskiej kultury, polskiego Kościoła, polskiej inteligencji i polskiego dziennikarstwa.
W wydaniu:

- prawdziwa historia „Tygodnika" i jego zespołu
- wiele niepublikowanych dotąd zdjęć i nowe teksty
- piszą i rysują m.in. ks. Adam Boniecki, Kalina Błażejowska, Olga Drenda, Anna Goc, Stefan Kisielewski, Ryszard Koziołek, Michał Kuźmiński, Stanisław Lem, Bartosz Minkiewicz, Sławomir Mrożek, Michał Okoński, Paweł Sołtys, Ewa Szumańska, Leopold Tyrmand, Marcin Wicha.

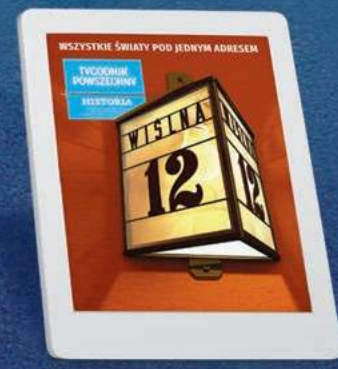

weź, czytaj!

Wydanie dostępne jako ebook na powszech.net/wislna12

TYGODNIK POWSZECHNY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

PARTNERZY WYDANIA

WYDANIE WSPIERA

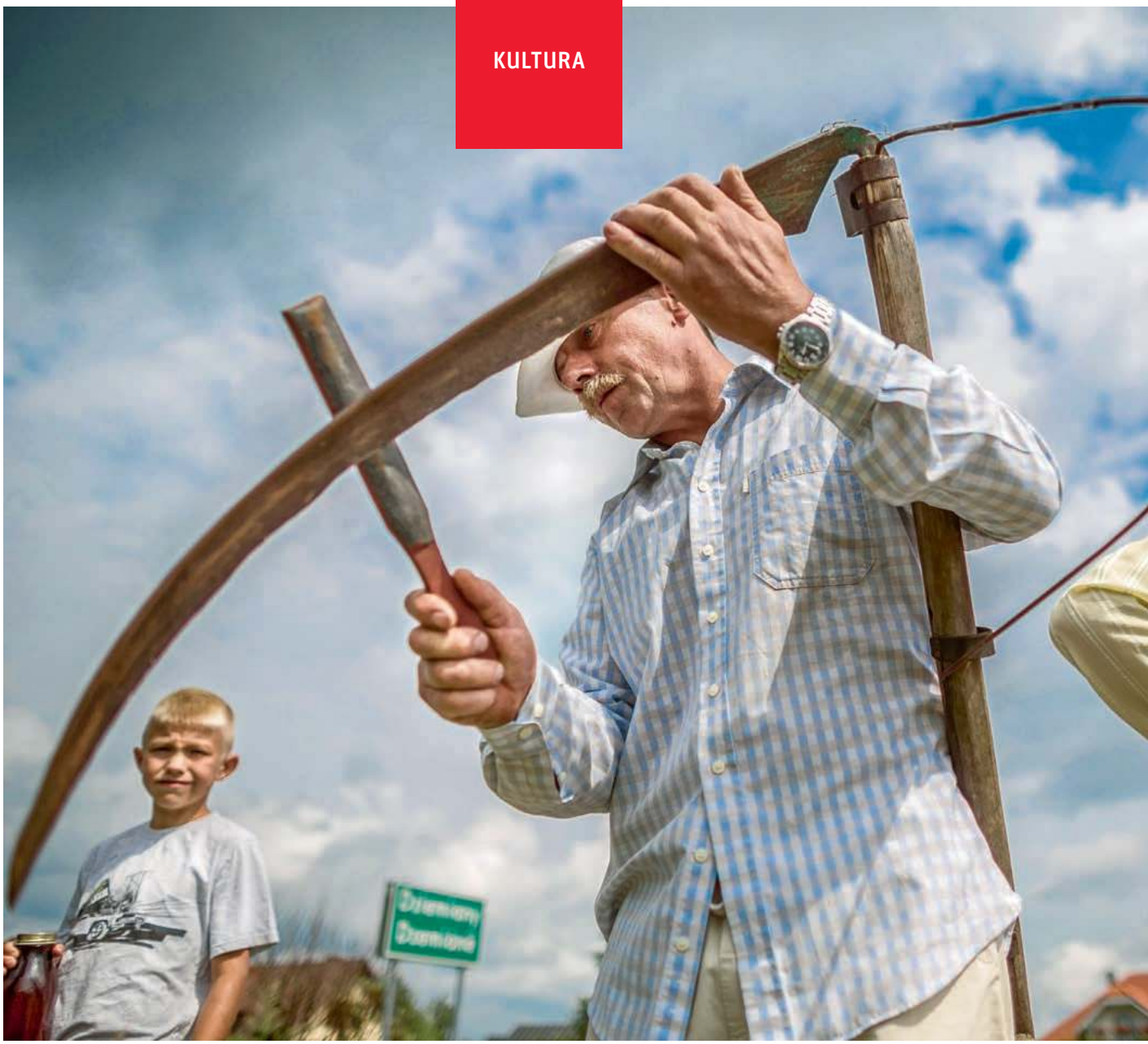

HISTORIE WSTYDU

Przemocowy światopogląd odłożył się w ciałach i umysłach nas wszystkich. Stąd beztroska, z jaką pewne zachowania nazywamy „chamskimi" i pewne osoby „ciemnymi".

MACIEJ JAKUBOWIAK

DANIEL FRYMARK / FORUM

Mistrzostwa Polski w koszeniu, Dziemiany, lipiec 2016 r.

Kiedy w drugiej klasie liceum przerabiałem na polskim „Chłopów" Władysława Reymonta – musiałem mieć wtedy jakieś siedemnaście lat i wolałem Kurta Vonneguta – do głowy mi nie przyszło, że czytam o swoich przodkach. Dyskutowaliśmy o cyklicznym rytmie życia, tak różnym od naszego, o bliskości ziemi, nieco brutalnych zwyczajach miłosnych, a nawet o przywiązanym do materii światopoglądzie, w którym nie było miejsca na wyższe idee, jakim oddawaliśmy się na lekcjach.

Kiedy po szkole odwiedzałem babcię, czasem opowiadała mi o swoim życiu, biedzie, głodzie, o wcześnie zmarłej matce i o złej macosze, opowiadała o robotach przymusowych podczas wojny i o tym, jak układała sobie życie po tym wszystkim. Te dwie historie nigdy mi się nie skleiły, nawet nie myślałem o tym, że coś je łączy. Bohaterowie znani ze szkoły byli trochę egzotyczni, intrygujący w swojej obcości, którą – na szczęście! – zdążył uchwycić wybitny pisarz. Opowieści babci to był życiowy konkret, choć na tyle prozaiczny, że nie dałoby się o nim porozmawiać w szkole, raczej nie na polskim, na pewno nie na historii. Może dlatego nigdy ostatecznie nie nagrałem ani nie spisałem babcinych opowieści.

Głupi byłem, to jasne, ale na swoje usprawiedliwienie mam to, że cała kultura polska potrzebowała kolejnych siedemnastu lat, żeby na poważnie zająć się historiami, które dotyczą większej części społeczeństwa, choć dotąd nie mieściły się ani w szkolnych programach nauczania, ani w publicznej debacie. Zaczęło się jesienią 2020 r., kiedy ukazały się „Ludowa historia Polski" Adama Leszczyńskiego, „Bękarty pańszczyzny" Michała Rauszera (który to niedługo potem opublikował w wydawnictwie UW bardziej akademicką „Siłę podporządkowanych") oraz „Śladami Szeli, czyli diabły polskie. Wymazana historia Polski" Piotra Korczyńskiego. Dwie ostatnie książki wyszły w redagowanej przez Przemysława Wielgosza (szykuje własną książkę na ten temat) serii Ludowa Historia Polski wydawnictwa RM, w której planowanych jest kilka kolejnych tytułów.

Wydane właśnie „Chamstwo" Kacpra Pobłockiego jest tu raczej składnikiem lawiny niż zwieńczeniem stabilnej budowli. A gdyby dobrze poszukać – i odrobinę przekalibrować optykę – początek tej historii trzeba by przesunąć o dwa lata wstecz: jesienią 2018 r. wyszły „Służące do wszystkiego" Joanny Kuciel-Frydryszak, a w 2019 r. „Instrukcja nadużycia. Służące w XIX-wiecznych polskich domach" Alicji Urbanik-Kopeć i „Aleja włókniarek" Marty Madejskiej.

Obiecywałem sobie, że nie będę tu wymieniał tych wszystkich książek, ale trudno się powstrzymać. Zresztą same ich tytuły sygnalizują zasadniczą zmianę perspektywy. A jest jeszcze literatura: „Baśń o wężowym sercu, albo wtóre słowo o Jakóbie Szeli" Radka Raka, symptomatycznie nagrodzona Nike, i „Pokora" Szczepana Twardocha. Skądinąd jeśli ten ostatni, piewca drogich garniturów i ekskluzywnych samochodów, obwieszcza w felietonie w „Dużym Formacie", że jest spadkobiercą pańszczyźnianych niewolników, to niechybny znak, że w horyzoncie kultury współczesnej doszło do przesilenia.

Poszerzenie pola walki

Co się właściwie stało, że akurat pod koniec pierwszego roku pandemii, kiedy przy okazji rozgorzały w Polsce spory o prawa osób LGBTQ+ i prawa kobiet, tak jakby brakowało nam powodów do emocjonowania się, nagle wybuchła dyskusja o historii ustroju społeczno-gospodarczego, który zakończył się półtora stulecia temu?

Wydawało się, że dobry czas dla tego tematu był dekadę temu, kiedy ukazało się „Fantomowe ciało króla" Jana Sowy, a na deskach Teatru Powszechnego w Warszawie Monika Strzępka i Paweł Demirski wystawiali „W imię Jakuba S.", albo chwilę później, przy okazji „Prześnionej rewolucji" Andrzeja Ledera. Najwyraźniej jednak te dobitne, choć mimo wszystko specjalistyczne wystąpienia, przywracające pojęcie klasy do refleksji historycznej i społecznej, nie wystarczyły, żeby nadać dyskusji impetu. Trzeba było czegoś więcej.

Ktoś złośliwy mógłby powiedzieć, że trzeba było impulsu z Zachodu. Choćby głośnego „Powrotu do Reims" Didiera Eribona, w którym francuski intelektualista opowiada o swoim awansie i relacjach między elitami a klasą robotniczą we Francji. Do tego trzeba by dopisać powieści Édouarda Louisa (zresztą przyjaciela Eribona), niedawno zekranizowaną „Elegię dla bidoków" J.D. Vance'a, ale też „Obcego we własnym kraju" amerykańskiej socjolożki Arlie Russell Hochschild. Jeśli jednak te książki odbiły się głośnym echem w Polsce, to nie (tylko) dlatego, że współtworzyły kolejną intelektualną modę, którą jak najszybciej trzeba było zaadaptować. Powstanie i sukces tych pozycji w ich krajach pochodzenia były efektem w gruncie rzeczy tego samego procesu, który toczył się i w Polsce: powodzenia ruchów politycznych odwołujących się do antyelitarnych sentymentów wśród klas ludowych i robotniczych. I prezydentura Donalda Trumpa, i ruch ↦

↦ żółtych kamizelek, i sukcesy wyborcze PiS – sprawiły, że analiza klasowa znów stała się pilnie potrzebna.

Trudno zresztą byłoby o lepszy dowód na długie trwanie fantazji o dwóch narodach – ideologicznego uzasadnienia pańszczyzny – niż ubiegłoroczne wybory prezydenckie. Reakcje części rozczarowanych ich wynikiem wyborców Rafała Trzaskowskiego (było o nich na tyle głośno, że lepiej ich nie przypominać) brzmiały tak, jakbyśmy mieszkali w XVIII-wiecznym folwarku, a nie w XXI-wiecznej demokracji.

Na to nakłada się nabierająca impetu we współczesnej kulturze polityka tożsamości. Tłumaczy ona nieźle przewijające się w poważnych opracowaniach akcenty osobiste, jak choćby ten z „Bękartów pańszczyzny" Rauszera: „Książka ta powstała ze złości i frustracji". Historia ludowa jest dla wielu zajmujących się nią osób sposobem na odzyskanie, po prostu, historii własnej. Na umiejscowienie swoich przodków w panoramie dziejów tego kraju. A żeby to się udało, trzeba tę panoramę solidnie poszerzyć.

Worek bez dna

Żeby to się mogło udać, trzeba najpierw zapomnieć, jak ta panorama wyglądała do tej pory. Tak jak Kacper Pobłocki, który w „Chamstwie" Rzeczpospolitą epoki pańszczyzny nazywa Polszczą, żeby wytrącić nas z nabieranych od dzieciństwa przyzwyczajeń. Strategia obcego jest nieodzowna, gdy usiłuje się zrekonstruować historię przegranych, a źródła, jakimi się dysponuje, zostały stworzone – lub przynajmniej dopuszczone do obrotu – przez zwycięzców. Ten wątek myśli Waltera Benjamina przewija się w większości opracowań i nie jest przypadkiem, że są one tak gęsto upstrzone cytatami i obudowane tysiącami przypisów. Bo też chodzi w nich nie tyle o odkrycie jakiejś całkiem nowej, nieznanej dotąd historii, ile o opowiedzenie skądinąd dobrze znanych faktów z odmiennej perspektywy.

Na tym właśnie polega ludowość tych historii. Choć ich bohaterami są w większości chłopi i chłopki, nie chodzi tu o folklor, cepelię i kolorowe koguciki. Lud jest tu rozumiany znacznie konkretniej i nowocześniej: jako klasa podporządkowana. A mówiąc już dosłownie: jako ci, którymi rządzono, w odróżnieniu od tych, którzy rządzili. Rauszer przypomina zresztą, że takie rozumienie ludu funkcjonowało w Europie Zachodniej jeszcze w XVIII w., kiedy świadomość istoty różnic klasowych była mniej zawoalowana. Autor „Ludowej historii Polski" ukonkretnia, kogo będzie opisywał: „chłopów, miejską biedotę, kobiety, Żydów". W tym sensie historia ludowa to po prostu historia uciśnionych.

Przyjęcie ich punktu widzenia, a nawet – jak to ujmuje Leszczyński – „oddanie [im] sprawiedliwości", jest warunkiem wstępnym, by w ogóle móc opowiedzieć ich historię. Nie ma tu miejsca na fikcję naukowego dystansu, a badaczki i badacze nawet nie próbują ukrywać swojego zaangażowania. Ale nie ma też co udawać, że nie wiąże się z tym ryzyko idealizacji ofiar i pokusa, by całą tę historię wpisać w prosty schemat złych panów i dobrych chłopów. Leszczyński przypomina, że nie uniknął tego Howard Zinn, autor „Ludowej historii Stanów Zjednoczonych" (która w oryginale ukazała się w 1980 r., ale dopiero w 2016 r. doczekała się polskiego wydania, które skądinąd trzeba by dopisać do listy zachodnich inspiracji).

Autorzy polskich historii ludowych na różne sposoby próbują ominąć to ryzyko. „Ofiary często nie bywają sympatyczne" – zaznacza Leszczyński. Natomiast Pobłocki w „Chamstwie" przekonuje, że ideologia patriarchatu, na której opierała się pańszczyzna, nie mogłaby się utrzymać, gdyby nie obsługiwała też interesów przynajmniej części klasy ludowej. Choć jednocześnie wiele miejsca poświęca rozmontowaniu fantazji o „dobrych panach", których człowieczeństwo miałoby równoważyć fundamentalną przemoc całego systemu. Nie ma tu więc złudzeń, ale nie ma też prostego symetryzmu.

Jest natomiast worek bez dna. Samo przeniesienie uwagi na, jak to wielokrotnie podkreśla Leszczyński, 90 proc. społeczeństwa – w odróżnieniu od tych 10 proc., które było do tej pory głównym przedmiotem zainteresowania – sprawia, że liczba tematów i zagadnień rośnie w postępie geometrycznym. W najprostszym ujęciu chodziłoby o umieszczenie w centralnym miejscu wydarzeń, które dotąd były, mówiąc oględnie, mało znane. Choćby powstania hajdamackiego z 1768 r., które – jak pisze Pobłocki – wyprzedzało ideowo rewolucję francuską i przyczyniło się w dużej mierze do zaborów. A do tego jego stłumienie kosztowało życie blisko dwustu tysięcy chłopów. Na tym tle powstanie listopadowe wydaje się co najwyżej pańską ruchawką.

Propozycją zasadniczego przemyślenia narracji historycznej jest książka Leszczyńskiego – porządna synteza historyczna, ustalająca nową periodyzację dziejów. Ale to tylko jedna z możliwości. Inaczej do tematu podchodzi Rauszer, który w historii śledzi praktyki społecznego i politycznego oporu, natomiast książki Kuciel-Frydryszak czy Madejskiej, raczej reportaże historyczne niż monografie, stawiają w centrum swojego zainteresowania konkretne grupy społeczne. Jeszcze inaczej podchodzi do tematu Pobłocki, który w „Chamstwie" zajmuje się antropologią pańszczyzny. Opisując poszczególne fenomeny – powszechność bicia, wiarę w strzygonie, praktykę kołtuna, niuanse doktryny ariańskiej czy nawet przemiany języka, któremu poświęca wiele błyskotliwych uwag – przede wszystkim usiłuje ustalić, w jaki sposób pańszczyźniany system gospodarczy odciskał się na ciałach, których życie organizował.

Jakby tego było mało, historie ludowe nie rezygnują z osadzenia wydarzeń w Polsce w kontekście globalnym. Świetnego wzoru tego, jak można taką historię uprawiać, dostarczyła książka „Hegel, Haiti i historia uniwersalna" Susan Buck-Morss z 2014 r. Nie przypadkiem Leszczyński rozpoczyna swoją opowieść właśnie od opisu wizyty Kajetana Węgierskiego na Haiti, a Pobłocki – od wydarzeń w amerykańskim Jamestown. W ten sposób autorzy pokazują, że pańszczyzna nie była jakimś nadzwyczajnym wytworem lokalnych stosunków społecznych, ale elementem większego systemu gospodarczego, który przejawiał się też pod postacią amerykańskiego niewolnictwa czy brytyjskiej industrializacji.

Runęła tama, za którą od dekad albo i stuleci gromadziły się tematy – a właściwie: osoby, ciała, imiona, biografie – do-

RADIO KRAKÓW
Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".
Słuchaj nas w Małopolsce:
Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
Krynica Zdrój – 102,1 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | **www.radiokrakow.pl**

magające się uwagi. I teraz naprawdę nie wiadomo, w co ręce włożyć. Najlepiej to chyba widać w „Chamstwie", którego autor w jednym rozdziale potrafi żwawym truchtem przebiec od miejsca rolnictwa w gospodarce, przez kwestie organizacji nowoczesnych państw, po historyczną ewolucję struktur pańszczyzny. I widać w tym niecierpliwość kogoś, kto chciałby za jednym razem opowiedzieć o wszystkim, o czym opowiedzieć trzeba koniecznie, zanim okienko historycznej szansy się zamknie.

Krok dalej

Polemika, jaką ogłosił Maciej Radziwiłł w „Gazecie Wyborczej" w odpowiedzi na felieton Twardocha, ten o niewolnikach, mogła sugerować, że w ludowych historiach Polski chodzi przede wszystkim o rozliczenie dawnych panów i ich potomków. Da się w tym wyczuć ciągłość tego samego myślenia, o którym autorki i autorzy historii ludowych usiłują aktywnie zapomnieć: stawiającego w centrum zainteresowania sprawy szlachty. Być może rozczaruję potomka magnackiego rodu, ale naprawdę nie on tu jest najważniejszy, już nie.

Tak samo jednak nie chodzi o zwykłą podmianę, która na miejscu dotąd zajmowanym przez elity sytuowałaby światopogląd i wartości klas ludowych. Problem polega na tym, że nawet kultura oporu wobec pańskiej przemocy jest produktem tej przemocy. Pobłocki skrupulatnie opisuje, jak praktyki i style życia chłopów służyły dostosowaniu się do warunków stworzonych przez przemocowy system, w którym przyszło im żyć. I że do dziś w ciałach ich potomków potrafią uruchamiać się zmagania z „wyuczonym lokajstwem, tym odruchem, który robi z człowieka cielę, bałwana kłaniającego się w pas, mimo że tego nie chce".

Oczywiście, wiedza o pochodzeniu odruchów już wiele zmienia. Nawet pobieżne zerknięcie do ludowych historii może wprawić w osłupienie, bo uświadamia, że odpowiedzi na wiele pytań dręczących kulturę współczesną tkwią praktycznie na wierzchu. Jak choćby kwestia umiarkowanego, mówiąc delikatnie, zaufania sporej części społeczeństwa do instytucji państwowych. Powstawało wiele, często wyrafinowanych, teorii na ten temat, uwzględniających toksyczne dziedzictwo PRL, spadek po zaborach, niuanse polityki edukacyjnej, zamiłowanie do wódki i kiełbasy. A tymczasem, jak przypomina Leszczyński, jeszcze w początkach XX wieku – mniej więcej wtedy, kiedy rodziła się moja babcia – wielu poważnych ludzi sądziło, że szlachta ma odmienne pochodzenie etniczne niż lud. Skądinąd z wódką to też nie jest wielka zagadka, skoro co najmniej trzy stulecia gospodarki pańszczyźnianej opierały się na, jak to ujmuje Pobłocki, „rozpijaniu polskiego ludu".

> Według Pobłockiego powstanie hajdamackie z 1768 r. wyprzedzało ideowo rewolucję francuską. A jego stłumienie kosztowało życie blisko dwustu tysięcy chłopów. **Na tym tle powstanie listopadowe wydaje się co najwyżej pańską ruchawką.**

Do tego przede wszystkim przydaje się historia – do objaśniania współczesności. Pewnie, dzieje pańszczyzny nie wyjaśnią nam wszystkiego, na pewno nie w świecie kryzysu klimatycznego, ponadnarodowych korporacji i sieci informacyjnych agregujących gigantyczne dane na każdy możliwy temat. Jeśli jednak potrzebujemy dziś także historii ludowych, to nie tylko dlatego, że oświetlają genezę dzisiejszych stosunków społecznych. Dostarczają też wyostrzonych narzędzi do dyskutowania o różnicach klasowych. A to szczególnie przydaje się w sytuacji, kiedy samo pojęcie klasy społecznej przez niemal dwie dekady istnienia III RP było praktycznie zakazane (co zresztą wpędziło nas wszystkich w poważne polityczne tarapaty).

Stawka jest jednak wyższa niż opis i diagnoza. W gruncie rzeczy chodzi o przepracowanie przemocowego światopoglądu, który odłożył się w ciałach i umysłach nas wszystkich – potomków i uciskanych, i uciskających. Jak głęboko on sięga, uświadamia choćby beztroska, z jaką pewne zachowania nazywamy „chamskimi" i pewne osoby „ciemnymi", reaktywując w ten sposób rasistowski światopogląd służący uzasadnianiu wyzysku.

Nie jest też przypadkiem, że w „Baśni o wężowym sercu" Radka Raka, po całej mitycznej przygodzie, którą można by wziąć w nawias, bohaterowie – pan Bogusz i cham Szela – zamieniają się miejscami. Wtedy okazuje się, że gniew i pychę, by rzucić się na istniejące stosunki społeczne, mają tylko panowie. Chłopi natomiast tak mocno uwewnętrznili – zjedli i strawili – pański pogląd na nich samych, że sami z siebie nie są w stanie nic zrobić. Pod tym względem pouczające są też wywiady, w których sam autor wyznaje, że nie chce uwierzyć w swoją chłopską sprawczość. I że po tylu latach – po studiach, po książkach, po przeprowadzce, po Nike – wciąż zmaga się z poglądem, który jest poglądem panów, że cham nic nie może.

Tymczasem historie ludowe, odzwyczajając nas od tego rodzaju automatyzmów, pozwalają pomyśleć o możliwości stworzenia kultury, w której moglibyśmy poukładać sobie wspólne życie poza takimi hierarchiami. Żeby to się mogło udać, potrzebne jest przekroczenie wstydu i znalezienie sposobu na opowiedzenie o własnym doświadczeniu. Szczególnie tym, dla którego dotąd nie było miejsca w sferze publicznej. Wśród wymarzonych – ale już bardziej w zasięgu niż jeszcze przed rokiem – skutków zwrotu ludowego mógłby być i taki, by uczeń szkoły średniej, zamiast zakuwać na lekcjach historii imiona królów i hetmanów, mógł opowiedzieć historię swojej babci. I dzięki temu lepiej zrozumieć, skąd się wzięły odruchy, które poruszają jego ciałem. © MACIEJ JAKUBOWIAK

Kacper Pobłocki, **CHAMSTWO,** *Czarne, Wołowiec 2021*

Autor (ur. 1987) jest redaktorem magazynu „Dwutygodnik". Pochodzi z Żor, mieszka w Krakowie. 18 sierpnia ukaże się jego nowa książka „Ostatni ludzie. Wymyślanie końca świata".

Po przejściach

DARIUSZ KOSIŃSKI

Dwie spóźnione premiery w Starym Teatrze pod nową dyrekcją jasno pokazują dwie całkowicie odmienne drogi. I trzeba mieć nadzieję, że na obu w końcu zatańczymy, jak w „Halce" Anny Smolar.

Dopiero teraz można zobaczyć pierwsze efekty zmiany na stanowisku dyrektora Narodowego Starego Teatru w Krakowie. Waldemar Raźniak właśnie kończy pierwszy sezon, będący z wielu powodów jedynie prologiem. Ale i prolog może być znaczący.

Wybór na to stanowisko reżysera znanego w środowisku raczej z pracy dziekańsko-rektorskiej w Akademii Teatralnej w Warszawie był dla wielu zaskoczeniem. Dla niektórych nawet nieprzyjemnym. Wytykano mu brak doświadczenia w kierowaniu instytucją artystyczną. Twierdzono, że obarczenie go odpowiedzialnością za wyprowadzenie z głębokiego kryzysu jednej z najważniejszych scen polskich to wynik bezradności ministerstwa, które nie miało pomysłu, jak wyjść z twarzą po serii katastrofalnych decyzji.

Dla mnie było to zaskoczenie pozytywne. Raźniaka znam od kilku lat, współpracowałem z nim nawet przy różnych okazjach (najważniejszą był projekt zwieńczony wydaniem angielskiego przekładu „Hamleta" Stanisława Wyspiańskiego przez Globe Theatre w Londynie). Powołanie go na dyrektora Starego Teatru było wiadomością zaskakującą, ale tylko w pierwszej chwili. Ma on wszelkie dane, by być bardzo dobrym dyrektorem repertuarowego teatru dramatycznego o profilu inteligenckim.

Niezwiązany wyraziście z żadną opcją polityczną, gotowy do współpracy z każdym, dobrze zorientowany w środowisku, potrafiący budować relacje z ludźmi, a jednocześnie niemający mocnej pozycji jako artysta, stanowi przeciwieństwo dyrektora Jana Klaty. Zgodnie ze swymi przekonaniami Raźniak będzie realizował to, na czym rządzącym dziś polską kulturą zależy – teatr dramatyczny kulturalnego miasta pozostający poza bieżącymi sporami politycznymi, nieuciekający od aktualnej refleksji i krytyki, ale utrzymujący je na poziomie, który uważa się za właściwy dla „prawdziwej sztuki". No i przede wszystkim różnorodny w taki sposób, że nawet gdy pojawi się w repertuarze jakaś pozycja kłopotliwa, można ją będzie zrównoważyć w wielości innych.

Zrękowiny

Powołany tuż przed otwarciem sezonu, w normalnych warunkach musiałby daremnie tłumaczyć, że kolejne premiery nie są w większości jego pomysłami i że z oceną jego programu trzeba poczekać na sezon następny. Pandemia sprawiła jednak, że nikt nie rozliczał Raźniaka z nieudanej „Jeńczyny", nie traktował jako deklaracji programowej wieczorku epistolarnego „Zbyszka" i „Wisełki". Nawet fakt, że nowy dyrektor dość długo zwlekał z przedstawieniem swoich współpracowników i planów, nie wywoływał gniewnych komentarzy. Mieliśmy co innego na głowie, a Raźniak dostał od pandemii czas na rozmowy, negocjacje, przecieranie szlaków i odbudowywanie mostów.

Swój program ogłosił w maju, już w towarzystwie powołanego nieco wcześniej zastępcy ds. artystycznych Beniamina M. Bukowskiego. Wybór młodego, a już cenionego dramatopisarza i dramaturga to jasny sygnał, że nowa dyrekcja nie będzie się wikłać w przeszłe gry, że proponuje nowe otwarcie, a zarazem pozostaje zdecydowanie w obszarze teatru dramatycznego, mocno opartego na literaturze. Na majowej konferencji padły jasne deklaracje, że „scena narodowa nie może być teatrem autorskim" i że podstawą nowego programu są dzieła ważnych autorów dawnych i współczesnych, proponowane i wystawiane przez już cenionych reżyserów. Taki nieautorski teatr autorów i reżyserów stanowi trzon tradycji, za której centrum uważany jest Stary Teatr.

Dobrze przyjęto też inne propozycje nowej dyrekcji. Z pewnością udanym ruchem było powołanie na stanowisko konsultanta ds. współpracy międzynarodowej świetnie zorientowanego w teatrze światowym Tomasza Kireńczuka, byłego dyrektora programowego festiwalu Dia-

POŻEGNANIE

Ś.†P.

Wacław Kula

Malarz, Scenograf, Taternik
Najlepszy Kolega i Przyjaciel

Waciu, do zobaczenia

Urszula Kenar

MAGDA HUECKEL / MATERIAŁY PRASOWE

Od lewej: Michał Majnicz (Dziemba), Radosław Krzyżowski (Janusz), Magda Grąziowska (Zosia) i Roman Gancarczyk (Stolnik) w spektaklu „Halka" w reż. Anny Smolar, Stary Teatr w Krakowie, czerwiec 2021 r.

log we Wrocławiu, wyrzuconego – jak głosi powszechne przekonanie – pod presją władz centralnych za pokazanie wyklętej „Klątwy" Olivera Frljicia. Byłoby oczywiście przesadą widzieć w tym jakiś buntowniczy gest, ale już znak gotowości do nieunikania potencjalnie kłopotliwych decyzji – tak.

Jeszcze wyraźniejszym znakiem tego typu, natychmiast zauważonym i wybitym na pierwszy plan przez media, była informacja o zaproszeniu do pracy w Starym Teatrze Jana Klaty. Były dyrektor ma jesienią wystawić „Ptaki" Arystofanesa.

Starość nie radość

O ile podanie informacji, że Klata wraca na Jagiellońską, zdecydowanie wzmocniło przekaz o nawiązaniu zerwanych kontaktów i przywróceniu ciągłości tradycji Starego Teatru, o tyle przygotowana z okazji półwiecza premiery legendarnych „Biesów" Andrzeja Wajdy nowa inscenizacja powieści Dostojewskiego ukazała poważny kłopot, jaki owa tradycja dziś stanowi.

Przedstawienie Pawła Miśkiewicza zbudowane jest na mocnej opozycji między „Biesami" historycznymi a współczesnymi. Na początku inscenizacja Wajdy staje się przedmiotem niby-bluźnierczych drwin z anachronicznego teatru oraz z heroicznych opowieści o „złotej epoce" i genialnym reżyserze. Te kpiny podsiąknięte są energią buntu przeciwko teatralnej przeszłości umarłej, ale wciąż powracającej i dławiącej kreatywność nowych pokoleń. Młodzi wykonawcy zrazu próbują się tej upiornej władzy przeciwstawiać, coś tam mówią o sobie i od siebie, strasznie się napinają, przebierają za Jokera i Człowieka Bizona spod Kapitolu, a w końcu, półnadzy, do głośnej muzyki dziko podtańcowują, tworząc obraz nadchodzącej rewolucji „zoomersów". Ale szybko okazuje się, że nie będzie się tu niczego o sobie i od siebie grać.

Koniec końców te dziewczyny charakterne i ci chłopcy śliczni nie byli na trudnych egzaminach wybierani po to, by od siebie coś mówić. Nie po to kończyli, panie tego, Akademię Sztuk Teatralnych. Więc jak im reżyser kazał, to pokrzyczeli sobie trochę, ale potem grzecznie zabrali się za pracowite odgrywanie adaptacji powieści Dostojewskiego zamienionej w ciągnące się niemiłosiernie gadaniny o sprawach niby poważnych, ale najwyraźniej niewiele obchodzących aktorki i aktorów, usiłujących coś grać, ale niewierzących, że coś jeszcze grać się da. Bo przecież nikt już takich „Biesów" jak Wajda nie zainscenizuje i nikt już tak nie zagra Stawrogina jak Jan Nowicki.

Okrutny reżyser nawet tej konfrontacji zespołowi nie oszczędził i pokazał rejestrację fragmentu spowiedzi Stawrogina sprzed pół wieku. No i niestety jest ↦

↦ to jedyne kilka minut żywego teatru w całej tej męczącej grze z dominującą nad wszystkim niemocą.

Skłonny jestem to uznać za świadomą grę inteligentnego i wrażliwego artysty, który widzi wyczerpanie się tego, czemu poświęcił życie, serce i wiarę. Widzi i wie, że „Biesami" i o „Biesach" nie ma już z kim gadać, bo do większości publiczności przebija się tylko parodiowanie Krystyny Zachwatowicz. Usiłuje się temu ze swoją dramaturżką, Joanną Bednarczyk, jakoś przeciwstawić, ale rezultat jest taki, że między zwietrzałą drapieżnością Dostojewskiego a fałszywymi wyobrażeniami o dzikim plemieniu „zoomersów" pojawia się naprawdę stary teatr, w bezradności swojej usiłujący przebić się do czegoś żywego długimi scenami dialogów żywcem wyjętych z przedstawień Krystiana Lupy sprzed lat trzydziestu.

Przygnieciony pamięcią wielkiej przeszłości, ale wyrywający się do młodości, o młodości marzący, po raz kolejny odgrywa swoje wyczerpanie. I robi to nawet uczciwie i wiarygodnie, tylko czemu trzeba ponad cztery godziny celebrować coś, co tak naprawdę było jasne jeszcze przed rozpoczęciem przedstawienia: że – kurczę – już się nie da i nie wiadomo, co by tu zrobić, żeby się dało?

Śmierć nie wesele

Nie wypada przeciwstawiać „Biesom" Miśkiewicza i Bednarczyk „Halki" Anny Smolar i Natalii Fiedorczuk, bo to za łatwe. Ale nie sposób tego nie robić. To przeciwstawienie jest właściwe ze wszystkich względów: pokoleniowych, myślowych, estetycznych, genderowych, muzycznych, czysto okolicznościowych wreszcie („Halka" jest jedną z pierwszych premier zaplanowanych przez nową dyrekcję). „Biesy" to teatr wyczerpania, będący rozbudowaną inscenizacją patetycznego gestu wykonywanego tuż przed śmiercią przez sztukę, której czas minął. „Halka" odmawia wykonania tego gestu.

Przeprowadzając proces przepracowania płciowych i kulturowych ról wpisanych przez mężczyzn w libretto i muzykę „opery narodowej" (rzeczywiście przerażenie ogarnia na myśl, że taka historia jak „Halka" ma ten status), Anna Smolar zarazem szuka sposobu na ocalenie sztuki scenicznej jako narzędzia pozwalającego nie tylko na takie krytyczne operacje (to już umiemy na pamięć), ale też na coś więcej – na otwarcie możliwości uwolnienia.

Zaczyna się tam, gdzie „Biesy" padły z wyczerpania – zostawia daleko za sobą mgły sceniczne lat 90., a nawet bluźniercze gesty „nowego teatru", i startuje z pozycji pełnego energii, ironii i lekkości zrelacjonowania fabuły opery Moniuszki i Wolskiego. Zabawne i rebelianckie zarazem przepowiedzenie i odegranie „Halki" odartej z „narodowych" i orkiestrowo-głosowych ubogaceń obnaża wpisane w nią ofiarnicze schematy i demaskuje pozór buntu, który zgodnie z melodramatycznym wzorcem musi być ukazany jako indywidualnie usprawiedliwiony, ale społecznie zanegowany i ukarany.

Energia aktorska i muzyczna (świetny elektroniczny duet kobiecy Enchanted Hunters) zdaje się płynąć z uświadamiania sobie, w co postacie tego dramatu są wpisywane, ale zarazem – w sposób oczywisty – z tego, co aktorki i aktorzy Starego Teatru znakomicie już umieją, bo uczyli się tego od Klaty, Strzępki czy Rubina. Takie krytyczne i satyryczne przenicowania znanych scenariuszy mają w małym palcu i wykonują tak mistrzowsko, że nic tu nikomu nie przeszkadza, nic tak naprawdę niczego nikomu nie robi.

Rzecz toczy się gładko do punktu, który wszyscy już z zapowiedzi znają: Halka (Aleksandra Nowosadko) odmawia samobójczego skoku, choć wszyscy bardzo ją do niego namawiają i pomagają w jego odpowiednio efektownej inscenizacji. Zamiast się utopić, Halka deklaruje, że będzie jak Teosia Pytko (ten monolog to niestety wyjątkowo słaby fragment scenariusza, sprowadzający wybuchowy potencjał historii małżeństwa Wyspiańskich do prostackiego schematu). Działająca gładko i precyzyjnie maszyna spektaklu zatrzymuje się. Pozostali na scenie aktorki i aktorzy zaczynają to zacięcie ucieleśniać i wykonują przygotowany przez Zofię (Magda Grąziowska) weselny „układ", tańcząc długo i mechanicznie jak zepsute laleczki z pozytywki.

Druga część spektaklu opowiada zasadniczo o tym, co działo się po domniemanym skoku Haliny, albo też – co działoby

OGŁOSZENIA

Przed Sądem Rejonowym w Tychach I Wydziałem Cywilnym pod sygn. akt I Ns 128/21 toczy się sprawa z wniosku Róży Kobylarz o stwierdzenie nabycia spadku po Edwardzie Kobylarzu, s. Michała i Martyny, zm. 10 lutego 1992 roku w Tychach, którego ostatnim miejscem zwykłego pobytu były Tychy. W skład spadku wchodzi nieruchomość położona przy ulicy Sublańskiej nr 88 w Tychach, dla której Sąd Rejonowy w Tychach prowadzi księgę wieczystą KA1T/00011165/1.

Sąd wzywa, aby spadkobiercy w ciągu trzech miesięcy od dnia publikacji ogłoszenia zgłosili i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Sąd Rejonowy w Lubaczowie I Wydział Cywilny w sprawie sygn. akt I Ns 301/20 z wniosku Stanisława Myśliwego o zasiedzenie niezabudowanych działek: nr 1922 o powierzchni 0,4659 ha, nr 1923 o powierzchni 0,0080 ha i nr 1924 o powierzchni 0,9939 ha, położonych w Dachnowie, gm. Cieszanów, powiat lubaczowski, które nie mają urządzonej księgi wieczystej – wzywa wszystkie osoby roszczące sobie prawa do tych nieruchomości, aby w terminie trzech miesięcy od dnia zamieszczenia ogłoszenia zgłosiły swój udział i udowodniły swoje prawa do przedmiotu zasiedzenia.

Przed Sądem Rejonowym w Tarnobrzegu toczy się pod sygnaturą I Ns 567/20 postępowanie z wniosku Prokury Niestandaryzowanego Sekurytyzacyjnego Funduszu Inwestycyjnego Zamkniętego we Wrocławiu o stwierdzenie nabycia spadku po Jacku Garbosiu, s. Leona i Zofii, zm. 8 listopada 2015 r. w Dębicy, o ostatnim miejscu zwykłego pobytu w miejscowości Stale, gm. Grębów.

Sąd Rejonowy w Tarnobrzegu wzywa spadkobierców, aby w ciągu trzech miesięcy zgłosili i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

się po nim, gdyby akcję „Halki” przenieść we współczesność. Zofia i Janusz (Radosław Krzyżowski) męczą się w domu, który kupili najpewniej za pieniądze Stolnika (Roman Gancarczyk). Usługują im Dudziarz (Alicja Wojnowska) i Jontek (Łukasz Stawarczyk), wychowujący córeczkę Halki i Janusza, na której utrzymanie ten łoży, ukrywając zarazem przed żoną, że to jego dziecko. Wszyscy panowie, z możliwym wyjątkiem Dziemby (Michał Majnicz), malutką uwielbiają, czego dowodem jest długa i ciepło-śmieszna scena kąpania dziecka.

Jednym słowem, jesteśmy w świecie telenoweli, świadomie nudnej, choć granej z wyczuciem. Energia z pierwszej części znika, przedstawienie traci swoją wcześniejszą dynamikę i atrakcyjność. Można nawet mieć poczucie, że oto po rezygnacji z „dawnej, dobrej konwencji” scena pozostaje z niczym, męcząc widzów obrazami rzekomej rzeczywistości, będącymi jednak tylko kolejnym zestawem poodwracanych nieco schematów.

Na szczęście Halina wraca, a wraz z nią wraca teatr jako świadomie używany zestaw strategii i taktyk, który nie stanowi opozycji wobec jakiejś „rzeczywistości”. Nikt tu się nie łudzi, że rezygnacja z dominującej konwencji automatycznie odsłania „prawdę”. Rzeczywistość międzyludzka, społeczna i kulturowa jest zbudowana ze scenariuszy, ról i występów, więc teatr to nie jej przeciwieństwo, ale zasada. A jeśli tak, to przez odpowiednie operowanie jego procedurami i narzędziami można zniewalające mechanizmy rzeczywistości rozmontować. Uwolnić się – choćby na chwilę – spod władzy przyjętych nieświadomie i świadomie, a zawsze ograniczających ról. Poczuć się lekko i swobodnie.

> Rzeczywistość jest zbudowana ze scenariuszy, ról i występów, więc teatr to nie jej przeciwieństwo, ale zasada. Przez odpowiednie operowanie jego procedurami **można zniewalające mechanizmy rozmontować.** Poczuć się lekko i swobodnie.

Taką też scenę lekkości i swobody inscenizują (a może nawet urządzają sobie) twórcy krakowskiej „Halki” w jej finale. Otwiera go kluczowa dla przedstawienia, a nieobecna i niemożliwa w „operze narodowej” scena spotkania i porozumienia dwóch „rywalek”: Halki i Zofii. Co ważne, finał jest tańczony i śpiewany: najpierw wszyscy stopniowo włączają się w sekwencję ruchową wykonaną przez Tancerkę (Karolina Kraczkowska), a następnie śpiewają o unoszącym ich poczuciu wyzwolenia.

Poczucie uwolnienia, które rozlewa się na widownię (nawet jeśli rozlewa się tylko j a k o p r a g n i e n i e), wywołane jest przez ucieczkę od dramatu do ruchu i brzmień. Muzyka Enchanted Hunters oraz choreografia Pawła Sakowicza w finale wysuwają się na pierwszy plan, przejmują scenę, zmieniają ustawienia i reguły. Anna Smolar pozbawia ten akt patosu, szczególnego napięcia, efektu kulminacji. Jej „Halka” nie jest wszak przedstawieniem „krytycznym”: piętnującym opresję – ale pedagogicznym: wskazującym na pracę do wykonania. Feministyczny bunt antypatriarchalny stanowi jej oczywiste zaplecze, ale główny cel to praca nad sobą, praca pewnie trudna i wymagająca, jednak możliwa do wykonania, w naszym zasięgu.

Aktorki, a może jeszcze bardziej (co sugeruje reżyserka w wywiadach) aktorzy „Halki” taką pracę wykonali i teraz pokazują ją nam, dowodząc, że jest możliwa. Przedstawienie stanowi rodzaj zachęcającej i atrakcyjnej instrukcji. Czy spróbujemy ją zastosować, to inna sprawa, ale – i to wydaje mi się bardzo ważne – twórcy „Halki” nie dają nam usprawiedliwienia, jeśli tego nie zrobimy. Nie inscenizują niemożności i nienaruszalnej władzy wykluczających schematów, nie angażują energii w psychopatycznie powtarzalne odgrywanie traum. Wykonują określoną pracę i pokazują, jak ją wykonać. Jeśli Janusz zatańczył, to i ty możesz.

© DARIUSZ KOSIŃSKI

TYGODNIK POWSZECHNY
Podkast Powszechny

Zapraszamy do słuchania autorskich cyklów podkastów „Tygodnika Powszechnego”

Własny pokój
rozmowy Katarzyny Kubisiowskiej o kobiecej niezależności

#DOM
rozmowy Krzysztofa Storego o małej ojczyźnie

Opowieści z Izraela
korespondencje Karoliny Przewrockiej-Aderet

Miesiąc w nauce
z autorskim przeglądem newsów naukowych Łukasza Lamży

Punkt zwrotny
Katarzyna Kubisiowska i jej goście

Sztuka powszechnie nieznana
Magdalena Łanuszka odkrywa dla nas na nowo średniowieczne dzieła

Więcej bezpłatnych podkastów do odsłuchania na **powszech.net/podkast**

SALESmanago marketing automation

weź, słuchaj!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

BRENDON HEINST / MATERIAŁY PRASOWE

Channa Malkin, luty 2021 r.

Kołysanka dla matki

DOROTA KOZIŃSKA

Nie ma pożytków z zapominania. Umiejętność zderzenia się z bólem, przepracowania cierpienia – jest sztuką, którą powinniśmy praktykować sami i wpajać naszym dzieciom.

Dla bandy urwisów, kopiących się po kostkach i ciągnących dziewczyny za warkocze w naszej podstawówce, wojna była wydarzeniem równie odległym, jak dla Polaków urodzonych w pandemii będzie kiedyś misja Polskiego Kontyngentu Wojskowego w Afganistanie albo sukcesy Adama Małysza na olimpiadzie w Salt Lake City. Na nieuprzątniętych jeszcze gruzach świetnie bawiło się w Indian, widok wojennych inwalidów i powykręcanych krzywicą trzydziestolatków nikogo specjalnie nie dziwił, dziadkowie woleli nam opowiadać o dobrych czasach sprzed wojny. O to, żebyśmy nie zapomnieli tego, czego i tak nie mogliśmy pamiętać, zadbali wychowawcy i nauczyciele.

Zimnowojenną propagandą spod znaku „nigdy więcej" karmiono nas na każdym kroku. Co miesiąc odwiedzał nas w klasie groźny pan żołnierz, pokazywał okropne przeźrocza i udzielał instrukcji postępowania na wypadek nalotu, wybuchu bomby jądrowej lub ataku biologicznego. W podziemiach szkoły krył się wzorcowo wyposażony schron przeciwatomowy. Na lekcjach polskiego katowano nas czytankami, których dziecięcy bohaterowie bez wyjątku ginęli od kul gestapo bądź umierali z wycieńczenia i chorób w obozach.

Tylko o Zagładzie ani słowa: wciąż mam w pamięci wstyd, kiedy dyrekcja wezwała rodziców na poważną rozmowę, bo w pierwszej klasie narysowałam noc rozgwieżdżoną sześcioramiennymi gwiazdami.

Wszystko zrozumiałam później. Zostało mi jednak przeświadczenie, że w czasie wojny, zarazy i klęski głodu świat zastyga jak na nieostrej, czarno-białej fotografii. Byłam już dorosła, kiedy zagnało mnie w kilka stref współczesnych konfliktów. Dotarło do mnie, że nawet tam ludzie potrafią się śmiać, kochać, łączyć w pary i przyrządzać uczty z niczego. Że i w przeszłości, w chwilach wytchnienia od największej grozy, życie toczyło się w miarę normalnie.

To odkrycie, stosunkowo niedawne, pomogło mi przetrwać w całkiem niezłej formie także obecny kryzys pandemiczny. Trzeba po prostu wyważyć między bezpieczeństwem ogółu a względnym komfortem funkcjonowania na co dzień. Tylko jedno nie mieściło mi się w głowie: jak w takiej sytuacji wychować nowo narodzone dziecko? Jakim cudem wykrzesać z siebie tyle spokoju, pogody i miłości, by weszło w życie nienaznaczone traumą, a jednak mądrzejsze o doświadczenia z kryzysu, dzielne, zaradne, ale zarazem wrażliwe i pełne empatii?

Szukaj, znajdź

Mały Ezra przyszedł na świat jeszcze przed pandemią. Jego mama, holenderska sopranistka Channa Malkin, miała już za sobą operowy debiut w partii Barbariny w „Weselu Figara" Mozarta (w wieku niespełna siedemnastu lat) oraz pokaźny dorobek koncertowy w bardzo szerokim repertuarze, począwszy od muzyki barokowej, skończywszy na tradycyjnych pieśniach sefardyjskich. Jej nazwisko pojawiło się także w programie jubileuszowego Festiwalu Händlowskiego w Getyndze, który miał być jednym z najjaśniejszych punktów mojego ubiegłorocznego sezonu recenzenckiego. Śpiewaczka zwróciła się do mnie w lutym 2020 r., za pośrednictwem wspólnej znajomej z Amsterdamu, z prośbą o pomoc w poszukiwaniu nut cyklu pieśni Mieczysława Wajnberga do słów chilijskiej poetki Gabrieli Mistral.

Zaintrygowała mnie. Nie znałam tych pieśni. Dość szybko udało mi się ustalić, że noszą numer opusowy 110 i powstały w roku zamachu stanu, kiedy władzę w Chile, po samobójstwie Salvadora Allende, objęła junta wojskowa pod dowództwem generała Pinocheta. W wykazie kompozycji Wajnberga na stronie Pol-

skiego Centrum Informacji Muzycznej ich nie ma. Pomiędzy dwiema operami z lat 1972 i 1975, oznaczonymi odpowiednio jako op. 109 i op. 111, zieje niewytłumaczalna luka. W toku dalszych poszukiwań trafiłam na dane kontaktowe pewnej tłumaczki, reprezentującej niezależne wydawnictwo nutowe w Hamburgu, które opublikowało faksymilia kilkudziesięciu rękopisów Wajnberga, w tym pieśni do tekstów Mistral. Przekazałam adresy i telefony Channie Malkin i zaoferowałam dalszą pomoc, jeśli kontakt okaże się niewypałem.

Trzy tygodnie później Europa stała się epicentrum pandemii. Zamarło życie publiczne i gospodarka. Instytucje kultury masowo odwoływały przedsięwzięcia planowane nie tylko na drugą połowę sezonu, ale i kolejne lata. Nie pojechałam do Getyngi. Nie poznałam osobiście Channy Malkin i nie usłyszałam jej śpiewu na żywo. Czasem wracałam pamięcią do naszej internetowej rozmowy, nie spodziewałam się jednak, że fascynacja Malkin zapomnianym cyklem pieśniowym Wajnberga przetrwa próbę czasu. Niesłusznie.

Kolejną wiadomość od śpiewaczki dostałam przeszło rok później, na początku kwietnia. Okazało się, że skierowałam ją pod właściwy adres. Sopranistka zdobyła nuty utworu, na którego nagranie wpadła przypadkiem, przetrząsając sieć podczas jednej z bezsennych nocy z półrocznym Ezrą. Mało tego: miesiące pandemicznej izolacji poświęciła na przygotowanie płyty, na której znalazły się także kompozycje innych twórców. Nagrania dokonała z dwojgiem przyjaciół, Artemem Belogurovem, pianistą i wirtuozem historycznych instrumentów klawiszowych, oraz wiolonczelistką Mayą Fridman. Obiecała przysłać krążek, kiedy się tylko ukaże.

Płyta dotarła pod koniec maja. Przepięknie wydana, zarejestrowana w sali Filharmonii w Haarlemie, w ultranowoczesnym formacie Digital eXtreme Definition, dla małej wytwórni TRPTK z Utrechtu. Najpierw zaczęłam słuchać: interpretacji subtelnych, zniuansowanych emocjonalnie, eksponujących nie tylko treść, ale i czysto muzyczne walory kompozycji. Zachwycił mnie lekki, przejrzysty, nieskazitelny technicznie sopran Malkin i uważny, wspierający akompaniament towarzyszących jej instrumentalistów. Dopiero później pochyliłam się nad ogólną koncepcją albumu. I doznałam olśnienia.

Channa Malkin nazwała swoją płytę „This is not a lullaby" – „To nie jest kołysanka". Zadedykowała ją swojemu synowi, postanowiła jednak wyjść poza utarty schemat lulania dziecka do snu. Z zawartych w nagraniu utworów wysnuła wielowątkową, nieoczywistą opowieść o doświadczeniu dziecięctwa i rodzicielstwa, przekazaną głosami poetów, którym nie zawsze było dane doczekać się własnego potomstwa, głosami kompozytorów, którzy przekuli w dźwięk pamięć, traumę, chorobę, wyrzuty sumienia, macierzyństwo i ojcostwo ujęte w szerszą perspektywę ludzkiego bytu na ziemi.

Każdej morze się dostanie

Podstawą cyklu Wajnberga są teksty chilijskiej poetki z wydanego w 1924 r. zbioru „Czułość". Gabriela Mistral (1889–1957) przyszła na świat jako Lucila Godoy Alcayaga, w andyjskim miasteczku Vicuña, w mieszanej rodzinie indiańsko-hiszpańsko-baskijskiej. Jej ojciec był nauczycielem, ale też wędrownym palladorem, poetą-włóczęgą, klecącym wiersze przy okazji obchodów tradycyjnych świąt ludowych. Opuścił swoje kobiety na dobre, zanim Lucila skończyła trzy lata. Od tamtej pory dziewczynka chowała się ze starszą blisko o pokolenie siostrą przyrodnią, zaharowaną matką i szukającą pociechy w religii babką, która karmiła ją magicznymi opowieściami miejscowych i wersetami z Psalmów Dawida.

W wieku piętnastu lat Lucila postanowiła zostać nauczycielką – idąc w ślady nieobecnego ojca i być może nadmiernie obecnej siostry Emilii. Mimo braku odpowiednich kwalifikacji podjęła pracę jako pomoc nauczycielska w Compañia Baja na przedmieściach La Serena. Wkrótce potem, w roku 1904, zadebiutowała jako poetka w lokalnej gazecie „El Coquimbo". Dwa lata później opublikowała na tych samych łamach artykuł poświęcony bolesnym ograniczeniom w edukacji chilijskich kobiet.

Nie miała jeszcze dwudziestki, kiedy jej życie pękło na dwoje i potoczyło się zgoła odmiennymi torami. Ten pierwszy, tragiczny, który odebrał jej nadzieję na szczęśliwy związek i macierzyństwo, biegł szlakiem pierwszej miłości do kolejarza Romelia Urety, zmarłego samobójczą śmiercią dwa lata po zaręczynach, oraz kolejnego, równie fatalnego zauroczenia znajomym literatem. Ten drugi zaprowadził Gabrielę Mistral – która ukuła swój pseudonim z połączenia nazwisk dwóch ulubionych poetów, Gabriela D'Annunzio i Frédérica Mistrala – na szczyty kariery oświatowej, w kulisy wielkiej dyplomacji, a w 1945 r. na ceremonię wręczenia Nagrody Nobla „za poezję prawdziwego uczucia, czyniącą jej imię symbolem idealistycznych dążeń dla całej Ameryki Łacińskiej". Mistral była piątą kobietą laureatką w historii nagrody Akademii Szwedzkiej w dziedzinie literatury i do dziś pozostała jedyną z regionu Ameryki Łacińskiej.

Kołaczą mi się po głowie ostatnie linijki jej wiersza „Każda zostanie z nas królową", opublikowanego w przekładzie Aleksandry Olędzkiej-Frybesowej przeszło trzydzieści lat temu, bodaj w „Literaturze na Świecie": „Nasze nad ziemią panowanie tak wielkie będzie i prawdziwe, że każdej – morze się dostanie". Gabrieli Mistral z pewnością dostało się morze matki jałowej, walczącej o dobro nie swojego potomstwa: magicznej matki spełniającej się w pisaniu, pochylającej się nad niedolą dzieci zrodzonych z kazirodczych związków, porzucanych przez ojców, oddawanych przez matki do burdeli, niechcianych, żyjących w cieniu przemocy, nałogów i wszechobecnej korupcji.

I co, że będzie gorzej

Wajnberg zadedykował te smutne pieśni swojej córce Annie. Pomny doświadczeń rodziców, którzy po kiszyniowskim pogromie 1903 r., w którym według oficjalnych carskich statystyk zginęło 49 Żydów, przeszło 500 zostało rannych, splądrowano 700 domów i 600 sklepów, postanowili przenieść się do Warszawy. Pomny własnych doświadczeń z 1939 r., kiedy jako jedyny z rodziny uciekł na Wschód i ocalał – ojciec Samuel, matka Sonia i siostra Estera zostali w kraju. Po internowaniu w getcie łódzkim wylądowali w obozie koncentracyjnym w Trawnikach na Lubelszczyźnie. Zginęli podczas osławionej Operacji „Dożynki", przeprowadzonej 3 listopada 1943 r. na rozkaz Himmlera.

Channa Malkin przyszła na świat w poniekąd lepszych czasach, w rodzinie żydowskiego skrzypka urodzonego w radzieckim Tbilisi, który w trakcie studiów ↦

↦ w Moskwie postanowił wyemigrować do Izraela. W Tel Awiwie poznał przyszłą żonę: wspólnie podjęta decyzja, żeby spędzić studencki *gap year* w Holandii, zaważyła na całym ich wspólnym życiu. Osiedli w Amsterdamie. Josef Malkin przepracował przeszło ćwierć wieku w legendarnej orkiestrze Concertgebouw. Próbował też swoich sił – z niemałym sukcesem – jako kompozytor.

Channa Malkin wybrała na płytę pięć ojcowskich pieśni do tekstów rosyjskich, począwszy od przewrotnego listu pięciolatka do matki, skreślonego piórem Ilii Selwińskiego, żydowskiego modernisty rodem z krymskiego Symferopola, aż po rozdzierające wiersze Borysa Ryżego, tragicznego przedstawiciela „straconego pokolenia", które dorastało w cieniu rozpadu ZSRR, próbowało zakładać rodziny, płodziło dzieci, po czym wieszało się po pijaku we własnych mieszkaniach.

Album zamyka sześć pieśni Johna Tavenera do poezji Anny Achmatowej. W obszernym, pięknie napisanym wstępie Channa Malkin zręcznie uprzedza pytania, co te utwory mają wspólnego z macierzyństwem. Ano niewiele, przyznaje śpiewaczka. Za to mnóstwo z samymi matkami – szukającymi w życiu jakiejkolwiek inspiracji poza rolą narzuconą im przez miłość i biologię, rozumiejącymi aż nadto dobrze, że dziecko rozliczy je z czasem nie tylko z rodzicielskiej troski i czułości, ale też z lekcji człowieczeństwa.

Nie ma pożytków z zapominania. Nie ma pożytków z wyparcia, które bezpowrotnie oddziela świadomość od uczuć, od wspomnień, choćby traumatycznych, od żywych impulsów i pragnień na przyszłość. Umiejętność zderzenia się z bólem, przepracowania cierpienia – jest sztuką, którą powinniśmy praktykować sami i wpajać naszym nowo narodzonym dzieciom, zwłaszcza w czasach kryzysu.

Mały Ezra skończył niedawno dwa lata. Pewnie już rozumie ostatnią zwrotkę „Kołysanki" Anny Achmatowej. Było źle i będzie gorzej, biedom nie ma końca. Ale może Ezra się biedom sprzeciwi, kiedy dorośnie. Matka nie kazała mu zmrużyć oczek. Dała mu odwagę, żeby je otworzył na wszystkie nieszczęścia świata.

© DOROTA KOZIŃSKA

Apetyt na jabłka

ANITA PIOTROWSKA

Może trzeba zaakceptować wyczyszczenie twardego dysku i skorzystać z szansy, jaką jest nowe otwarcie? W końcu pamięć bywa przekleństwem.

Spowici mgłą mózgową, doświadczeni chwilową utratą takich czy innych zmysłów, powracający z niepewnością i lękiem do świata bezpośrednich relacji międzyludzkich – zobaczą w tym filmie jakże znajome odbicia. Zwłaszcza że tłem „Niepamięci" jest tajemnicza epidemia, która nie tylko pogrąża swoje ofiary w wiecznym zapomnieniu, ale i zmusza do nauki nowego życia. Od samych podstaw, pod ścisłą kontrolą inżynierii społecznej.

O takich filmach jak debiut Christosa Nikou mówi się, że swoją wizją wyprzedzają czas. Niby wiadomo, że powstawał przez sześć lat i że widz filmowy posiada nieuświadomioną skłonność do projektowania własnych doświadczeń na ekran. Mimo to futurystyczna historia Arisa (w tej roli Aris Servetalis), który podobnie jak wielu innych ateńczyków stracił nagle pamięć, zawiera wiele niezamierzonych aluzji i linków do współczesności.

Najbardziej znajomo przemawia jednak nie tyle fabuła, co wychłodzona aura tego filmu i swoisty efekt obcości. Oto pozbawiony pamięci bohater zostaje wypuszczony ze szpitala w ramach programu „Nowa tożsamość". Będzie odtąd żył w nowym bezpłciowym mieszkaniu, nosił „normikowe" ubrania i socjalizował się pod dyktando kontrolujących go funkcjonariuszy. Instrukcje obsługi życia idealnie przeciętnego odsłuchuje Aris z dostarczanych mu regularnie kaset magnetofonowych. Odbudowie mają ulec także jego wspomnienia, stąd wymóg, by każdą swoją aktywność utrwalał za pomocą polaroidu, zdając tym samym relację z czynionych postępów na drodze ku normalności.

Jednym z takich zadań ma być wyprawa na bal przebierańców i nie jest przypadkiem, że bohater występuje tu w pokracznym stroju astronauty, a towarzyszy temu elektroniczna muzyka znana z kosmicznego westernu „Legenda Kaspara Hausera" (2012) Davide'a Manulego. Powrót do życia towarzyskiego w sytuacji, gdy amnezja objęła również wszelkie jego niepisane reguły, zaiste ma w sobie coś z podróży na obcą planetę.

Nikou buduje z czarnych dziur niepamięci cały swój świat przedstawiony. Nie wiadomo i właściwie nieważne, co było wcześniej – może w tym akurat przypadku lepiej nie pamiętać? Może trzeba zaakceptować wyczyszczenie twardego dysku i skorzystać z szansy, jaką jest nowe otwarcie? W końcu pamięć, jak słyszymy w jednej ze scen, bywa czasem przekleństwem. Grecki film obywa się w tych rozważaniach bez efektownych fajerwerków i wręcz unika narracyjnych łamigłówek dostarczanych przez amerykańskie kino spod znaku „Memento". W ramach egzystencjalnego resetu po prostu przeprowadza swego bohatera przez kolejne inicjacyjne progi: pierwsza jazda na rowerze, pierwsza wizyta w kinie, skok do basenu, pierwsza randka z dziewczyną...

Z czasem jednak autorzy programu zaczynają wystawiać na próbę uśpioną czy może raczej zapomnianą emocjonalność bohatera. Bo kiedy Aris poznaje Annę (Sofia Georgovassili), dziewczynę o wiele bardziej zaawansowaną w mechanicznym uczeniu się życia, zaczyna dostrzegać trybiki w systemie programującym zachowania pacjentów. Lecz ten dobrze znany z kina motyw: buntu jednostki przeciwko bezdusznemu matriksowi, na długo pozostaje w sferze potencjalności czy ledwie sugestii. Nawet jeśli u dzisiejszego widza wzbudzi niechybne skojarzenia z chińskim systemem zaufania społecznego, projektującym za pomocą ciągłej ewaluacji punktowej nowego, ulepszonego człowieka.

Twórcę „Niepamięci" bardziej niż straszenie totalitarnymi socjotechni-

NOWE HORYZONTY / MATERIAŁY PRASOWE

Aris Servetalis w filmie „Niepamięć”

kami interesuje bowiem to, co wydarza się z ludźmi i między ludźmi – jak bardzo po amputowaniu pamięci stają się podatni na manipulacje i różnego rodzaju przeszczepy wspomnień. I jak dalece technologia, zwłaszcza fotograficzna, wpływa na kreowanie pamięci, zapośredniczając ją i zwalniając nas z samodzielnego zapamiętywania. Co ciekawe, Nikou przebrał nasz dobrze znany cyfrowy terror w zgrzebną analogową szatę. Wykreował świat pozornie znajomy, ale zanurzony w mitycznym bezczasie, w retrodystopii pełnej staroświeckich gadżetów, zamkniętej w równie oldskulowym, kwadratowym niemal kadrze.

Równocześnie bywa w swych dywagacjach bardzo powściągliwy – zdecydowanie woli otwieranie niż dopełnianie znaczeń. Reżyser, który ongiś terminował na planie „Kła” Yorgosa Lanthimosa, zdaje się tu nieodrodnym synem greckiej Nowej Fali, znanej z wyśrubowanego minimalizmu, zdystansowanej kamery, aktorstwa z kamienną twarzą i krytyki społeczno-politycznej schowanej pod cienką warstwą surrealizmu czy metafor. Z materiału, jaki nakręcił, zapewne równie dobrze dałoby się wykroić trzydziestominutową etiudę, lecz film, będący zresztą polską koprodukcją, z ascetycznymi zdjęciami Bartosza Świniarskiego, anegdotę traktuje raczej umownie.

Dostajemy rzecz o przełamywaniu izolacji i dystansu społecznego, o powtórnej nauce bliskości. Tej prawdziwej i niezaprogramowanej, z całą jej goryczą i bólem. A tym, co spina Arisa z jego utraconą normalnością, niesie pocieszenie i skłania do poszukiwania straconego czasu, są w filmie... jabłka. Ich smak, zapach i nazwa, których, o dziwo, nie zapomniał. Jabłka znajdują się także w oryginalnym tytule filmu i pysznią się w niejednej scenie. Pozbawione mitologicznych czy biblijnych odniesień, stają się u Nikou najbardziej pierwotnym symbolem życia, jego smaków i zapachów. Chwile, kiedy Aris zatapia w nich zęby, to bodaj jedyne zmysłowe fragmenty filmu, przełamujące jego sztuczną, sterylną aurę i kwaśny humor. I, jakkolwiek enigmatycznie to zabrzmi, właśnie dzięki jabłkom ów dojrzały wiekiem mężczyzna, upupiony przez wirus amnezji i zarządzający nią system, gotów będzie uchylić rąbka gęstej mgły i skonfrontować się wreszcie ze swoim brakiem.

Grecki debiutant przyznaje w wywiadach, że scenariusz pisał pod wpływem własnej żałoby (film zadedykował zmarłemu ojcu), i w tym małym, niskobudżetowym dziele wyczuwa się ów ludzki ton. Pozornie nieskończona kraina absurdu, stworzona przez jego nowofalowych rodaków – Lanthimosa, Athinę Rachel Tsangari czy Babisa Makridisa – już teraz wydaje się dla twórcy „Niepamięci” zbyt ciasna. Nie wystarcza mu tragikomiczna wizja Aten, gdzie wykasowano wspomnienia, toteż nie ma komu opłakiwać straty, a nową pamięcią zarządza Wielki Brat. Nikou szuka w tej kostycznej opowieści bardziej intymnych szczelin i czulszych dotknięć. ©

NIEPAMIĘĆ *(Mila) – reż. Christos Nikou. Prod. Grecja/Polska/Słowenia 2020. Dystryb. Stowarzyszenie Nowe Horyzonty. W kinach od 25 czerwca.*

WARTO ZOBACZYĆ

1. Jakub Józef Orliński i Il Pomo d’Oro

Koncert, reż. Patrick Lauzé, Francja 2018, Mezzo, 25 VI, 20.30, 29 VI, 18.50

Polski kontratenor wraz z europejską orkiestrą pod batutą Francesca Cortiego wykonuje muzykę późnego baroku. W programie utwory Johanna Davida Heinichena, Arcangela Corellego, Antonia Vivaldiego, Jana Dismasa Zelenki, Nicoli Faga i Johanna Adolpha Hassego. Miejsce nagrania to Théâtre Impérial w Compiègne.

2. Jimmy Carter, rockandrollowy prezydent

Dokumentalny, reż. Mary Wharton, USA 2020, Nowe Horyzonty VOD

Dziś już wiemy, że muzyka popularna może ocieplić wizerunek polityka. Pod koniec lat 70. rozpoznał to przyszły prezydent USA z ramienia Demokratów, zjednując sobie przychylność m.in. Boba Dylana, Williego Nelsona czy Johnny’ego Casha. W zabawny, ale i solidnie udokumentowany sposób film pokazuje, jak rockowa *soft power* została z sukcesem wykorzystana w kampanii Cartera.

3. Najczystszy jest popiół

Dramat, reż. Jia Zhangke, Chiny 2018, CDA Premium

Już po tytułach jego filmów widać, że twórca „Martwej natury” i „Dotyku grzechu” sięga po gatunkowy sztafaż, żeby powiedzieć coś więcej o naturze ludzkiej. Pośród gangsterskich porachunków, w scenerii dzisiejszych, gwałtownie modernizujących się Chin, umieszcza historię młodej kobiety zaplątanej emocjonalnie w brutalną rzeczywistość.

4. Niezwyciężona

Dokumentalny, Polska 2021, HBO GO, od 24 VI

Dziś znana jest bardziej z występów w telewizji, choć jeszcze niedawno święciła triumfy jako zawodniczka MMA czy kickboxingu, trzykrotnie zdobywając tytuł mistrzyni świata. Filmowy portret Joanny Jędrzejczyk ukazuje ją zarówno na ringu, jak i w życiu prywatnym. Przynosi zapis morderczego wysiłku fizycznego i psychicznego, jaki towarzyszy karierze sportowej sięgającej samych szczytów.

JAN

Klata:
Światełko w tunelu

Jak wiadomo od zarania dziejów, sytuacja ludzkości jest nie za dobra. Mimo dużej aktywności słonecznej wielce rozsądnym byłoby przyszłość wszystkiego widzieć raczej czarno.

Na szczęście jest piłka nożna. Oto Stephen O'Donnell – szkocki obrońca mający w dorobku występy w niezbyt tytanicznych barwach Partick Thistle, Luton, Kilmarnock i Motherwell – wyłączył z gry jedną z najjaśniejszych gwiazd najsilniejszej ligi świata. Jack Grealish miał być mózgiem naszpikowanej talentami reprezentacji Anglii, ale jakoś kompletnie nie mógł się skupić i raczej przeszedł obok meczu... Dlaczego? Wskutek nader wywrotowej strategii meczowej opiekującego się nim O'Donnella. Oto, zamiast kopać, szczypać i opluwać zdolniejszego przeciwnika, postanowił on zadziałać subtelniej i skuteczniej. Zaszedł Grealisha fortelem, od najsłabszej strony, i zamiast wzmagać jego sportową złość brutalnostkami... bez przerwy go komplementował. Zaczął z grubej rury: „Uwielbiam twoje łydki!". Rzeczywiście, Grealish wszystko ma ładne, ale łydki najpiękniejsze, i wie o tym, eksponując je za pomocą wiecznie zsuniętych skarpet oraz braku ochraniaczy. Jednakowoż na łydkach się nie skończyło: „Ale piękne włosy. Świetnie się czeszesz. Jaki stosujesz żel? No i ten uśmiech... Jesteś superprzystojny, Jack!". O'Donnell szeptał bez przerwy, a adresat kraśniał. Efekty pozytywnej strategii Szkota nie dały na siebie długo czekać i rozbrojony Grealish zalśnił na Wembley tylko żelem i łydkami, pomimo że miał od 60. minuty Szkotów dobić.

Jestem głęboko przekonany, że gdy Szkocja przejdzie dalej i skonfrontuje się z Portugalią, będziemy mieli najważniejszą konfrontację w historii futbolu: Stephen O'Donnell *versus* Cristiano Ronaldo. O wynik jestem spokojny. Narcyz jest bez szans, nawet jeśli nie pije coli. Oczywiście, piłka jest najważniejsza, jednak teksty typu: „Fenomenalny tors, Vladimir", „Super fryzura, Kim", „Kapitalny wąs, Recep" – zmienią świat na lepszy. O'Donnell jutrzenką nowego jutra! Zło musi zmiękną w obliczu pozytywnego podejścia. ©

Lektor:
Przestroga z przeszłości

▪ *Umberto Eco*
CMENTARZ W PRADZE
Przełożył Krzysztof Żaboklicki,
Oficyna Literacka Noir sur Blanc,
Warszawa 2021, ss. 570.

W 1980 r. pewien czterdziestoośmioletni włoski filozof i teoretyk literatury, naukowiec o uznanym dorobku, wydał pierwszą powieść – tak zaczęła się oszałamiająca kariera Umberta Eco jako powieściopisarza. Oficyna Noir sur Blanc uczciła 40. rocznicę tego wydarzenia, wznawiając „Imię róży" wyjątkowo pięknie i ze szlachetną prostotą: poręczny format, dobry papier, barwione brzegi kart, a jako ilustracje – rysunki autora. Teraz w podobnym kształcie ukazało się drugie polskie wydanie „Cmentarza w Pradze".

To arcydzieło narracyjnych powikłań, wariacja na temat XIX-wiecznych sensacyjno-kryminalnych powieści w odcinkach, łączy grę literacką ze zdecydowanie głębszym i nadzwyczaj ponurym znaczeniem. W dodatku opiera się na faktach – jak zapewnia autor, „jedyną w tej książce postacią wymyśloną jest jej główny bohater, Simone Simonini" (mający *nota bene* sobowtóra), choć i on „w jakiś sposób istniał naprawdę", a nawet wciąż „obraca się wśród nas".

Złowrogie bowiem i zabójcze w sensie dosłownym dziełko, którego powstanie jest głównym tematem „Cmentarza...", a którego entuzjastycznym czytelnikiem był Hitler, mimo wyjaśnionego niezbicie pochodzenia, wciąż znajduje bezkrytycznych odbiorców. Mowa o „Protokołach Mędrców Syjonu", falsyfikacie, za którym stała carska Ochrana. Eco przypomina jego źródła: antynapoleoński pamflet Maurice'a Joly'ego, powieść Eugeniusza Sue, której negatywnymi bohaterami byli... jezuici, i jeszcze jedną powieść, autorstwa niemieckiego grafomana występującego jako John Retcliffe, w której pojawia się scena spotkania dwunastu rabinów na praskim cmentarzu żydowskim; radzą oczywiście nad tym, jak przejąć władzę nad światem. Z właściwą sobie porażającą erudycją Eco odmalowuje wiek XIX jako czas rozkwitu paranoicznych teorii spiskowych i myślenia o świecie społecznym jako mechanizmie wprawianym w ruch przez ukryte siły.

„Cmentarz w Pradze" ukazał się w 2010 r. Dzisiaj, w erze triumfów QAnonu, ten demaskatorski traktat o myśleniu spiskowym i źródłach nowoczesnego antysemityzmu ubrany w kostium powieściowy nabiera nowej aktualności. I jedyne, co mnie podczas lektury uwierało, to zderzenie między pastiszowo-groteskowym tonem narracji a grozą, jaką budzą wywody Simoniniego. Cóż z tego, że absurdalne i wewnętrznie sprzeczne, skoro i dzisiaj znalazłyby gorliwych słuchaczy. ©℗

PAWEŁ

Bravo:
W butelkę

Cztery miliardy dolarów – tyle kosztował koncern Coca-Cola jeden prosty gest. Kosztował tylko teoretycznie, nikomu przecież pieniądze z kieszeni nie wypadły: w ten metaforyczny sposób dziennikarze obsługujący abstrakcyjny świat giełd opisują fakt, że akcje firmy staniały na moment o 1,6 proc. A zatem jej kapitalizacja, czyli wartość wszystkich akcji będących w obiegu, spadła o tę właśnie kwotę. Miliardy po prostu robią większe wrażenie na nas niż procenty, a czy w ogóle dużo to, czy mało, trudno bez kontekstu stwierdzić. Faktem bezspornym i jedynym dla nas tu ciekawym było to, że kurs faktycznie drgnął: zamiast stu trybunów ludowych i setki pikiet związkowych jeden człowiek na moment zakleszczył tryby turbokapitalizmu.

Zaznaczmy od razu: nie byle człowiek, tylko piłkarz, i to z tych najsławniejszych. Cristiano Ronaldo podczas konferencji prasowej ostentacyjnie odsunął od siebie dwie butelki coli, podnosząc za to wysoko tę z wodą – dla podkreślenia jeszcze dodając po portugalsku, ale w sposób zrozumiały w całym romańskim świecie: *agua!* Wolałbym, żeby zakrzyknął: *vino!* Ale wiem, że sportowcom nie wypada mówić dobrze o alkoholu i pokazywać, że go piją, chyba że chodzi o piwo – futbol, przynajmniej ten skomercjalizowany i globalny, siedzi w kieszeni u browarników. W zeszłą sobotę wieczorem pracowicie płukałem z piachu i darłem na strzępy liściowego buraka i jarmuż na pierwszą w tym roku ribollitę – a wiecie, że tej potrawy, tak jak bigosu, nie robi się w małej ilości, zatem ledwo mnie było w kuchni widać zza góry zielska. Mimo tego doszedł do mnie stłumiony odgłos spazmów z zewnątrz – i na chwilę zapragnąłem stać się częścią meczowej wspólnoty. Zanim jednak serwis telewizji sportowej wpuścił mnie na sewilskie boisko, musiałem ścierpieć trzy albo cztery reklamy okropnego, przemysłowego piwa, którego do ust nie biorę, więc nie doczekałem, zwłaszcza że internet w telefonie się rwał, a zupa się sama nie ugotuje.

Z innych – to znaczy religijnych, nie smakowych – powodów butelkę sponsorskiego piwa odsunął ze stołu Paul Pogba. Zdaje się, że na tym materiał do strzelistych aktów piłkarzy się wyczerpał. Wprawdzie obaj panowie swoją wzgardę dla coli i piwa wyrażali na tle ścianki pełnej plakietek innych dobrodziejów turnieju, ale nie ma wśród nich więcej producentów napojów czy choćby jakichś niezdrowych ciastek. Gdyby jednak następni zawodnicy poczuli mus lub owczy pęd, to można im pomóc, stawiając na stole stosowne emblematy. Volkswagen – to proste, ładny model garbusa; linie lotnicze Qatar – zgrabny samolocik. Ale dalej zaczynają się schody. Ogłaszam konkurs: czy jesteśmy w stanie na poczekaniu wymyślić, jaka figurka powinna symbolizować Gazprom? Tak żeby Robert Lewandowski na konferencji po zwycięskim finale miał za co złapać i cisnąć w kąt, mówiąc: „Palcie w piecu tylko polskim węglem!”.

Powiecie, że to łatwizna – zbywać wszystko cynicznie jako teatr cieni. Że jeśli naprawdę choć tysiąc dzieciaków odstawi colę na parę tygodni, będzie to kropla dobra w sprzedajnym morzu. Może ten cynizm to unik przed konstatacją faktu, że system się domknął, chyba że ktoś ma na posesji studnię i pije tylko wodę wyciągniętą z niej ocynkowanym wiadrem albo gotuje na niej kompocik z zerwanych za domem truskawek. Co rano, tuż po wstaniu, piję szklankę lekko podgrzanej do temperatury ciała wody. A żeby uzupełnić poziom elektrolitów, wlewam do kubka Muszyniankę lub którąś z podobnych wód z Krynicy czy Piwnicznej. Żadna z nich nie należy do globalnego koncernu i raczej nie wykupi pakietów sponsorskich UEFA. Ale gdy pomyślę, że jakiś tir przez 400 kilometrów wiezie dla mnie wodę w dużej ilości plastiku, trochę mi schodzi powietrze z dumnego balonu.

A jest to sprawa dziś bardzo paląca – w czas upałów mamy święty obowiązek dużo pić i jest to ten moment, kiedy szczególnie możemy paść ofiarą oszukańczych obietnic „orzeźwienia” miksturami witamin i minerałów. O dodanej glukozie producenci, owszem, piszą, ale drobnym drukiem. Tymczasem jeśli naprawdę musimy się dosłodzić, zróbmy sobie ten kompot z truskawek. A gdyby tak na chwilę zostawić „wody z gór” i podrasować kranówkę? Weźmy jej szklankę z odrobiną soli kuchennej i ćwiartką cytryny. Wystudzony napar z suszonych owoców róży, tarniny, derenia i czarnej porzeczki – w dowolnej proporcji i kombinacji – to dla mnie hit tego lata: jest lekko kwaskowy, co kluczowe, by uśmierzyć pragnienie, do tego pobudzająca cierpkość, a nawet garbniki z zasuszonych skórek. Robi się sam, wystarczy z rana zalać w dzbanku parę łyżek suszu litrem wrzątku i odczekać.

Kiedy Ronaldo mówi *agua*, my po galicyjsku odpowiemy „szprycer”. Jak to będzie po portugalsku „lód i bąbelki z domowego syfonu”? Istnieje długowieczny spór, czy oprócz białego wina dodać też plaster cytryny – ja jestem za, bo tak głosi kontrakt reklamowy, który zawarłem ze swoim smakiem. ©℗

Wymyślić lepszą lemoniadę od kanonicznego połączenia wody, cytryny i mięty (plus lód, oczywiście, i ewentualnie cukier) wydawało mi się jak poprawianie wynalazku koła. Aż kiedyś spróbowałem bazyliowej. Zagotowujemy syrop cukrowy w proporcjach 1:1, tzn. 100 g cukru w 100 ml wody, bardzo uważając, bo rozgrzewa się powyżej stu stopni i może pryskać. Gasimy ogień, wrzucamy solidną garść (20-30) listków bazylii, zostawiamy do zmacerowania na parę godzin, wyjmujemy listki, odciskamy je na sitku. Tak otrzymany syrop dajemy z umiarem do wody z cytryną i lodem. Niestety nie jest bardzo trwały, nawet w lodówce psuje się po paru dniach.

ADOBE STOCK

FORMUŁA TAYLOR SWIFT

Trzy lata temu ówczesna brytyjska premier Theresa May utworzyła w swoim rządzie stanowisko ministra samotności. Jej śladem poszły kilka miesięcy temu władze Japonii, zaniepokojone liczbą samobójstw.

MONIKA OCHĘDOWSKA

To jest czas Taylor Swift. Ledwie opuściła galę najważniejszych dla amerykańskich twórców muzyki rozrywkowej nagród z trzema złotymi gramofonami (ma ich dziś łącznie jedenaście), a już zaczęto plotkować, że jesienią wróci po kolejne. Kilka tygodni temu nawet sceptyczni wobec zagranicznych produkcji Brytyjczycy intronizowali piosenkarkę, uznając ją za globalną ikonę popkultury. Wyspiarski przemysł fonograficzny typuje najbardziej wpływowych muzyków od prawie pięćdziesięciu lat, w tym czasie tytuły arcyważnych przyznano m.in. Davidowi Bowie, Ericowi Claptonowi, Johnowi Lennonowi, grupom Queen i U2.

Nucący na co dzień „Imagine" czy „Space Oddity" mogliby oczywiście wzruszyć ramionami na pochodzącą z Pensylwanii gwiazdę. Albo zaufać, że dostrzeżenie w jej twórczości symptomu globalnego trendu może okazać się trafne, a kapituła ma nosa, bo piosenki Tay Tay równie mocno jak niegdyś przeboje Beatlesów odzwierciedlają ducha swoich czasów. Nie tylko tego, który przenika muzykę popularną – ale od niej zacznijmy.

Obsesyjna jedna nuta, motyw ten uwięził ją

Jak napisać przebój? Chwytliwa piosenka rzadko jest dziełem przypadku. Jak scenariusz dobrego hollywoodzkiego filmu, ma ona swoją ściśle określoną strukturę – to żadna tajemnica. Niemiecki producent i youtuber Friedemann Findeisen od kilku lat podpowiada młodym kompozytorom, jak podążać za trendami. Z chirurgiczną precyzją algorytmów, analizując zapisy nutowe piosenek trafiających na szczyty list przebojów, Findeisen wykazał np., że skomponowane są w ogromnej większości na jedną nutę. Naturalnie, Beatlesi też mają na swoim koncie takie utwory („Baby, You're Rich Man"), ale współczesnym wzorcem konwencji jest według Findeisena wydany w 2014 r. album „1989" Taylor Swift, który przyniósł jej aż osiem nominacji do nagród Grammy.

Zamieszczone na płycie piosenki napisane są wprost według starej recepty „One Note Samba" Antônia Carlosa Jobima: to, co stanowi ich rdzeń, to jedna, powtarzana w kółko nuta – inne zmuszone są po prostu do towarzyszenia jej. Findeisen – prezentując na swoim kanale wypłaszczone jak elektrokardiogram umierającego pacjenta zapisy nutowe kolejnych utworów „1989" – nazwał ten model „formułą Taylor Swift". Nie próbujcie grać tego w domu, uśmiecha się youtuber, bo odkryjecie, że przy tej pozbawionej jakiegokolwiek napięcia muzyce naprawdę powinniśmy zanudzić się na śmierć. A jednak sprawia nam przyjemność – Spotify podpowiada, że tylko w ostatnim miesiącu Swift miała ponad 40 milionów słuchaczy.

Istotne wydaje się także to, o czym ikona muzyki pod tę jedną nutę śpiewa. Tekst największego przeboju „1989", piosenki „Blank Space" (ponad 500 mln odtworzeń w Spotify), przypomina fundamentalne zasady Zakonu Jedi: pozostań *cool*, bo emocje i namiętności przenoszą na ciemną stronę Mocy. Brzmi to mniej więcej tak: „Skarbie, mimo długiej listy kochanków mam w sobie pustkę. Miłość to tylko gra, czy naprawdę uważasz, że warta jest bólu? Krzyk, płacz, kłótnie – w końcu zepsuję wszystkie twoje plany. Jeśli to, co jest między nami, zajdzie zbyt daleko, przestaniemy oddychać. Zamiast się ranić, zostańmy przyjaciółmi".

W porównaniu do starych rockowych kawałków, które fundowały nam emocjonalny rollercoaster, muzyka Taylor Swift, zarówno w płaskim zapisie nutowym, jak i wzbraniających emocji tekstach (numer 2 na Spotify to „You Need To Calm Down", czyli „Uspokój się"), zostawia nam mnóstwo pustej przestrzeni oraz iluzję, że możemy się w niej urządzić po swojemu. Przebój „Cardigan" z wydanego w zeszłym roku albumu „Folklore", składający się z wielu osobnych, powtarzalnych elementów, w którym nie ma już typowego podziału na zwrotki i refren, przypomina raczej kręcącą się w kółko karuzelę niż kolejkę górską. W takim podejściu do komponowania można doszukiwać się eksperymentu porównywalnego do tego, którego sto lat temu dokonał radziecki reżyser Lew Kuleszow. Zmontował on pozbawioną emocji twarz aktora z talerzem zupy, bawiącą się dziewczynką i leżącą w trumnie kobietą. Okazało się, że widzowie za każdym razem przypisywali tej samej, obojętnej fizys różne emocje – odpowiednio głód, radość bądź smutek.

INSTAGRAM / EAST NEWS

Taylor Swift, listopad 2019 r.

Z efektu Kuleszowa świadomie korzystają dziś twórcy masowej rozrywki. „Dobry film zamiast wyniku daje widzom równanie", mówił kilka lat temu na konferencji TED reżyser wytwórni filmów animowanych Pixar, Andrew Stanton. „Nigdy nie pokazujcie, że dwa plus dwa równa się cztery. W miejsce wyniku zostawcie puste miejsce" – przekonywał. To puste miejsce to nic innego jak ślad po niemodnych namiętnościach. Przypomnijmy sobie tylko, jak często widzieliśmy emocje na twarzy Frances McDormand w najgłośniejszym obrazie minionego roku, nagradzanym od Wenecji (Złote Lwy) po Los Angeles (trzy Oscary) filmie „Nomadland".

Obsesyjna jedna nuta mówi ci, że jesteś sam

Dostępny od kilku miesięcy na Netfliksie serial „Nowy wspaniały świat" na motywach powieści Aldousa Huxleya nie zebrał najlepszych recenzji. Wystudiowane orgie, dystopijna scenografia, polityczny kontekst (emisja serialu zbiegła się

↦

↦ z wyborami prezydenckimi w USA) oraz technologiczne nowinki z wkładaną do oka soczewką podłączoną do sieci włącznie („to wszystko już było") przesłoniły najmocniejszy punkt serialu – niezwykle subtelnie zilustrował on utopie i mechanizmy kultury masowej, ze zmieniającą się rolą muzyki włącznie.

Zacznijmy od początku tej historii. Bernard Marx, przedstawiciel najwyższej kasty mieszkańców Nowego Londynu (tzw. alfa-plus), zostaje wezwany do rozwiązania zagadki samobójstwa jednego z wychowanych do całkowitego posłuszeństwa epsilonów. Chodzi nie tyle o zbadanie okoliczności jego śmierci, ile o fakt, że w ogóle doszło do sytuacji, w której ktoś targnął się na swoje życie. „Nowy świat" urządzono bowiem tak, by nie pozwalać ludziom na zbyt silne emocje, podwyższające ryzyko przeniesienia na ciemną stronę Mocy.

Dokładnie jak w piosence Taylor Swift, Nowy Londyn nie zna żądzy i zazdrości, nikt nie próbuje się zakochać i nie cierpi z powodu nieodwzajemnionych uczuć, mieszkańcom obce są również smutek i depresja. Wszystko za sprawą chemicznego regulowania emocji, które umożliwia łykana nieustannie soma. W zachowaniu dyscypliny pomagają też uskuteczniany od przedszkola proces warunkowania oraz sztywne zasady rządzące społecznością: żadnej prywatności, monogamii, ani tym bardziej – rodziny. Romantyczne relacje zastąpione zostają reżyserowanymi orgiami, mającymi zaspokajać pożądanie i dawać przyjemność (słowo klucz nowego świata). W dobrym tonie jest nie kochać się kilka razy z tą samą osobą – ciało powinno służyć społeczności, każdy należy do wszystkich.

Twórca terminu „feminizm", autor *nomen omen* „Nowego miłosnego świata", żyjący na przełomie XVIII i XIX w. socjalista utopijny Charles Fourier, był przekonany, że jednym z warunków szczęśliwego życia jest spełnienie seksualne. Tyle że w społeczeństwie Harmonii, które zaprojektował, seks nie był już ani czymś intymnym, ani nie należał do pary kochających się osób – stawał się publicznym rytuałem, w którym ciała przysługiwały wszystkim, którzy mogliby ich zapragnąć. Mieszkańcy Nowego Londynu żyją nie tylko utopiami Fouriera. Poza miastem utrzymują rezerwat „dzikich" praktykujących „prymitywne" rytuały, takie jak rodzenie dzieci czy zawieranie małżeństw. Objeżdżające park rozrywki wycieczki oświeconych londyńczyków dowiadują się, że prowadzące do monogamii uczucia skutkują wyłącznie cierpieniem. Bohaterka serialu, Lenina, nie zdając sobie sprawy z reżyserowanego przebiegu większości zdarzeń, przez moment wierzy jednak, że to właśnie tam, „w stanie natury", mogłaby być prawdziwie szczęśliwa. Reprezentowana przez nią nostalgia to oczywiście nic innego, jak ulokowana w futurystycznej scenografii melancholia osiemnastowiecznych sielanek.

Lenina zaczyna nie tylko eksperymentować z somą, potajemnie unikając jej zażywania. Wdaje się także w romans z jednym z dzikich, ostatnim, który potrafi kompulsywnie i zazdrośnie kochać. John nie tylko cierpi z powodu nieodwzajemnionych uczuć, słucha także zakazanej w Nowym Londynie muzyki. Zakazanej, jak się możemy domyślać, z co najmniej dwóch powodów – po pierwsze może ona wzbudzać emocje i oddziaływać na nie (dziki słucha wymarłego jak jego gatunek rocka), a po drugie, słuchanie muzyki (w słuchawkach, jak robi to John) służy do odgrodzenia od świata zewnętrznego, uniknięcia interakcji społecznych. Separacja sprzyja depresji, a ta – jak wiemy – nie jest w Nowym Londynie akceptowana.

To również z powodu samotnego słuchania muzyki z najnowszych przebojów znika refren, służący niegdyś budowaniu wspólnoty poprzez głośny śpiew na koncertach. Raz, że w ciągu ostatniego roku było to niemożliwe, a dwa – muzyka, którą dzisiaj kupujemy głównie w serwisach streamingowych, walczy o naszą uwagę od pierwszych sekund, artyści nie mogą sobie pozwolić na zmuszanie słuchaczy do cierpliwego czekania na chwytliwy moment następujący aż po zwrotce.

Krytycy „Guardiana" i „New York Timesa" zobaczyli w „Nowym wspaniałym świecie" przede wszystkim nagość, uznając „aseptyczne" sceny orgii za chybione – prześlepiając fakt, że wyprana z namiętności seksualność od dawna nie jest spotkaniem tylko dwóch ciał, ale stanowi sposób odtwarzania hierarchii społecznych, zwłaszcza gdy jest „wolna". To ciało jako siedlisko rozkoszy jest głównym bohaterem tego serialu. Ciało zmuszane do wystawienia się na widok innych (wystarczy przywołać kontekst aplikacji randkowych), definiowane przez konieczność dokonywania ciągłych wyborów („potrzebujesz nowego partnera" – słyszy od przełożonych Lenina) i dążenia do zastępującej reprodukcję przyjemności („weź udział w orgii" – namawia przyjaciółka). To nie dystopia, ale rzeczywistość – sentymentalna fantazja dzikich o absolutnej miłości stała się w naszej kulturze tematem politycznie niepoprawnym, a na pewno takim, o którym nie wypada głośno śpiewać.

Jednocześnie idea seksualnego wyzwolenia pozostaje jednym z ostatnich w naszym świecie przejawów myślenia utopijnego – odwołują się do niej partie i ruchy społeczne walczące o prawa kobiet i mniejszości (w serialu to bunt epsilonów, któremu przewodzi John), garściami czerpią z niej także rynek i popkultura (w „Nowym wspaniałym świecie" reprezentuje ją postać Helm Watson, szefowej Instytutu Inżynierii Emocyjnej, scenarzystki i producentki tzw. czuciofilmów).

Już w pierwszym odcinku twórcy serialu prezentują jednak spore pęknięcie w tej ostatniej z utopii. Wyobrażenie uwolnionej z obowiązków spoczywających na nuklearnej rodzinie pary jako ludzi będących ze sobą do możliwego w każdej chwili odwołania, autonomicznych, wolnych od wszelkiego niepokoju i opierających wyłącznie na sobie samych jest możliwe tylko na chwilę, w parze z somą. Po wyskoczeniu z kolorowej jak pigułki karuzeli dobrego samopoczucia narasta w mieszkańcach poczucie izolacji, lęku i niestabilności – także ekonomicznej. Gdy grupa epsilonów na czele z Johnem niszczy rozlewnię somy, w Nowym Londynie dochodzi do rabacji.

Ostatni odcinek pozostawia nas z pytaniem, czy w nowszym, jeszcze wspanialszym świecie, który zbuduje Lenina, seks należałoby ponownie związać z emocjami, czy może w ogóle z niego zrezygnować. Ten dylemat, którego nie zdradzi nam kolejny sezon serialu (ze względu na kiepskie recenzje nie zdecydowano się na jego kontynuację), od lat roztrząsa współczesny romans – aby się o tym przekonać, wystarczy sięgnąć po bestsellery młodej irlandzkiej pisarki Sally Rooney. Swoje polecenie na okładce jej książki zamieściła oczywiście sama Taylor Swift – a ja naprawdę wierzę, że „Rooney czyta w jej myślach".

Twoje lęki, w tym jednym dźwięku

W Polsce opublikowano najpierw „Normalnych ludzi". Chronologicznie to druga książka Rooney – laureatki British Book Award, nominowanej także do prestiżowego Bookera. W 2020 r. BBC wyemitowało cieszący się ogromną popularnością serial na motywach tej powieści, w Polsce można go obejrzeć na platformie HBO. To historia miłosna (biednego, urodzonego w robotniczej, rozbitej, ale kochającej się rodzinie) Connella i (uprzywilejowanej, bogatej, samotnej) Marianne – dwójki chodzących do tej samej szkoły licealistów, a potem studentów dublińskiego Trinity College. Powieść odniosła sukces nie tylko dlatego, że jest doskonale skonstruowanym romansem, w którym parę uwikłanych w tryby hierarchii społecznych bohaterów, niczym średniowiecznych Tristana i Izoldę, los nieustannie od siebie odsuwa, nieznośnie (ale jakże rozkosznie) odwlekając *happy end*. Siłą „Normalnych ludzi" jest to, że są jak nowoczesna baśń – stanowią „kognitywną mapę" pomagającą odnaleźć czytelniczkom i czytelnikom sens ich własnych doświadczeń.

Eva Illouz, izraelska socjolożka zajmująca się przemianami współczesnych związków i emocji w książce poświęconej kontrowersyjnym „50 twarzom Greya", zauważyła, że bestsellerami stają się przede wszystkim takie teksty, które „wyrażają problematyczne warunki społeczne zagrażające jednostce w jej dążeniu do takich celów jak bezpieczeństwo, szczęście czy zamożność". Dzięki podejmowanej przez bohaterów powieści próbie znalezienia wyjścia z tego ambarasu czytelniczki i czytelnicy śledzący ich perypetie mają poczucie, że książka Rooney wskazuje im (jak poradnik – król literatury naszych czasów) możliwe sposoby na odnalezienie się w chaosie relacji i porządków społecznych.

Debiutanckie „Rozmowy z przyjaciółmi" Rooney (BBC kupiło już prawa do serialu) rozpracowują zatem wszystkie relacje będące po rozpadzie nuklearnej rodziny w fazie ciągłych przeobrażeń – mamy tutaj kobiecą przyjaźń, która przeradza się w związek lesbijski, pozbawione namiętności bezdzietne małżeństwo, które łączy wygodne, dostatnie życie, i wreszcie – romans pozamałżeński za zgodą zdradzanego małżonka, będący głównym wątkiem powieści. Dwudziestoletnia Frances jest niepewna zarówno swoich uczuć do żonatego, starszego o dekadę Nicka, jak i uczuć kochanka do niej i do jego żony. Zdaje sobie sprawę, że układ Nicka i Melissy jest otwarty, ale to sprawia, że czuje się jeszcze bardziej zagubiona.

Zilustrowana tak dobrze w „Nowym wspaniałym świecie" w relacji Leniny i Johna, towarzysząca nam od kilku dekad seksualność rekreacyjna wytworzyła kulturę niepokoju wokół naszej zdolności do zaangażowania. Także Frances zadręcza się nieustannymi pytaniami o to, co kryje się za seksem, który Nick z nią uprawia – czy może liczyć na coś więcej? Czy są albo będą kiedyś parą? Czy rzeczywiście chciałaby, by zostawił dla niej żonę? Sytuację komplikują oczywiście „rozmowy z przyjaciółmi", nieustannie podważającymi sens budowania trwałych relacji, a także opisana bardzo dokładnie dynamika relacji Nicka z jego żoną, *quasi*-małżeństwa, którego kształt zdaje się być wciąż negocjowany na nowo.

Fabuła powieści Rooney, ale też debiutu innej irlandzkiej pisarki Naoise Dolan (jej „Ciekawe czasy", reklamowane jako „najlepsza love story naszych czasów", ukazały się niedawno po polsku), „O zmierzchu" Szwedki Therese Bohman, głośnego „Kociarza" Kristen Roupenian i innych utworów omawiających relacje z punktu widzenia samotnych kobiet, nieustannie przeskakuje między symbiozą, rozłąką i zadawaniem sobie bólu. To chroniczne poczucie niepewności, które prowadzi do przynoszącego ulgę wyrzeczenia się uczuć, przyjmuje także swój fizyczny wymiar. W powieści Rooney jest to nieuleczalna choroba bohaterki związana z jej seksualnością i płcią, endometrioza. Niepewność cierpienia psychicznego powodowana rozedrganiem relacji przekształca się w pewność bólu fizycznego – przynajmniej na tym polu możliwa jest bowiem jakakolwiek diagnoza.

Popatrz w nieba błękit, a wygasną struny brzęku

Nowy Londyn wydawał się fantazją o przyszłości, w której ministerstwo ds. samotności i izolacji wykazuje się niemal stuprocentową skutecznością. Trzy lata temu ówczesna brytyjska premier Theresa May rzeczywiście utworzyła w swoim rządzie stanowisko, które w powieści Huxleya piastuje Bernard Marx. Jej śladem poszły kilka miesięcy temu władze Japonii, zaniepokojone liczbą samobójstw. Koszty samotności z punktu widzenia rządzących faktycznie są spore, można je dokładnie wyliczyć, tak jak to, odpowiednikiem ilu wypalonych papierosów jest samotnie spędzany wieczór – zajmuje się tym m.in. znana brytyjska ekonomistka Noreena Hertz. Wciąż działa jednak silny przeciwny wektor zachęcający nas do odosobnienia, który na nim po prostu nieźle zarabia.

> Muzyka Taylor Swift w płaskim zapisie nutowym i we wzbraniających emocji tekstach **zostawia pustą przestrzeń oraz iluzję,** że możemy się w niej urządzić po swojemu.

W wydanej właśnie reporterskiej książce Oktawii Kromer „Usługa czysto platoniczna. Jak z samotności robi się biznes" obok bohaterów szybkich randek i właścicielek biur matrymonialnych przewija się przez moment postać naukowczyni Stephanie Cacioppo. Po śmierci męża Johna, neurofizjologa zajmującego się czynnikami wpływającymi na poczucie osamotnienia, pogrążona w żałobie Stephanie zadręczała ciało długimi biegami przy temperaturach bliskich zera. Jej mięśnie i płuca, jak wspomina, ledwo to wytrzymywały.

Dziś prowadzi badania nad pregnenolonem, hormonem, który z powodzeniem mogą produkować nie tylko nasz mózg czy nadnercza, ale także fabryki leków. Wiadomo już, że odpowiednio dawkowana substancja pomaga szczurom radzić sobie z brakiem innych szczurów. Tabletka zażywana przez ludzi – twierdzi Cacioppo – nie miałaby leczyć z samotności, ale mogłaby przynajmniej zmniejszyć lęk przed budowaniem nowych, trwałych relacji. ©℗ MONIKA OCHĘDOWSKA

Śródtytuły pochodzą z tekstu Jonasza Kofty „Samba na jedną nutę", utwór śpiewała Hanna Banaszak.

STANISŁAW

Mancewicz:
288 batonów

Dziś zajmiemy się najbardziej doniosłym, bezustannie aktualnym elementem szeroko pojętej kultury polskiej, czyli tajemnicą. Zacznijmy delikatnie od tego, że jesteśmy najgłębiej przekonani, iż każda Polka i każdy Polak, ale i każda Niepolka oraz każdy Niepolak – ci akurat podczas ledwie tolerowanego pobytu w tutejszej zlewni – powinni wbić sobie do głów, że słowo Tajemnica powinno się w języku polskim pisać zawsze z wielkiej litery. Dlatego oto, że Tajemnica jest najważniejszym elementem miejscowej mentalności, jest w mentalność tę wprasowana, jest też fundamentem codzienności i towarzyskości, jest jednym z najważniejszych elementów historii, tutejszej wojskowości i polityki.

Zacznijmy jednak od szarości, w której i każda, i każdy z nas jesteśmy zanurzeni po uszy. Codziennie dowiadujemy się, że coś, o czym słyszymy, jest ścisłą tajemnicą. Że – dajmy na to – ta z tym, ten z tamtą, że owi mają to, a tamci owo. I żeby o tym, broń Boże, nie mówić. Nikomu. Rzecz jasna, mówimy o tym wszystkim bezustannie z każdą i z każdym. Bo to nas kręci najbardziej. Niemal też codziennie słyszymy w słuchawce telefonicznej, że to coś akurat nie jest „tematem na telefon", i wcale nie chodzi o nadzwyczajnie intymne detale cudzego życia, takoż w ogóle nie idzie o omówienie zainstalowania w łazience gorzelni rzemieślniczej czy planowanie dyskretnego wniesienia na strych działka przeciwlotniczego. Nie. Chodzi nam o – dajmy na to – naprawę pralki. Gdy pytamy o cenę tej usługi, słyszymy właśnie, że „nie jest to rozmowa na telefon", że się dogadamy i że będzie pani zadowolona, a pan usatysfakcjonowany. Od lat zastanawialiśmy się, dlaczego tak jest, że oto ustalenie podczas kontaktu telefonicznego wysokości honorarium uznawane jest tu za niegrzeczne i niewłaściwe. Dlaczego w Polsce nie można prowadzić przez telefon rozmów o pieniądzach, nawet małych?

Tak nas ten temat znudził, żeśmy się zastanawiać przestali. Uznaliśmy ostatecznie, że – co jasne – powodem każdego nierozmawiania, ale i rozmawiania, jest Tajemnica jako podstawowy element kultury. Czegoś nam jednak brakowało w tym prostym pomyśle, jakiegoś smaku, który cały czas nam towarzyszy, gdy o Tajemnicach sobie myślimy bądź gwarzymy. Cena naprawy pralki i zawijasy związane z jej poznaniem są ciekawe, ale na krótko, znacznie ciekawsze są Tajemnice grubsze.

Otóż doszliśmy właśnie do znakomitego wniosku, że polska Tajemnica ma sens, jest elementem kultury, konspiracji, wojskowości i polityki tylko wtedy, gdy jest Tajemnicą Zdradzoną. Inna, niezdradzona – popatrzmy – nie ma sensu. Jest bowiem tajemnicą, o której nic nie wiemy, o której nie da się pogadać, a to znaczy, że z dużym prawdopodobieństwem jest tajemnicą niepolską. Ktoś teraz się wybrzuszy oraz pokraśnieje i mianowicie powie, że jest nieco niezdradzonych polskich tajemnic, że można by nimi wytapetować – dajmy na to – hol siedziby głównej IPN-u. Otóż powątpiewamy, a wręcz uważamy, że nie tylko tamtejszy hol, nie tylko korytarze, piwnice, gabinety, saloniki, magazyny i garaże, ale nawet ipeenowskie domy pracy twórczej można by, a nawet trzeba, wytapetować Tajemnicami Zdradzonymi – i to po wielokroć – jest ich bowiem dużo. „Opinia jak opinia" – ktoś powie i ziewnie, rzeczywiście bowiem od wielu lat rozważania o polskich Tajemnicach Zdradzonych wywołują na świecie niejakie znudzenie. Nudzą się tym służby wszelakie, w tym specjalne, od takowych, powiedzmy, tanzańskich, po, powiedzmy, paragwajskie, a chodzi nam tu o barwne i dosadne zilustrowanie zasięgu wiedzy na temat polskiej Tajemnicy Zdradzonej po wielokroć.

Zapewne rzesze czytelnicze czekają tu i teraz na jakiś przykład. Posłużymy się tylko dwoma tytułami prasowymi z ostatniego tygodnia w sprawie Tajemnic Zdradzonych. „Tajne obrady Sejmu – co już wiemy", i drugi, znacznie bardziej rozdzierający: „Ze skrzynki mailowej Dworczyka: w listopadzie 2020 roku Mateusz Morawiecki zjadł 288 batonów energetycznych". ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ

w głowie się nie mieści!

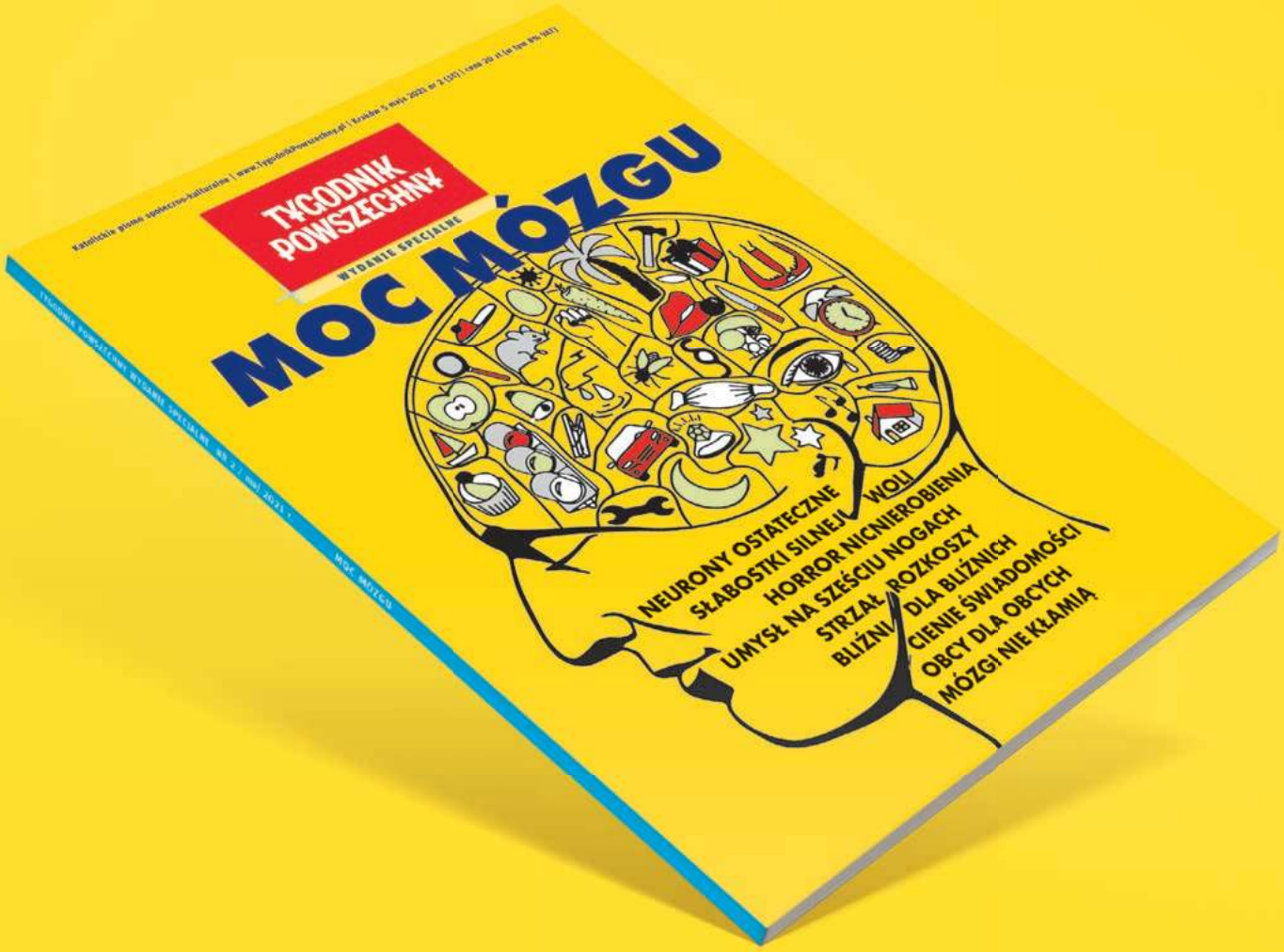

TYGODNIK POWSZECHNY

Wydanie specjalne „Tygodnika Powszechnego" MOC MÓZGU
już w sprzedaży – szukaj w kioskach i salonach prasowych

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // GRAFIKA NA OKŁADCE: DOLASU

REKLAMA

NIE LATOT

Kup na przekroj.pl
cena 28 zł
plus koszt przesyłki

Dochód ze sprzedaży kwartalnika przeznaczamy na działalność statutową Fundacji PRZEKRóJ